

Deborah Simmons

Skandal w Bath

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Georgiany Bellewether nikt nie traktował poważnie.

Los, ku jej głębokiemu niezadowoleniu, pokarał ją bujnymi, jasnymi lokami, przywodzącymi na myśl córy Koryntu, oraz wielkimi niebieskimi oczami, często porównywanymi do przejrzystych jezior. Ludziom wystarczyło raz na nią spojrzeć, by nabrać przekonania, że nie ma ani krzty rozumu. Naturalnie większość mężczyzn i tak uważała, że kobiety z samej swej natury nie są zbyt inteligentne, lecz w jej przypadku posuwali się jeszcze dalej i natychmiast klasyfikowali ją jako stworzenie zupełnie pozbawione umiejętności myślenia.

Było to w najwyższym stopniu upokarzające.

Jej matka była poczciwą, lecz dość trzpiotową osobą, a ojciec jowialnym, korpulentnym właścicielem majątku ziemskiego, toteż Georgiana nie miała najmniejszych wątpliwości, że byłaby dużo szczęśliwsza, gdyby się w nich wrodziła.

Niestety, z czwórki latorośli państwa Bellewether to właśnie ona - i tylko ona - odziedziczyła cechy wuja Morcombe'a, naukowca znanego z przenikliwości umysłu.

Od najwcześniejszej młodości Georgiana wprost chłoneła wiedzę. Szybko zapędziła w kozi róg guwernantkę, wyrosła ponad poziom miejscowej szkoły dla dziewcząt i nie bez satysfakcji wprawiała w zakłopotanie domowego nauczyciela brata.

Szczególne talenty przejawiała w rozwiązywaniu trudnych zagadek, dlatego często przeklinała swoje kobiece kształty, które zamykały jej drogę do kariery podziwianych przez nią detektywów z Bow Street. Zamiast zbierać poszlaki i bez lęku chwytać przestępców, musiała zadowolić się zachłannym czytaniem książek i znajdowaniem odpowiedzi na błahe pytania, które stawiano jej w Chatham's Corner, wsi, gdzie jej zacny ojciec sprawował rządy jako dziedzic i szeryf w jednej osobie.

Georgiana poprzysięgła sobie jednak, że w tym roku wszystko się zmieni. Rodzina przyjechała na lato do Bath, a ona zamierzała wykorzystać tę sytuację. Była przekonana, że w sławnym uzdrowisku natknie się na przynajmniej jedną tajemniczą sprawę godną jej talentów. Bądź co bądź liczna i zróżnicowana społeczność tego miasta na pewno miała więcej do ukrycia niż mieszkańcy wsi, z którymi przestawała na co dzień.

Niestety, po tygodniu Georgiana musiała przyznać, że jest głęboko rozczarowana, bowiem wizyty w pijalni i spaceru odbywane o wyznaczonych porach szybko jej spowszedniały. Jadąc do Bath, łudziła się, że zawrze interesujące znajomości, niestety i tu spotkał ją zawód. Wprawdzie z radością poznawała nowe otoczenie, spotykała jednak wyłącznie ludzi kubek w kubek podobnych do tych, których widywała w Chatham's Corner. Najgorsze zaś, że nie natknęła się do tej pory na żadną ekscytującą tajemnicę, którą należałoby wyjaśnić.

Z westchnieniem rozejrzała się po reprezentacyjnych salonach wystawnego domu lady Culpepper. Idąc tu, panna Bellewether była bardzo przejęta, po raz pierwszy bowiem została zaproszona na prawdziwy bal. Znów jednak ujrzała tylko matrony i artretycznych jegomościów, jakich w Bath było pełno.

Pod eskortą troskliwych mamus przybyło również kilka młodszych od Georgiany panien. Niestety, wszystkie bez reszty były opętane chwalebą ideą wyłuskania spośród kuracjuszy kandydata na męża.

Zniechęcona Georgiana odwróciła wzrok od krygujących się panien, gdy nagle jej uwagę przykuł wytworny mężczyzna w czerni. No, wreszcie ktoś zagadkowy, pomyślała, mrużąc powieki.

Nie trzeba było jej talentów, by stwierdzić, że przyjazd markiza Ashdowne do uzdrowiska jest wydarzeniem w najwyższym stopniu niezwykłym, jako że eleganckie towarzystwo straciło już, żywione mniej więcej przed półwieczem, upodobanie do Bath. Przystojni, czarujący arystokraci, tacy jak Ashdowne właśnie, przebywali w Londynie lub śladem księcia regenta podążali do Brighton. Albo też, pomyślała Georgiana, trwonili czas, wydając skandalizujące przyjęcia w swoich wiejskich rezydencjach.

Kiedy usłyszała o obecności markiza Ashdowne'a, od razu uznała jego nagłe zainteresowanie Bath za dziwne. Bardzo chętnie dowiedziałaaby się, co go skłoniło do przyjazdu, najpierw musiała jednak znaleźć sposób, żeby ich sobie przedstawiła. Markiz przebywał w uzdrowisku już kilka dni, co budziło niezwykle podniecenie wszystkich panien na wydaniu, nie wyłączając sióstr Georgiany. Właściwie nawet trudno było mu się przyjrzeć, zawsze bowiem otaczał go wianuszek dam.

Markiz wynajął jeden z modnych domów na Camden Place i tam właśnie zauważono go pierwszy raz. Podobno zamierzał poddać się

kuracji tutejszymi wodami, Georgianie wydawało się to jednak niedorzeczne, markiz bowiem nie skończył jeszcze trzydziestu lat i nie uchodził za podupadłego na zdrowiu. Nie, stanowczo nie jest chory, uznała, gdy tłumek pań się rozstał i wreszcie mogła mu się przyjrzeć.

Przeciwnie, Ashdowne stanowił okaz zdrowia. Z wrażenia Georgiana głośno nabrała powietrza do płuc. Był wysoki, metr osiemdziesiąt wzrostu albo i więcej, a przy tym szczupły. Ale nie chuderławy, o, nie. Miał szerokie ramiona i wyraźnie zarysowaną muskulaturę ciała, choć nie powiedziałałoby się o nim, że jest atletyczny. Krótko mówiąc, Georgiana nie spodziewała się tutaj, wśród przekarmionych i zblazowanych lwów salonowych, spotkać kogoś z taką prezencją i urzekającą siłą.

Zwinny. To słowo od razu przyszło jej na myśl, gdy przesunęła wzrok z kosztownego odzienia na twarz markiza. Włosy miał ciemne, gładko zaczesane, oczy niewiarygodnie niebieskie, a usta... och, na usta Georgiana nie potrafiła znaleźć określenia, tak zmysłowe wydały jej się ich krzywizny i nieznaczne wgłębienie widoczne nad górną wargą. Ashdowne jest po prostu niebiańsko przystojny, doszła do wniosku, przełykając ślinę.

I niezwykle czujny.

To znów ją zaskoczyło. Wprawdzie dobrze wiedziała, że nie należy wydawać pochopnych sądów na podstawie samego wyglądu, ale założyła, że ktoś tak bogaty, wpływowy i przystojny nie może ponadto mieć bystrego umysłu. Musiała jednak się omylić, bo gdy otrząsnęła się z oszołomienia urodą jego regularnych rysów, markiz skrzyżował z nią spojrzenie i wtedy przekonała się, że inteligencja dosłownie bije mu z oczu. Gdyby Georgiana była z tej samej gliny co inne panny przebywające w salonie, pomyślałaby zapewne, że markiz poczuł na sobie jej wzrok, wydawało się bowiem, że wyszukał ją spojrzeniem w tłumie wcale nieprzypadkowo.

Cofnęła się o krok, zawstydzona, że przyłapano ją na zbyt natarczywym wpatrywaniu się w obcego mężczyznę, a ponieważ Ashdowne skwitował jej reakcję uniesieniem ciemnych brwi, spłonęła rumieńcem. Energicznie wprawiła w ruch wachlarz i odwróciła głowę. Przecież w jej wzroku była tylko normalna w takich sytuacjach ciekawość, nic więcej, uspokajała się. Na ustach wykwitł jej grymas rozdrażnienia, pomyślała bowiem, że to spojrzenie markiza było

wyjatkowo poufałe. Widocznie Ashdowne uznał ją za jedną z tych zauroczonych panien, które omdlewały na jego widok.

Obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie, byle jak najdalej od markiza. I nagle pojęła, że właśnie straciła wspaniałą okazję poznania Ashdowne'a osobiście. Do licha! Z trzaskiem złożyła wachlarz, wiedziała bowiem, że nie wolno mieszać do śledztwa osobistych uczuć. Nie wyobrażała sobie, by prawdziwy detektyw z Bow Street przestał zajmować się sprawą dlatego, że ktoś z podejrzanych spojrział na niego zbyt poufale.

Parsknąwszy pod nosem, zawróciła tam, skąd przyszła, ale wyrwę w ludzkim wianuszku zapełniły już inne kobiety, i stare, i młode. A potem ni stąd, ni zowąd pojawiła się przed nią matka, żeby namówić ją na taniec z jakimś kawalerem. Georgiana wiedziała, że w tej sytuacji nie należy odmawiać.

Pan Nichols, jak się wkrótce przekonała, był całkiem przyjemnym mężczyzną, który wraz z rodziną przyjechał do Bath z hrabstwa Kent. Gdy jednak zaczął się jąkać, prowadząc konwersację na tematy tak banalne jak pogoda i towarzystwo w Bath, jej myśli odpłynęły w dal. Wprawdzie wyciągała szyję, jak tylko mogła, ale Ashdowne'a dostrzegła dopiero po dłuższej chwili. Akurat wychodził do ogrodu z młodą wdową, która, rzecz jasna, natychmiast zapomniała o swojej żałobie.

Podczas następnego tańca z panem Nicholsem Georgiana marszczyła czoło i tylko machinalnie kiwała głową w odpowiedzi na jego pytania. Doprawdy, nie miała czasu na takie przelewanie z pustego w próżne! Niestety, aż za dobrze wiedziała, co oznacza rozmarzony wyraz twarzy jej partnera. Gdyby pan Nichols zdołał skupić wzrok, bez wątpienia zatrzymałby go na jej lokach, białej szyi lub, co gorsza, na niepokojąco dużym skrawku piersi, który matka kazała jej odsłonić zgodnie z panującą modą.

Naturalnie młodzieniec w ogóle nie zwracał uwagi na jej słowa. W takich sytuacjach Georgiana zawsze miała ochotę szepnąć coś niegodnego damy albo wprost przyznać się do morderstwa, byle tylko otrzeźwić rozmówcę. Jej adoratorzy zazwyczaj należeli do dwóch kategorii: jedni w ogóle nie zwracali uwagi na to, co mówiła, inni - przeciwnie - wsłuchiwali się z nabożnym podziwem w każde słowo.

Najgorsze, że ani z jednych, ani z drugich nie było pożytku, nigdy bowiem nie udało się Georgianie sprowokować żadnego z tych

kawalerów do rozmowy, która traktowałaby o czymś ważnym. G bezmózgowcy z góry zgadzali się z każdym jej słowem! Niby powinna była już się do tego przyzwyczaić, a jednak poczuła lekkie rozczarowanie.

Matka usilnie wychwalała zalety stanu małżeńskiego i macierzyństwa, Georgiana nie rozumiała jednak, jak mogłaby choćby pomyśleć o spędzeniu całego życia z człowiekiem podobnym do pana Nicholasa. Z drugiej strony, jak miała w ich majątku poznać kogoś bardziej interesującego? Wykształcenie właścicieli ziemskich było w najlepszym razie dość powierzchowne, a poza tym nawet ci panowie, którzy liźnęli trochę wiedzy, stając przed nią, zapominali języka w gębie.

Na tym polegało przekleństwo jej losu. I dlatego, ku wielkiemu rozczarowaniu matki, dawała kosza jednemu adoratorowi po drugim, sama zaś powoli przyzwyczajała się do myśli o staropanieństwie. Liczyła na to, że jako stara panna będzie wreszcie mogła ubierać się i zachowywać tak, jak jej się podoba, w każdym razie jeżeli stryj Morcombe dotrzyma obietnicy i zostawi jej w spadku rentę. Oczywiście nie oznaczało to, że życzyła stryjowi szybkiego zgonu.

Georgiana z ulgą przyjęła koniec tańca i wysłała uszczęśliwionego pana Nicholasa po coś zimnego do picia. Dzięki temu zyskała krótki, lecz jakże pożądany odpoczynek od jego towarzystwa.

- Czyż nie jest wspaniały? - zagruchata jej do ucha matka. - Wiem od zaufanej osoby, że w przyszłości odziedziczy po dziadku szmat ziemi w Yorkshire. Tylko pomyśl, powinien mieć z niego tysiąc funtów rocznie!

Wyraz nadziei malujący się na twarzy matki powstrzymał Georgianę od ciętej riposty. Zresztą dobrze wiedziała, że jeśli uwolni się od pana Nicholasa, matka naśle na nią następnego dżentelmena, więc tylko bez słowa skinęła głową, a tymczasem lustrowała wzrokiem salon w poszukiwaniu Ashdowne'a. Ku jej zaskoczeniu markiz włączył się do tańców, a poruszał się z takim wdziękiem, że zakłuło ją w sercu.

- Przepraszam - powiedziała i z dość nieprzytomną miną zaczęła oddalać się od matki.

- Ale pan Nichols...

Ignorując ten sprzeciw, Georgiana wtopiła się w tłum. Chociaż straciła z oczu markiza, to wydostała się poza zasięg matki i pana Nicholasa. Powoli przeciskała się wśród ludzi, bacznie obserwując, co się wokół dzieje, i słuchając strzępków rozmów. Było to jedno z jej ulubionych zajęć, zawsze istniała przecież możliwość, że wpadnie jej w ucho przydatna informacja. Nie plotka, rzecz jasna, lecz fakt, który miałby znaczenie dla prowadzonego przez nią śledztwa.

W tej chwili spodziewała się usłyszeć coś o markizie.

Niestety, nie natknęła się na nic użytecznego. Zewsząd słyszała, jaki Ashdowne jest elegancki, czarujący, przystojny i tak dalej, i tak dalej, do znudzenia. Dowiedziała się tylko, że jako młodszy syn zyskał prawo do tytułu w ubiegłym roku, po śmierci brata. Pewna dobrze poinformowana matrona twierdziła, że tytuł nie przewrócił mu w głowie i markiz nie patrzy na resztę świata z góry, co łatwo stwierdzić po jego wykwinnych manierach. I tak dalej, i tak dalej. Wszystkie rozmowy były do siebie podobne. Zachwyty nad Ashdowne'em tak w końcu Georgianę zirytowały, że z dziwnej przekory tym bardziej zapragnęła znaleźć dowód jakiejś winy tego człowieka.

- O, Georgie! - Georgiana z trudem stłumiła jęk i odwróciła się. Ujrzała ojca z nieznanym, statecznym dżentelmenem. Zapewne był to kolejny kandydat do jej ręki. Georgiana omal nie wybiegła z salonu z głośnym krzykiem.

- Panie Hawkins, oto moja najstarsza córka! Absolutnie urocza, tak jak panu mówiłem, a jaka zmyslna! Będąc człowiekiem oddanym nauce, na pewno znajdzie pan w niej zajmującą towarzyszkę.

Georgiana знаła ojca aż za dobrze, wiedziała więc, że on z pewnością nie widzi nic zajmującego w swoim towarzyszczu i chce jak najszybciej się oddalić, powierzwszy pana Hawkinsa jej pieczy.

- Georgie, moja kochana, to jest pan Hawkins. Podobnie jak my dopiero niedawno przyjechał do Bath i ma nadzieję znaleźć tutaj probostwo, jako że jest duchownym, w dodatku bardzo wykształconym.

Georgiana z przyklepionym do twarzy zdawkowym uśmiechem zdołała wybąkać uprzejme powitanie. Atrakcyjność pana Hawkinsa była dość ascetycznego rodzaju, ale wyraz jego szarych oczu skłonił Georgianę do wysnucia wniosku, że nie jest to bynajmniej łagodna i

usuwająca się w cień postać w rodzaju wielebnego Marshfielda, proboszcza z Chatham's Corner.

- Miło mi poznać, panno Bellewether - powiedział mężczyzna. - Ale trudno oczekiwać, żeby dama rozumiała zawłości filozofii. W rzeczy samej podejrzewam, że niewielu mężczyzn może mi dorównać wiedzą, poświęciłem bowiem całe życie na zgłębianie jej tajemnic.

Zanim Georgiana zdążyła zdeklarować się jako miłośniczka Platona, który bądź co bądź jest ojcem logiki, pan Hawkins rozpoczął swój wywód.

- Trzeba powiedzieć, że Rousseau wypadł z łask z powodu tych przykrych wydarzeń we Francji, choć osobiście nie bardzo rozumiem, jak można go winić za to, co tam spotkało tych wszystkich nieszczęśników.

- Uważa pan więc... - zaczęła Georgiana, ale pan Hawkins przerwał jej pogardliwym parsknięciem.

- Cóż, najbardziej oświeceni ludzie często cierpią z powodu swojego geniuszu - oświadczył.

Georgiana nie potrzebowała szczególnie wyteżać umysłu, by pojąć, że pompatyczny duchowny stawia się w rzędzie prześladowanych akademików, toteż jej chwilowe zainteresowanie przygasło tyleż nagle, co definitywnie. Zrozumiała, że pan Hawkins nie dostarczy jej pożywki dla intelektu, jest bowiem nastawiony na wygłaszanie wykładów, a nie na konwersację.

Zasłoniła ręką usta, żeby nie było widać dyskretnego ziewnięcia, a tymczasem wielebny upajał się uczenie brzmiącymi długimi słowami i przedziwną mieszanką teorii, która utwierdziła Georgianę w przekonaniu, że sam niewiele rozumie z własnej tyrady. Nic dziwnego, że ojciec chciał jak najszybciej pozbyć się takiego rozmówcy! Lecz panna Bellewether również dotarła do granic wytrzymałości.

- O, jest nasza gospodyni! - powiedziała z nadzieją, że przerwie wykład, lecz pan Hawkins nie zamierzał łatwo wypuścić jej ze swych szponów.

- Hm. Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że otworzyła swój dom dla tylu osób stojących znacznie niżej od niej. Z moich doświadczeń wynika, że ludzie jej stanu rzadko odnoszą się życzliwie do tych, którym szczęście mniej sprzyjało.

Chociaż lady Culpepper nie była wolna od arystokratycznego poczucia wyższości, Georgiane wydawała się wcale nie gorsza od reszty swojej klasy.

- Zgadza się, że mogłaby mieć nieco więcej taktu, ale...

- Taktu? - przerwał Georgiane pan Hawkins bardzo niegrzecznym, pogardliwym tonem, w którym nie wiadomo dlaczego zabrzmiała też zajadłość. - Tej damy i jej podobnych nie interesuje, jak być uprzejmym dla innych. One myślą tylko o bogactwie i zachowaniu władzy. Moim zdaniem to wszystko są płóche istoty, które nie mają żadnych innych trosk oprócz własnych kapryśków!

Zapalczywa filipika pana Hawkinsa zaskoczyła Georgiane, urwała się jednak równie nagle, jak się zaczęła. Duchowny odzyskał spokój i przybrał dość znudzony wyraz twarzy.

- Tak czy owak człowiek o mojej pozycji musi pokazywać się w towarzystwie - dodał takim tonem, jakby budziło to w nim głęboką niechęć.

- Sądziłam, że obcowanie z ludźmi i przypominanie im o konieczności miłosierdzia jest powołaniem duchownego - powiedziała bez głębszego zastanowienia Georgiana.

Pan Hawkins obdarzył ją protekcjonalnym uśmiechem, na widok którego cała się zjeżyła.

- To godne pochwały, że takie jest pani przekonanie, ale nie mogę oczekiwać od pięknej niewiasty, by rozumiała wszelkie zawiłości mojej pozycji - odparł, a Georgiana poczuła, że najchętniej nadałaby mu nową pozycję za pomocą jednego szybkiego ruchu nogą. - Muszę jednak powiedzieć, panno Bellewether, że jest pani tutaj jedynym promieniem nadziei rozjaśniającym ten nudny wieczór w źle dobranym towarzystwie.

Wprawdzie do tej pory Georgiana sądziła, że pan Hawkins jest zbyt zachwycony sobą, by w ogóle zauważyć jej obecność, teraz jednak zorientowała się, że popełniła fatalny błąd, gdyż ostatnim ciepłym słowem rozmówcy towarzyszyło zupełnie jednoznaczne spojrzenie, które zatrzymało się na jej kobiecych wdziękach. Georgiana pomyślała z dezaprobatą, że jak na duchownego pan Hawkins przyglądał jej się odrobinę za dużo pożądliwie.

- Przepraszam pana - powiedziała szybko i znikła w tłumie, zanim jej rozmówca zdążył znowu zacząć tyradę.

Przeszła przez salon, wciąż pilnie nasłuchując, czy nie usłyszy czegoś ciekawego, aż wreszcie przystanęła za dorodną rośliną w donicy, zapewne jakąś odmianą paproci. Mogła stamtąd śledzić tok kilku rozmów, wszystkie jednak były śmiertelnie nudne. W końcu straciła cierpliwość i już chciała iść dalej, gdy usłyszała szuranie i szepty, co, jak wiadomo, zawsze zwiastuje sprawy godne uwagi.

Niezauważalnie podsunęła się w tamtą stronę i zerknęła spomiędzy liści, chcąc zorientować się, kto z kim rozmawia. Ujrzała krzepkiego dżentelmena z dość żałośnie przerzedzonymi włosami i natychmiast poznała w nim lorda Whalseya, wicehrabiego w średnim wieku. Krążyły plotki, że szuka w Bath bogatej żony. Rzeczywiście, cieszył się pewną popularnością wśród dam, mimo że raził przesadnym samouwielbieniem. Georgiana wyjrzała spod liścia i obok Whalseya zobaczyła młodszego człowieka z wychudzoną twarzą. Obaj wydawali się bardzo poważni. Pochyliła się ku nim jeszcze bardziej.

- I co? Ma pan? - spytał Whalsey głosem tak podnieconym, że Georgiana już za nic w świecie nie odeszłaby ze swojego miejsca.

- Niezupełnie - odparł niepewnie ten drugi.

- Jak to? Sprawa miała być załatwiona dziś wieczorem. Do diaska, Cheever, przysiągł pan, że nie będzie z tym kłopotu...

- Nie tak szybko - próbował pohamować go człowiek nazwany Cheeverem. - Będzie pan miał, co pan chce. Zaszła pewna komplikacja i tyle.

- Jaka znowu komplikacja? - spytał zirytowany Whalsey. - Nie chciałbym usłyszeć, że naraził mnie pan na nowe koszty!

- Jeszcze nie znalazłem.

- Co to za wykręty? - krzyknął Whalsey. - Przecież doskonale pan wie, gdzie to jest! Przecież po to przyjechaliśmy do tej dziury!

- Doskonale wiem, że jest w Bath, ale na pewno nie na środku głównej ulicy. Muszę trochę poszukać, a dotąd nie miałem okazji, bo zawsze kręcą się w pobliżu ci idioci!

Georgiana całkiem zapomniała o markizie. Z zapiętym tchem wsadziła głowę głębiej między liście.

- Jacy idioci? - spytał Whalsey.

- Służba!

- Dzisiaj masz okazję, ty głupku! Co robisz cały czas w tym salonie?

- Skoro już przyjechałem do Bath, to mogę chyba miło spędzić jeden wieczór - odparł nie zrażony wymówką Cheever. - To nie jest uczciwe, że pan bawi się i tańczy, a na mnie spada cała brudna robota!

Whalsey spurpurowiał na twarzy i otworzył usta, jakby chciał zagrznieć pełną piersią, ale ku rozczarowaniu Georgiany szybko opanował się i zniżył głos. Panna Bellewether musiała pochylić się jeszcze bardziej.

- Jeśli chce pan wyłudzić ode mnie więcej pieniędzy, to powiedziałem już, że nie mam ani pensa na...

Zawiedziona tym, że słowa stały się niesłyszalne, wyciągnęła szyję jak tylko mogła i poczuła, że wielkie zielsko, osadzone w eleganckiej donicy, niebezpiecznie się kołysze. Ponieważ była uwięziona w jego gąszczu, chciała chwycić za wielki liść, żeby odzyskać równowagę, ale na próżno. Przez moment zdawało jej się, że zawisła w powietrzu, a przed sobą miała przerażone twarze Whalseya i Cheevera.

Zaraz potem ci dwaj znikli w tłumie gości, a ona, przejęta ich ucieczką, nawet nie zauważyła, kto nadchodzi z drugiej strony. Dopiero gdy gwałtownie się odwróciła, rozpaczliwie usiłując odzyskać równowagę, spostrzegła tego mężczyznę. Ale było to już bez znaczenia. Razem z przekłętą paprocią upadła prosto na niego i oboje wylądowali na ziemi.

Powoli docierały do niej odgłosy najwyższego zdumienia. Nerwowo próbowała uwolnić się z gęstego listowia. Leżała na dywanie, a właściwie na mężczyźnie, z którym była splątana nogami. A spod skandalicznie podwiniętej sukni wystawały jej kostki! Co zaś najgorsze, przez ten wypadek nie dowiedziała się nic więcej o niecnej intrydze knutej przez tamtych dwóch. Do licha!

Dmuchnęła na pukiel włosów padający jej do oka i odbiła się od podłogi, zamierzając usiąść. Usłyszała jednak stłumiony jęk, a jej kolano napotkało na swej drodze ważny szczegół męskiej anatomii. Z okrzykiem przerażenia szarpnęła ciałem ku górze, niestety, przytrzymały ją zaczepione spódnice, więc z powrotem upadła.

Znowu rozległy się „achy” i „ochy”, a potem Georgiana poczuła uścisk mocnych dłoni na swej talii. Podniosła głowę i natychmiast ją spuściła, wstrząśnięta widokiem twarzy, od której dzieliły ją zaledwie centymetry. Ciemne brwi nie pointowały już wyzywającego, kpiącego

uśmieszku, lecz marszczyły się niepokojąco, nadając obliczu groźny wyraz, tym bardziej że usta wykrzywiały gniewny grymas.

- Na miłość boską, niech pani przestanie się wiercić - powiedział mężczyzna.

- Ashdowne! - jęknęła Georgiana. Spłoszona zamrugła powiekami, ale nie zdążyła zrobić niczego więcej, bo silne ręce bez wysiłku uniosły ją i po chwili oboje wrócili do pionu. Cofnęła się dość chwiejnie, ale męskie dłonie wciąż ją podtrzymywały. Nagle uświadomiła sobie, jakie są gorące. Parzyły ją przez cienki jedwab sukni, a promieniujący od nich żar rozlewał się po całym jej ciele.

Było to dziwne zjawisko. Georgiana zerknęła na swego przypadkowego towarzysza i już nie mogła oderwać od niego wzroku. Z bliska wydawał się jeszcze wspanialszy niż przedtem, a oczy miał niewiarygodnie niebieskie. Wciąż stała jak skamieniała, tymczasem markiz puścił ją i nieco się odsunął z wyrazem irytacji na twarzy. Dłonią strzepnął pyłek z eleganckiej kamizelki. Ku rozpaczycy Georgiany patrzył na nią tak, jakby była insektem, którego należałoby rozgnieść, a w najlepszym razie wyrzucić.

Wyrwana tą myślą z osłupienia, zdołała wybąkać słowa przeprosin, przypominały one jednak szept adoratorki omdlewającej z zachwytu. I mimo że wiek młodzieńczych rumieńców miała już dawno za sobą, z zażenowania spaşowiała. Przecież nie była jedną z tych panien, które myślą wyłącznie o małżeństwie. Gorączkowo szukała słów, którymi mogłaby przekonać o tym markiza. Ale jej nieskładne wyjaśnienia przerwało nadejście matki z dwoma służącymi, którzy natychmiast zaczęli sprzątać rozsypaną ziemię.

- Georgie! - Poirytowana na dźwięk swego zdrobniałego imienia wypowiedzianego publicznie i do tego bardzo głośno, Georgiana nie usłyszała nawet, że Ashdowne mamrocze jakieś konwencjonalne przeprosiny. Zanim zdążyła rozpocząć przesłuchanie, pośpiesznie odszedł, jakby nie mógł doczekać się chwili, gdy oddali się na bezpieczną odległość. A ona z rozpaczą stwierdziła, że ciasno otaczają ją matka z siostrami, a markiz znika w tłumie.

- Georgie! Co ty robisz, na miłość boską? Uczysz się hodować rośliny doniczkowe? - spytała matka, zerkając na zbezczeszczoną paproć tak, jakby mogła oczekiwać od niej odpowiedzi. Ponieważ jednak złośliwe zielsko milczało, pani Bellewether przeniosła uwagę na córkę.

- Miła panna, ale obawiam się, że trochę niezgrabna. - Georgiana skrzywiła się, słysząc donośny głos ojca i chichoty sióstr. Czy cała jej kochana rodzina naprawdę musi z taką ostentacją komentować ten incydent?

- Mam nadzieję, że nie stało się nic złego, panno Bellewether. - Na domiar złego znowu znalazł ją pan Nichols. Jak zresztą nie miał jej znaleźć, skoro zapewniła gościom takie widowisko? - Jeszcze raz powtarzam, że trudno się ruszyć w tym ścisku, a na dodatek podłoga jest zastawiona różnymi przeszkodami... - Pokręcił głową, a wzrok zabłądził mu z jej pogniecionej sukni na odsłoniętą kostkę. Georgiana szybko wygładziła spódnicę i westchnęła, tymczasem matka pociągnęła ją ku najbliższemu krzesłu, a pan Nichols zmusił do wypicia napoju, który tymczasem się ogrzał i wiele przez to stracił.

Podczas gdy dookoła robiono wiele hałasu o nic, Georgiana walczyła z przemożnym pragnieniem, by zerwać się na równe nogi i uciec przed przesadną troskliwością. Najgorsze, że miała takie wrażenie, jakby oczy wszystkich osób zebranych w salonie były skupione na niej, co jest doprawdy okropnym przeżyciem dla kogoś, kto chce pozostawać nie zauważony. Niestety, poniosła klęskę, i to akurat w chwili, gdy zaczęła się dowiadywać czegoś ciekawego.

Wymownym gestem odesłała matkę tam, skąd przyszła, sama zaś z bardzo kwaśną miną rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu śladów lorda Whalseya i jego współnika. Ale oczywiście zobaczyła tylko Ashdowne'a. Chociaż wydawał się rozmawiać z gospodynią przyjęcia, patrzył właśnie na nią, a na ustach błąkał mu się pogardliwy uśmieszek, tak jakby markiz obciążał ją całkowitą odpowiedzialnością za niedawną katastrofę.

Do diaska! Nie szukała jego pomocy i nawet nie przypominała sobie, by Ashdowne proponował jej pomoc, więc nie powinien mieć do niej pretensji, że jego starania przyniosły zły skutek. Bez niego poradziłaby sobie dużo lepiej. Na tę myśl znów zapłonęły jej policzki. Powiedziałyby to markizowi wprost, ale niestety, znowu straciła okazję do nawiązania rozmowy. I to wyłącznie z własnej winy!

Detektyw z Bow Street nie gapiłby się jak pensjonarka na wyrazistą męską twarz, lecz wykorzystał zbieg okoliczności i spytał Ashdowne'a, co robi w Bath, potem metodycznie rozważył jego odpowiedzi i sprytnie wymusiłby na nim przyznanie się do...

Georgiana nie bardzo wiedziała, do czego, była jednak zdecydowana to odkryć.

Zerknęła ku przedmiotowi swych rozmyślań i zamarła z wrażenia, markiz rozplynął się bowiem bez śladu. Lady Culpepper toczyła teraz ożywioną rozmowę z matroną w turbanie. Zdumiona Georgiana wolno wypuściła powietrze z płuc i pokręciła głową. Ten człowiek pojawiał się i znikał jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Dobrze, że nie miała skłonności do fantazjowania, bo inaczej zaczęłaby go podejrzewać o nadnaturalne umiejętności.

- ... przejrzyste jak jeziora. - Dźwięk głosu pana Nicholasa przywrócił ją do rzeczywistości, zdobyła się więc na uśmiech i postanowiła wykazać więcej cierpliwości niż zwykle. Wytrwała jeszcze kilka minut w towarzystwie upartego adoratora, lecz jednak w końcu nie wytrzymała, przeprosiła go i odeszła.

Matce powiedziała, że po przygodzie z paprocią musi się nieco odświeżyć, jednak nie poszła do toalety, lecz zaczęła spacerować po pokojach w poszukiwaniu Whalseya i Cheevera. Bez powodzenia. Gdy kątem oka spostrzegła pana Hawkinsa zmierzającego ku niej bez wątpienia z jak najgorszymi zamiarami, umknęła do ogrodu i dopiero tam odetchnęła z ulgą.

Czyste wieczorne powietrze tchnęło aromatem wiosennych kwiatów, które rosły wzdłuż ustronnych alejek zalanych srebrzystym światłem migotliwych gwiazd. Innej pannie taki wieczór mógłby wydać się czarodziejski, ale nie Georgianie, która przez cały czas zastanawiała się nad tym, kto kryje się w mroku. Czy Whalsey i jego wspólnik przenieśli się w bardziej zaciszne miejsce, żeby dalej rozmawiać o swoich podejrzanych sprawkach? Tylko zdrowy rozsądek powstrzymał ją od podążenia za głosem ciekawości i zapuszczeniem się w głąb najdalszych, ciemnych alejek.

Westchnęła i w duchu ponownie przeklęła swą pleć, przez którą musiała nieustannie ulegać ograniczeniom narzucanym przez społeczeństwo, a zwłaszcza przez zadufanych w sobie mężczyzn. Przecież detektyw z Bow Street mógłby iść, gdzie mu się żywnie podoba, nawet do najciemniejszego ogrodu, nawet do najbardziej podejrzanej części Londynu. Cóż to za wspaniałe życie, pomyślała, choć wcale nie zastanawiała się nad tym, w jaki sposób detektyw z Bow Street może zdobyć prawo wstępu na eleganckie przyjęcie. Przez

następne minuty rozkoszowała się marzeniami o karierze, jaką niechybnie by zrobiła, gdyby tylko urodziła się mężczyzną.

Może zostałaaby w ogrodzie dłużej, pochłonięta tak miłymi rozmyślaniami, gdyby nie głośny chichot, jaki rozległ się za pobliskim krzakiem. Usłyszawszy go, westchnęła i postanowiła wrócić do środka, zanim wytropi jakąś romantyczną schadzke, czyli stanie się świadkiem wydarzeń, które zupełnie jej nie interesowały. Zresztą matka na pewno już jej szukała, bo pora robiła się późna i statecznej familii Bellewetherów czas było wracać do domu.

Obrzuciwszy ostatnim spojrzeniem trawnik, Georgiana odwróciła się i wślizgnęła przez ogrodowe drzwi do salonu. Właśnie chciała odszukać swoją rodzinę, gdy przenikliwy krzyk zmroził jej krew w żyłach. Zaskoczona odwróciła się w stronę, z której dobiegł, i ujrzała gospodynię wieczoru, lady Culpepper, śpieszącą w dół po schodach w towarzystwie matrony, na którą Georgiana zwróciła uwagę już wcześniej.

Obie damy wydawały się bardzo wzburzone, więc Georgiana ruszyła w ich stronę. Dotarła do podnóża schodów akurat na czas, by usłyszeć, że matrona bełkocze coś o naszyjniku. Zaraz potem rozległ się krzyk, który w okamgnieniu dotarł do wszystkich obecnych:

- Skradziono sławne szmaragdy lady Culpepper!

W czasie gdy nowina obiegała salon, resztę domu, a prawdopodobnie również całe Bath, Georgiana, która nie spoczęła, póki nie usłyszała wszystkiego, co należało usłyszeć, doskonale poznała treść pierwszej, nieskładnej relacji kobiety w turbanie, czyli, jak stwierdziła później, niejakiej pani Higgott.

Oddzieliwszy ziarno od plew, zapisała w pamięci, że obie damy rozmawiały o biżuterii i wtedy pani Higgott wyraziła zachwyty sławnym szmaragdowym naszyjnikiem, znanym w eleganckim towarzystwie jako najcenniejszy klejnot kolekcji lady Culpepper. Gospodyni wieczoru - czy to z próżności, czy z uprzejmości - zgodziła się pokazać pani Higgott ten naszyjnik, więc obie poszły na górę do sypialni. Tam znalazły na łóżku otwartą szkatułkę. Naszyjnik zniknął, a okno było otwarte.

Na korytarzu przed drzwiami przez cały wieczór stał służący, uznano więc, że złodziej w trudny do wytłumaczenia sposób zdołał wspiąć się po ścianie do okna, co wydawało się nie mniej zuchwałym wyczynem niż sama kradzież. Chociaż nieco później Georgiana

zmusiła swego brata Bertranda, by poszedł z nią do ogrodu, to w ciemności niczego nie zobaczyła, natomiast jej starania, by przesłuchać dwie kobiety, które odkryły kradzież, zostały zniweczone. Ponieważ zaś goście rozumieli, jak dotkliwą stratę poniosła lady Culpepper, wkrótce opuścili dom i przyjęcie dobiegło końca. Wszyscy byli wstrząśnięci faktem, że w Bath mogło dojść do takiego przestępstwa.

Wszyscy - z wyjątkiem Georgiany.

ROZDZIAŁ DRUGI

Rankiem Georgiana, zachwycona pierwszym w życiu prawdziwym wyzwaniem dla swoich talentów, wstała bardzo wcześnie, usiadła przy biurku z różanego drewna i spisała ze szczegółami wszystko, co zapamiętała z poprzedniego wieczoru i co wiedziała o obecnych na balu osobach. Niestety, nie mogła ani obejrzeć miejsca przestępstwa, ani przesłuchać najważniejszych świadków, ale los i tak jej sprzyjał, bo przecież była akurat u lady Culpepper w czasie, gdy popełniono kradzież.

Zagadka wydawała się pasjonująca i niezwykła, bez wątpienia dokonano starannie obmyślanej, zuchwałej kradzieży, toteż sporządzając notatki, Georgiana uśmiechała się pod nosem. Kiedy lady Culpepper ostatni raz była w salonie, zanim wróciła tam z panią Higgott? I co ze służącym, który miał czuwać? Czy nic nie słyszał? Czy naprawdę stał przed drzwiami cały wieczór, czy może opuścił na pewien czas swój posterunek?

Ciekawił ją też sam pokój. Czy miał połączenia z sąsiednimi pomieszczeniami? Georgiana wiele dałaby za możliwość obejrzenia miejsca kradzieży. Miałaby wtedy szansę poszukać śladów zostawionych przez złodzieja, no i naturalnie zbadać samą szkatułkę. Bo jeśli dobrze zrozumiała chaotyczne zeznania lady Culpepper i pani Higgott, szkatułka została na miejscu, mimo że zawierała jeszcze inne klejnoty.

Zmarszczyła czoło. Dlaczego ktoś miałby ukraść tylko naszyjnik? Czy złodziejowi zabrakło czasu, czy nie był w stanie niepostrzeżenie wynieść nic więcej? Człowiek wspinający się po pionowej ścianie nie może obciążać się pękatym ładunkiem. Z drugiej strony Georgianie trudno było uwierzyć, żeby ktoś posunął się do takich akrobatycznych wyczynów, by dostać się do pokoju. Może złodziej posłużył się liną? Nie znała się na takich sprawach, zanotowała więc w myślach, by spytać o to Bertranda. Zamierzała też dokładnie obejrzeć budynek za dnia.

Och, jak chciałyby wejść do tamtego pokoju! Miała wrażenie, że otwarta szkatułka z czymś jej się kojarzy, nie wiedziała jednak, z czym. Sporządziła więc na ten temat notatkę i wzięła następną kartkę, żeby ułożyć listę podejrzanych. Ręka drżała jej przy tym z podniecenia, bo nie tylko mogła wreszcie sprawdzić swoje talenty, lecz ponadto pojawiła się przed nią wspaniała szansa. Gdyby udało jej

się rozwiązać tę zagadkę i wskazać władzom winowajcę, może wreszcie zyskałaby rozgłos i szacunek?

Wspierając głowę na dłoni, Georgiana uśmiechnęła się z rozmarzeniem, wyobraziła sobie bowiem wyrazy uznania, jakie ją spotkają, zwłaszcza jeśli uda jej się odzyskać skradzione klejnoty! Ważniejsza niż wszystkie pochwały była jednak dla niej możliwość wyrobienia sobie nazwiska. Miała nadzieję, że w przyszłości poprowadzi jeszcze niejedno śledztwo, a do niej, panny Georgiany Bellewether, z całego kraju będą przyjeżdżać ludzie szukający pomocy.

Westchnęła, urzeczona tymi wspaniałymi perspektywami i znowu skupiła się na swoim zadaniu. Najpierw musiała ustalić tożsamość człowieka, który skradł naszyjnik lady Culpepper. Chociaż włamywacz mógł być kimś, kogo nie знаła, na przykład doświadczonym przestępcą od dawna czyhającym na okazję, logika zdawała się temu przeczyć. Zwyczajny rabuś nie włamywałby się do domu, w którym jest pełno gości i służby.

Ktokolwiek był sprawcą, nie tracił czasu na buszowanie po sąsiednich pokojach, lecz dokładnie wiedział, gdzie szukać łupu. Georgiana raptownie poderwała głowę i opuściła rękę na biurko, przypomniała sobie bowiem podsłuchaną rozmowę. Z szeptów lorda Whalseya i pana Cheevera jasno wynikało, że planują coś niecnego, trudno było jednak przypuścić, że właśnie ci dwaj są zdolni do tak zuchwałego przestępstwa!

Przygryzłszy wargę, Georgiana spróbowała spisać wszystko, co powiedzieli podejrzani, w tym również narzekania pana Cheevera na obecność służby, która przeszkadza mu w zdobyciu „tego czegoś”. Nie, to jest za proste, pomyślała, ale ponieważ znów wyobraziła sobie splendory, jakie na nią spłyną, umieściła pana Cheevera i jego zleceniodawcę na pierwszym miejscu listy.

Chociaż ten trop wydawał się bardzo obiecujący, Georgiana wiedziała, że musi rozważyć wszystkie możliwości, dlatego zaczęła sobie przypominać, kto jeszcze z obecnych na balu mógłby być sprawcą. Na przykład służący, pomyślała, chociaż takie sytuacje zdarzały się rzadko. Zresztą kto ze służby miałby podczas przyjęcia czas ćwiczyć wspinaczkę po ścianie budynku?

Co do gości, wśród szlachetnie urodzonych osób przebywających w Bath Georgiana raczej nie widziała wielu potencjalnych

podejrzanych. Większość wydawała jej się zbyt ograniczona umysłowo, by dokonać takiego czynu, natomiast inni byli zbyt prostolinijni i nudni, by wieść podwójne życie. Ale myśląc o tych wszystkich nieciekawych twarzach, Georgiana nagle przypomniała sobie wielebnego Hawkinsa i jego pogardliwą opinię o bogactwie. Marszcząc czoło, zaczęła się zastanawiać, czy osoba duchowna mogłaby ukraść naszyjnik. A ponieważ nie dawała jej spokoju zajadłość, którą usłyszała w głosie Hawkinsa, wpisała go na listę jako drugiego podejrzanego.

Jeszcze raz przypomniawszy sobie wszystkie twarze widziane u lady Culpepper, Georgiana wykluczyła wdowy, panny na wydaniu i artretycznych jegomościów, uznała bowiem, że żadna z tych osób nie potrafiłaby wejść przez okno i uciec tą samą drogą. Nie, sprawcą musiał być ktoś zwinny, smukły, dostatecznie silny, by podołać wspinaczce, bez wątpienia zręczny... i najpewniej również ubrany na czarno!

Wizja Ashdowne'a w ciemnym, eleganckim stroju sprawiła, że Georgiana przymknęła powieki. Ashdowne'a, który zniknął i pojawiał się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, mogła sobie wyobrazić w różnych sytuacjach, ze wspinaniem się po pionowej ścianie włącznie. Nie ulegało też wątpliwości, że jest silny, pamiętała, z jaką łatwością podniósł ją z podłogi. Co gorsza, zarumieniła się na to wspomnienie, a świadomość, że markiz potraktował ją jak rozkapryszoną, nierozumną istotę, jeszcze pogłębiła jej zażenowanie.

Zmarszczyła czoło, wściekła na siebie i na mężczyznę, który mógł bez najmniejszego wysiłku wprowadzić ją w stan osłupienia. Dobrze wiedziała, że Ashdowne coś knuje! Był zdecydowanie zbyt... zdrowy, żeby przyjechać na kurację tutejszymi wodami. Naturalnie jego obecność w Bath mogła mieć związek z kobietą. Pomyślawszy o tym, Georgiana nie wiadomo czemu poczuła bardzo przykre rozczarowanie. Panowie z wyższych sfer często romansowali z mężatkami, wdowami i innymi żądnymi rozrywki kobietami. Ale po kimś obdarzonym tak bystrym spojrzeniem Georgiana spodziewała się czegoś więcej niż banalnej miłości.

Zastanowiła się jednak, która z obecnych na balu kobiet mogłaby zainteresować Ashdowne'a, ale po chwili odrzuciła ten pomysł. Jej zdaniem żadna z tych dam nie była warta zachodu, lecz powszechnie wiadomo, że mężczyźni mają - delikatnie mówiąc - dość dziwaczne

gusta. Georgiana widziała Ashdowne'a z wdową, ale potem ta kobieta tańczyła z innymi panami, a markiz przepadł jak kamień w wodę. Zresztą to właśnie zaskakujące zniknięcia markiza skłoniły ją do wpisania go drukowanymi literami na listę podejrzanych.

Chociaż nie żywiła ciepłych uczuć do pana Nicholasa ani do reszty swoich adoratorów, to nie mogła z czystym sumieniem traktować ich jak podejrzanych, ponieważ żaden z nich nie wydawał się obdarzony cechami typowymi dla zuchwałego włamywacza. A poza tym nawet gdyby omyliła się w ocenie, Bertrand twierdził, że w chwili kradzieży wszyscy kawalerowie siedzieli w pokoju karcianym i zawierali jakieś skomplikowane zakłady. Dokładnie wypytała brata i w ten sposób ustaliła alibi tych kilku młodzieńców, którzy ewentualnie mogliby wykazać się niezbędną zwinnością.

To bardzo ograniczało liczbę podejrzanych. Naturalnie jednak włamywaczem mogła być również osoba spoza grona obecnych, wspomagana przez kogoś z gości, i ta możliwość bardzo Georgiane niepokoiła. Nie było rady, musiała zdobyć listę gości i porozmawiać ze służbą oraz z samą lady Culpepper. Odłożywszy na bok listę podejrzanych, szybko napisała do szacownej lady liścik, błagając o jak najszybsze przyjęcie w sprawie niecierpiącej zwłoki. Była przekonana, że im szybciej zdobędzie niezbędne informacje, tym większą ma szansę odzyskać zrabowane klejnoty.

Chociaż kradzieży dokonano po mistrzowsku, Georgiana nie wątpiła w swoje zdolności. Była święcie przekonana, że szybko rozwiąże zagadkę. Oczami wyobraźni zobaczyła szczurkowatego pana Cheevera, ale jakoś nie wydawało jej się, by ten osobnik był zdolny do takiej przebiegłości. Georgiana czuła zresztą mimowolny podziw dla złodzieja. Wreszcie spotkała na swojej drodze kogoś godnego jej talentów. Westchnęła i znowu wsparła głowę na dłoni.

Co za pech, że ten człowiek jest przestępcą!

Po dłuższym oczekiwaniu Georgiana dostała wreszcie odpowiedź na swój liścik i starannie unikając spotkania z siostrami, wyszła z domu. Pod elegancki dom lady Culpepper dotarła wkrótce po wybiciu południa. Wprowadzono ją do salonu, gdzie pani domu siedziała na pięknym krześle z wysokim oparciem i poręczami. Na stoliku znajdowała się taca z lunchem.

- Proszę, młoda panno! - odezwała się skrzekliwym głosem lady Culpepper i Georgiana dyskretnie rozejrzała się po bogato

urządzonym pokoju z rzeźbionym, marmurowym kominkiem i kryształowym żyrandolem. Meble wyglądały podobnie jak poprzedniego wieczoru, ale za dnia, w świetle obficie wlewającym się przez wysokie okna, lady Culpepper robiła wrażenie dużo starszej.

Siadając, Georgiana poczuła na sobie jej taksujące spojrzenie.

- Dziękuję, że wielmożna pani zechciała mnie przyjąć - zaczęła grzecznie, ale w odpowiedzi zobaczyła bardzo kwaśną minę.

- Istotnie, masz za co dziękować - odrzekła po chwili lady Culpepper. - Nie przyjmuję dzisiaj gości, bo trudno mi to robić w stanie takiego wzburzenia. Powiedz mi więc, młoda panno, co to za sprawa nie cierpiąca zwłoki? Czy wiesz coś o moim naszyjniku? - Georgiana skinęła głową, więc starsza kobieta raptownie pochyliła się ku niej, zaciskając kościstą dłoń na mahoniowej poręczu krzesła. Oczy chytrze jej zabłyśły i wtedy Georgiana uświadomiła sobie, że lady Culpepper we jest głupia. - No, co wiesz?

- Przeanalizowałam to zajście w świetle informacji, które miałam do dyspozycji, i zawęziłam listę podejrzanych do kilku osób - odrzekła Georgiana. Gdy lady Culpepper spojrzała za nią dziwnie, szybko dodała: - Pochlebiam sobie, że jestem bardzo zręczna w rozwiązywaniu zagadek i mam nadzieję wkrótce dojść do ostatecznych wniosków. Jednakże chciałabym, jeśli wolno, porozmawiać najpierw ze służbą i zadać wielmożnej pani kilka pytań.

- Kim jesteś? - spytała lady Culpepper.

- Nazywam się Georgiana Bellewether, wielmożna pani - odrzekła, zastanawiając się jednocześnie, czy pamięć gospodyni nie szwankuje. Gdyby tak było, mogło to mieć istotne znaczenie dla sprawy, bo czas kradzieży stawał się wątpliwy.

- Jesteś nikim! - oświadczyła władcym tonem lady Culpepper. - Co podsunęło ci myśl, że wolno ci się tutaj wdrzeć...

- Przecież wielmożna pani sama mnie zaprosiła - sprzeciwiła się Georgiana i została skarcona za ten wtępotny potępiającym spojrzeniem.

- Młoda panno, jesteś impertynencka! Postanowiłam cię przyjąć, sądziłam bowiem, że wiesz coś o moim skradzionym naszyjniku. I tylko dlatego!

- Ależ wiem! - upierała się Georgiana. - Mogę pani pomóc, jeśli...

- Phi! Po co mi pomoc głupiej pannicy, której wydaje się, że wie więcej niż ludzie wyższego stanu!

- Zapewniam panią, że w rodzinnej miejscowości ludzie dobrze znają moje talenty, choć tutaj, w Bath...

- W rodzinnej miejscowości! Z pewnością mówisz o jakiejś zabitej deskami wsi - parsknęła lady Culpepper. Georgiana doszła do wniosku, że trzeba szybko zmienić taktykę.

- Proszę pomyśleć, co wielmożna pani ma do stracenia. Nie żądam nagrody, chcę tylko pani pomóc, robiąc użytek ze swoich talentów.

Na tę wzmiankę oczy lady Culpepper chciwie zabłyśły.

- Bo też żadnej nagrody nie dostaniesz - oświadczyła stanowczo. Po chwili milczenia, przez którą Georgiana cierpliwie znosiła gniewne spojrzenie lady Culpepper, pani domu powiedziała: - No, więc dobrze. Zadawaj swoje pytania, byle szybko, bo mam ważniejsze sprawy na głowie niż spełnianie kaprysów każdej głupiej pannicy w Bath.

W ciągu kilku minut, które lady Culpepper zgodziła się na to poświęcić, Georgiana usłyszała, że szkatułka była otwarta, a reszta zawartości pozostała nietknięta. Służący, stojący na posterunku przed zamkniętymi drzwiami do pokoju, przysiągł, że nikt nie wchodził do środka.

- A dlaczego postawiła pani służącego na straży? Czy to jest jego stałe miejsce, czy stoi tam tylko podczas balów i przyjęć? - spytała Georgiana.

Pani domu straciła na chwilę kontenans, zaskoczona tym pytaniem, szybko jednak wyprostowała się i spojrzała na Georgianę z góry.

- To, młoda panno, nie jest twoja sprawa. Dość tych pytań!

- Ależ, wielmożna pani...! - zachnęła się Georgiana. Niestety, wszystkie jej starania, by zdobyć pozwolenie na obejrzenie domu i ogrodu, spotkały się ze stanowczą odmową, podobnie jak prośba o zgodę na rozmowę ze służbą. Widać było, że lady Culpepper coraz bardziej traci cierpliwość.

Panna Bellewether starała się tego nie zauważać. Im więcej lady Culpepper mówiła, tym bardziej przypominała przekupkę z targu rybnego, więc Georgiana zaczęła mieć wątpliwości co do drzewa genealogicznego pani domu. Postanowiła jednak zdobyć maksymalnie dużo informacji.

- Czy wielmożnej pani przychodzi do głowy ktoś ze służby lub gości, kto mógłby dopuścić się takiego postępuku?

- Na pewno nie! - odparła lady Culpepper. - Człowiek ma prawo się spodziewać, że nikt z jego znajomych nie jest ohydny przestępcą! Naturalnie jesteśmy w Bath, a nie w Londynie, więc mam za swoje, skoro otworzyłam drzwi domu przed niewychowanym motłochem, który tutaj zjeżdża. Zapewniam cię, że gdy tylko odzyskam moje klejnoty, wrócę do Londynu, gdzie będę znacznie staranniej dobierać gości.

Georgiana ugryzła się w język, żeby nie wspomnieć o tym, że w Londynie popełnia się znacznie więcej przestępstw niż w Bath, i dla świętego spokoju skinęła głową.

- Czy wielmożna pani ma wrogów, którzy chcieliby się na niej zemścić?

Co ciekawe, lady Culpepper nagle zbladła. Niestety, Georgiana nie wiedziała, czy z równowagi wyprowadziła ją sugestia, że ktoś taki mógłby istnieć, czy raczej celność tego przypuszczenia.

- Zmykaj stąd, dziecko! Straciłam już dość czasu na te nedorzeczości - stwierdziła gospodyni tonem nie znoszącym sprzeciwu.

Potem jeszcze machnęła ręką i przyzwała kamerdynera, żeby odprowadził Georgianę do drzwi. Panna Bellewether nie miała innego wyjścia, jak tylko podziękować tej sekutnicy za to, że zgodziła się poświęcić na rozmowę swój jakże cenny czas. Posłusznie wyszła, nie mogła jednak pozbyć się uczucia zawodu. Pozwoliła sobie nawet na bardzo surową myśl, że tej odrażającej osobie należała się taka nauczka jak kradzież klejnotów. Szybko jednak skupiła uwagę na czym innym, nie chciała bowiem, żeby emocje przeszkadzały jej w prowadzeniu śledztwa.

Znalazszy się przed domem, oświadczyła zdumionemu kamerdynerowi, że zamierza trochę się rozejrzeć, i bez najmniejszego wahania weszła do ogrodu wielmożnej pani, zostawiwszy groźnie sapiącego sługę na progu. Powoli okrążyła dom, a gdy stanęła przed tylną fasadą, podniosła głowę i zaczęła wypatrywać okien sypialni pani domu. Widok za dnia był naturalnie dużo lepszy niż wieczorem, toteż bez trudu dostrzegła ozdobny fronton nad interesującymi ją oknami. Podobny znajdował się również piętro niżej.

Zaskoczona doszła do wniosku, że zamiast wspinać się po ścianie, włamywacz mógł po prostu wyjść przez okno sąsiedniego pokoju na występ muru tworzony przez fronton, by potem dostać się z niego do

sypialni lady Culpepper. Trasa wydawała się dość niebezpieczna i na samą myśl o niej Georgiana prawie dostała palpitacji, bo dużych wysokości zdecydowanie nie lubiła. Niemniej jednak gibki, wyćwiczony człowiek, pozbawiony lęku wysokości, mógłby dość łatwo...

- Znowu dręczy pani rośliny?

Georgiana była tak głęboko zamyślona, że słysząc sarkastyczny głos tuż obok, drgnęła, a potem wykonała raptowny obrót. Jej torebka zatoczyła szeroki łuk i z impetem uderzyła mężczyznę, z którego obecności za swymi plecami Georgiana wcześniej nie zdawała sobie sprawy.

- Au! - powiedział, przyciskając dłoń do wzorzystej kamizelki. - Co pani tam ma? Kamienie?

Georgiana przeniosła wzrok ze smukłych dłoni odzianych w rękawiczki na wyrazistą twarz. Gdy zobaczyła zmarszczone groźnie czarne brwi, wpadła w panikę.

- Ashdowne! To znaczy, chciałam powiedzieć: serdecznie przepraszam, milordzie.

Kąciki jego pełnych ust wyraźnie opadły. Georgianę bardziej jednak zainteresowały szerokie ramiona i płaski brzuch markiza, na które zwróciła uwagę, gdy wyglądał jedwab kamizelki. Z niejakim wysiłkiem wróciła spojrzeniem do jego twarzy.

- Co pan tu robi? - spytała podejrzliwie.

Czarne brwi znów wygięły się w łuk, a w oczach markiza Georgiana zauważyła wyraźną dezaprobatę. Takie spojrzenie zapamiętała z poprzedniego wieczoru i znów poczuła się jak wyjątkowo natrętny insekt. Bez ruchu wpatrywała się w Ashdowne'a, a on przechylił głowę, jakby chciał lepiej się przyjrzeć dziwnemu okazowi fauny.

- Naturalnie przyszedłem złożyć wyrazy współczucia lady Culpepper - odparł tonem, który miał zniechęcić wścibską pannicę do zadawania dalszych pytań. - A pani? - spytał, zerkając znacząco na ścianę budynku, która przyciągnęła uwagę Georgiany.

- Ja też właśnie to robiłam - odrzekła, starając się zebrać myśli. Poprzedniego dnia w stroju wieczorowym Ashdowne wydawał jej się bardzo atrakcyjny, zwłaszcza że poruszał się jak cień, ale - o dziwo - za dnia nic nie stracił ze swego uroku. W blasku słońca jego twarz rysowała się wyraziście, a skóra miała złotawy odcień. Ciemne, gęste

rzęsy lśniły, a w niebieskich oczach było tyle życia, że Georgiana musiała zaczerpnąć tchu. A te usta...

Nagle uświadomiła sobie, że wciąż wpatruje się w markiza. Dość zirytowało ją to spostrzeżenie, więc uznała, że jeśli sam jego widok robi na niej takie wrażenie, to dla własnego bezpieczeństwa powinna mocniej stąpać po ziemi, a mniej ulegać płochym emocjom.

- Aha - powiedział Ashdowne, dając tym do zrozumienia, że wcale jej nie wierzy, ale jako dżentelmen nie zamierza kwestionować tego wyjaśnienia. - Zdaje mi się, że nie byliśmy sobie przedstawieni, panno...

- Bellewether - dokończyła Georgiana zadowolona, że po odwróceniu wzroku od markiza, mówi jej się dużo łatwiej. - Chciałam... hm, chciałam bardzo przeprosić za... za to, że wczoraj wieczorem przewróciłam pana.

- Muszę wyznać, że schadzka w cieniu rośliny doniczkowej nie wydaje mi się dobrym pomysłem - powiedział i Georgiana natychmiast uniosła hardo podbródek.

- Co?! Ja wcale nie... - Szybko zorientowała się, że popełniła błąd. Jedno spojrzenie na usta Ashdowne'a wystarczyło, by znowu zabrakło jej słów. W okamgnieniu odwróciła się ku kwitnącym krzewom, którymi obsadzono alejki prowadzące w głąb posiadłości. - Wcale nie zamierzałam się z nikim spotkać - oświadczyła z godnością. Nie doczekała się jednak reakcji Ashdowne'a, więc zmarszczyła czoło i dodała: - Prawdę mówiąc, słuchałam ludzi i zbierałam informacje. To takie moje przyzwyczajenie, bo nigdy nie wiadomo, kiedy uda się odkryć coś naprawdę ciekawego.

- Ach, plotki - powiedział Ashdowne lekceważąco. Georgiana postanowiła przynajmniej trochę uodpornić się na widok tego człowieka, zatrzymała więc wzrok na jego halsztuku.

- Nie interesują mnie plotki ani pogłoski, tylko fakty, w tym wypadku dotyczące wczorajszego wieczoru. Tak, tak, milordzie mam talent do rozwiązywania zagadek i zamierzam go wykorzystać do rozwikłania tajemnicy wczorajszej kradzieży.

Spojrzała na niego wyzywająco, ale Ashdowne miał nieprzeniknioną twarz. Ani nie zrobił kpiącej miny, ani nie wydawał się szczególnie przestraszony, przez co Georgiana poczuła się w pewnym stopniu rozczarowana. Tak jakby spodziewała się, iż jej śmiała deklaracja skłoni markiza do natychmiastowego wyznania

licznych win. On jednak przechylił głowę i zaczął jej się przyglądać w sposób, który wydawał się panie Bellewether wysoce obraźliwy.

- A jak pani zamierza tego dokonać? - spytał.

Z mchu kącików jego ust wywnioskowała, że Ashdowne stroi sobie z niej żarty. Niestety, aż za dobrze znała tę reakcję.

Wszystko przez jej wygląd. Georgiana gorzko żałowała, że nie jest podobna do Hortense Bingley, starej panny, która straszyla swym wyglądem bywalców biblioteki w Upwick, albo do panny Mucklebone, uczonej kobiety noszącej grube okulary i znanej z okładania laską młodych ludzi o niewyparzonych językach. Kiedyś, jeszcze w latach szkolnych, Georgiana pożyczyła od koleżanki z klasy okulary, żeby poważniej wyglądać, ale natychmiast po jej powrocie do domu rodzice położyli kres temu pomysłowi. Musiała więc w spokoju znosić lekceważenie tych, którzy osądzali ją po wyglądzie, a do nich niewątpliwie należał markiz Ashdowne.

- Zamierzam wykryć sprawcę dzięki logicznemu rozumowaniu, milordzie - powiedziała, odrzucając głowę do tyłu. Tak ją zirytował, że wreszcie spojrzała prosto na niego i tym razem odczuła wyłącznie pogardę. - Wie pan, analiza faktów, budowanie najbardziej prawdopodobnych hipotez, wyciągnięcie wniosków. - Nieznacznie kiwnęła głową i chciała odejść. - A teraz przepraszam, milordzie, ale na mnie już czas. Życzę miłego dnia.

- Proszę się tak nie śpieszyć - powiedział Ashdowne, i ku konsternacji Georgiany, szybko się z nią zrównał. - Temat wydaje mi się pasjonujący. Proszę powiedzieć mi o tym coś więcej.

Spojrząwszy na niego z ukosa, Georgiana przekonała się, że Ashdowne kompletnie nie wierzy w jej zdolności. Wprawdzie niewielu ludzi wyrażało taką wiarę, ale zachowanie markiza było wyjątkowo irytujące. Skoro nie ufał jej zdolnościom, to po co udawał zainteresowanie?

- Nie wydaje mi się, żeby to pana ciekawiło - oznajmiła nieufnym tonem i dalej szła, nie zwalniając kroku.

- Naprawdę bardzo mnie interesują metody, o których wspomniała pani przed chwilą. - Ich spojrzenia znów się spotkały, a błękit jego oczu stał się nagle niewiarygodnie intensywny. Na szczęście dla Georgiany doszli przed front domu. Ashdowne zamierzał złożyć wizytę lady Culpepper, więc panna Bellewether

skwapliwie skorzystała z okazji, by uwolnić się od kłopotliwego towarzystwa.

- Obawiam się, że muszę już iść, milordzie. Może opowiem panu o tym innym razem - bąknęła i drżącą ręką ujęła za klamkę furtki. Wiedziała, że zachowuje się niegrzecznie, ale naprawdę nie znosiła, gdy ktoś bawił się jej kosztem. Szybko wyslizgnęła się na ulicę. Nie usłyszała za plecami kroków markiza, prawdopodobnie więc jeszcze nie wszedł do domu. Woląła jednak nie odwracać się i nie sprawdzać, czy nie odprowadza jej rozbawionym spojrzeniem.

Dopiero na rogu zorientowała się, że znowu straciła wspaniałą okazję do przesłuchania tego mężczyzny. Zaraz potem wydała o sobie nader krytyczny sąd. Jeszcze nigdy nie zachowywała się wobec mężczyzny jak głupia gęś! Wszystko wskazywało na to, że Ashdowne wywiera na nią bardzo dziwny wpływ.

Ta świadomość była dla niej upokarzająca.

Georgiana stała w pijalni i rozglądała się dookoła, opierając ciężar ciała to na jednej, to na drugiej stopie z nadzieją, że w ten sposób nieco rozrusza zdrtwiałe nogi. Zdawało jej się, że już wieki czeka na pojawienie się lorda Whalseya, który zwykle zaglądał tu po południu. Obyczaj bowiem nakazywał wszystkim bywać niemal codziennie w miejscach, w których koncentrowało się życie towarzyskie miasta.

W każdym razie Georgiana pielęgnowała wiarę w siłę obyczaju dla utwierdzenia się w przekonaniu, które wydawało jej się coraz mniej prawdopodobne. Chociaż Whalsey niewątpliwie postąpiłby mądrze, gdyby po epizodzie na balu nadal zachowywał się jak gdyby nic się nie stało, to równie dobrze mógł już gnać na łeb, na szyję do Londynu razem ze swym łupem. Ta myśl była przykra, bo jak Georgiana miałaby go ścigać? Nie wiadomo który raz przekleła ograniczenia, jakie narzucała jej płeć. Przez to nie mogła śledzić krok w krok swojego głównego podejrzanego.

Pozostało jej czekać, aż zjawi się w pijalni, musiała jednak przyznać, że jest to bardzo nużąca metoda. Siostry dawno już poszły na przechadzkę po Royal Crescent, a reszta znajomych spacerowała po okolicznych wzgórzach lub wybrała się na przejażdżki powozami. Tylko Bertrand, całkowicie zadowolony ze swego nieróbstwa, siedział w kącie i rozmawiał z młodymi ludźmi, których Georgiana próbowała utrzymać jak najdalej od siebie.

Tego dnia było to stosunkowo łatwe zadanie, wszyscy bez wyjątku byli bowiem podekscytowani kradzieżą i toczyli na ten temat ożywione rozmowy, w których wysuwali najbardziej fantastyczne przypuszczenia co do osoby winowajcy. Georgiana słuchała tych rozważań z niejakim zniecierpliwieniem, gdyż plotek było co niemiara. Na przykład większość wdów uważała, że do Bath ściągnęła banda, która zamierza sterroryzować całe miasto. Gdy zaś panna Bellewether słyszała takie banialuki, chciało jej się krzyczyć z rozpaczy.

Kradzież z pewnością nie była dziełem bandy, lecz pojedynczego człowieka, pomyślała, przestępując z nogi na nogę. Przed oczami przemknął jej obraz Ashdowne'a w czerni, ale szybko się od niego uwolniła. Owszem, markiz był podejrzany, przyszła tu jednak z powodu Whalseya i jego współnika, którzy zajmowali pierwsze miejsce na jej liście podejrzanych.

Znowu rozejrzała się po sali i wreszcie została nagrodzona za godziny wyczekiwania. Wicehrabia przeciskał się przez tłum, pozdrawiając po drodze swoje ulubione ciepłe wdówki w średnim wieku. Wreszcie usiadł, zaopatrzwszy się w kubek cuchnącej wody mineralnej, z której słyneło Bath.

- O, lord Whalsey! Dzień dobry - powiedziała Georgiana, śmiało podchodząc do arystokraty. Przedstawiono ich sobie przed kilkoma dniami, lecz nie wydawało jej się, by Whalsey ją poznał, natomiast niewątpliwie spojrzał z zainteresowaniem na jej biust. Opanowując irytację, Georgiana zmusiła się do uśmiechu. - Nie widziałam pana wczoraj po balu. Czyżby wyszedł pan wcześniej?

Pytanie było całkiem niewinne, ale Whalsey niespokojnie drgnął, a potem spojrzał jej badawczo w oczy, jakby czymś wystraszony. Georgiana poczuła nagły przypływ triumfalnych uczuć, na szczęście jednak wykazała duże opanowanie.

- A gdzie się podział pana towarzysz? Pan Cheever, jeśli dobrze pamiętam.

Whalsey w milczeniu poruszał ustami, mając bardzo niepewną minę. Georgiana natychmiast zaczęła się zastanawiać, jak szybko będzie mogła przekazać go w ręce wymiaru sprawiedliwości.

- Proszę posłuchać panno... panno...

- Bellewether - podsunęła mu z pewnym siebie uśmiechem. - Panowie, zdaje się, rozmawiali o czymś niezmiernie ważnym. Ciekawi mnie...

Przerwał jej głośnym kasznięciem, a twarz mu poczerwieniała.

- Nie wydaje mi się...

- Czy udało się panom osiągnąć swój cel?

Whalsey zerwał się z ławki z paniką w oczach. Tak bardzo chciał jak najszybciej się oddalić, że przez nieuwagę zatoczył ręką zbyt szeroki łuk i zawadził dłonią o kubek. Woda chlusnęła i zalała przód muślinowej sukni Georgiany. Zaskoczona tym ciepłym prysznicem, panna Bellewether cofnęła się i chwyciła się pulpitu na nuty.

Przez chwilę walczyła jeszcze o utrzymanie równowagi, balansując ciałem, w końcu jednak zatoczyła się do tyłu, pociągając pulpit za sobą. Drewniana konstrukcja trafiła skrzypka, który z kolei wpadł na swego kolegę i po chwili wszyscy muzycy leżeli na ziemi jak kostki domina. Ich upadkowi towarzyszyła seria głośnych, przenikliwych dźwięków, a potem w pijalni zapadła nagle cisza. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę Georgiany.

Ta bezsilnie przyglądała się ucieczce lorda Whalseya, mając spódnice zaczepione o przewrócony pulpit, a rękę unieruchomioną przez smyczek skrzypka. Dmuchnęła ze złością, żeby odsunąć pukiel włosów z twarzy, i wtedy nagle ujrzała męską dłoń w rękawiczce. Zerknąwszy do góry, napotkała ponure spojrzenie Ashdowne'a.

- Pani jest bardzo niebezpieczną osobką, panno Bellewether - powiedział z chmurną miną. Mimo to postawił ją na nogi równie łatwo jak poprzednio. Co więcej, wystarczyło jedno jego spojrzenie, by muzycy bez słowa pozbiali swoje instrumenty i z powrotem zasiedli do grania. Kuracjusze jak na komendę wrócili do swoich zajęć, a Georgiana wpatrywała się z nabożnym zachwytem w człowieka, który miał taką moc.

- Dziękuję - bąknęła, gdy odprowadził ją na bok. - Jeszcze raz przyszedł mi pan z pomocą.

- Przyznaję, panno Bellewether, że ma pani niezwykłą umiejętność popadania w tarapaty. A ja mam pecha zawsze być w pobliżu - dodał z kwaśnym uśmiechem.

Czy to było obraźliwe? - zastanawiała się Georgiana, usiłując dyskretnie odciągnąć od ciała przemoczony materiał, klejący jej się do piersi. Wprawdzie wilgotny muślin robił furorę wśród co

odważniejszych dam w Londynie, Georgiana nie miała jednak zamiaru podkreślać w ten sposób swoich wdzięków.

Ashdowne wyczarował skądś szal i otulił jej ramiona, najpierw jednak dokładnie przyjrzał się rozmiarowi kłęski i wtedy panna Bellewether poczuła, jak pod mokrym materiałem pojawiają jej się twarde grudki. To dziwne. Mnóstwo mężczyzn pożerało ją wzrokiem, na żadnego jednak nie zareagowała w ten sposób. Na wszelki wypadek ciaśniej owinęła się szalem.

Musiała być bardzo zakłopotana, jeśli nie zauważyła, skąd Ashdowne wziął szal i nawet nie zdenerwowała się tymi nieco zbyt poufałymi oględzinami. Co więcej, czuła nawet całkiem przyjemny dreszczyk na myśl o tym, w jaki sposób zwróciła na siebie jego uwagę.

Ashdowne jednak wydawał się niewzruszony jak zwykle. Znowu miał minę człowieka śmiertelnie znudzonego, a ona kolejny raz poczuła się jak natrętny insekt. Gdyby mogła chociaż rozłożyć skrzydła i odlecieć...

- Podejrzewam, że te katastrofy są nierozzerwalnie związane z pani niecodziennymi zainteresowaniami, zaczynam jednak dochodzić do wniosku, że potrzebny pani opiekun. Ktoś, kto chroniłby panią przed nadmiarem nieszczęść - powiedział.

Georgiana zamrugła powiekami. Markiz nie zamierzał chyba zadać sobie tyle trudu, żeby powiadomić o wszystkim jej ojca? Zresztą o ile wiedziała, nie było żadnych praw przewidujących karę za takie wypadki jak ten, który spotkał ją przed chwilą.

Co ten człowiek może mi zrobić? - rozmyślała Georgiana. Wnet jednak markiz się uśmiechnął i to stanowiło wystarczającą odpowiedź na jej milczące pytanie. Wszystko, czego zapragnie, pomyślała.

- A ponieważ zdaje się, że to ja jestem ofiarą większości pani wyczynów, byłoby rozsądnie, gdybym zgłosił się do tej pracy na ochotnika. - Georgianie znowu odebrało mowę.

ROZDZIAŁ TRZECI

Johnathon Everett Saxton, piąty markiz Ashdowne, uniósł ciemną brew, zdziwiony miną swojej towarzyszki. Przez lata kobiety przesyłały mu najróżniejsze spojrzenia, nigdy jednak żadna nie patrzyła na niego tak, jakby jego widok wprawiał ją w popłoch graniczący z paniką. Panna Georgiana Bellewether okazywała się jak zwykle w najwyższym stopniu niekonwencjonalna.

Być może jego propozycja opieki nie schlebiała tej pechowej pannie, ale na pewno nie oczekiwał z jej strony tak oczywistego przerażenia. Niezaprzeczalna uroda i uwodzicielski czar zawsze zapewniały mu powodzenie u kobiet, a odkąd został markizem, czuł się nawet nieco znużony ich nadmiernym zainteresowaniem. Nie mógł już z entuzjazmem flirtować, przeszkadzała mu w tym bowiem myśl, że wszystkie damy zwracają uwagę przede wszystkim na jego tytuł.

Ale pannie Bellewether trudno byłoby zarzucić fascynację jego tytułem. Biedaczka powinna rozplýwać się z wdzięczności, że okazał jej tyle zainteresowania, ona jednak wydawała się zakłopotana i głęboko zaniepokojona, jakby widziała w ich znajomości coś niewłaściwego. Doprawdy musiała to być złośliwość losu, że jedyna kobieta, która nie myślała o sobie jako o przyszłej markizie, była, delikatnie mówiąc, niezupełnie przy zdrowych zmysłach. W dodatku okazała się niebezpieczna.

Początkowo wcale się tego nie spodziewał. Zwrócił na nią uwagę podczas balu u lady Culpepper i natychmiast uległ jej wdziękowi jak każdy normalny mężczyzna. Panna Bellewether miała bowiem takie ciało, że ktoś mniej opanowany zacząłby się ślinić w halsztuk. Zmysłowe krągłości, burza jasnych loków i delikatny owal anielskiej twarzy dawały jej prawo wstępu na londyńskie salony. Nie zabrakłoby jej adoratorów mimo skromnego pochodzenia. Mogłaby też zostać królową półświatka, najbardziej pożądaną córą Koryntu w mieście.

Naturalnie warunkiem jej powodzenia byłaby umiejętność trzymania języka za zębami. No i wystrzeżenie się gwałtownych ruchów, pomyślał Ashdowne. Niestety, każde poruszenie panny Georgiany Bellewether groziło katastrofą. Wydawało mu się, że nie ma na świecie drugiej równie niezręcznej istoty. Po zdarzeniu, jakie miało miejsce poprzedniego wieczoru, wciąż był nieco obolały. Całe szczęście, że panna Bellewether zraniła jedynie jego męską dumę, bo inaczej wieczór należałoby uznać za stracony pod każdym względem.

Ale to był dopiero początek. Potem zdążyła jeszcze zadać mu cios najcięższą torebką świata i bez niczyjej pomocy obalić cały kwartet.

Nie dość tego, że ściągała na siebie nieszczęście za nieszczęściem, to jeszcze upierała się przy swoich detektywistycznych talentach! Wprawdzie prawie wszyscy mężczyźni obecni poprzedniego wieczoru na balu wyrobili sobie własną teorię na temat kradzieży, niewielu jednak posunęłoby się do twierdzenia, że są zdolni ująć złodzieja. A już na pewno nie był do temat do rozmowy dla prawdziwej damy!

Ashdowne nie wiedział, czy ma się śmiać, czy załatwić pannie Bellewether szybkie przyjęcie do zakładu dla obłąkanych.

Poprzestał zatem na wnikliwej obserwacji. Dawno temu nauczył się słuchać swego instynktu, a ten wysyłał mu alarmujące sygnały, gdy tylko panna Bellewether znajdowała się w pobliżu. Mogło chodzić o czysto fizyczne zagrożenie, lecz również o coś zupełnie innego. O co? Tego Ashdowne również nie wiedział.

Musiał przyznać, że mimo wszystko ciekawi go, w jakich opałach znajdzie się panna Bellewether następnym razem. Być może było to zainteresowanie tego samego rodzaju co fascynacja tłumu publicznymi egzekucjami. Tak czy owak nie potrafił ignorować panny Georgiany, choć czasami zdawało mu się, że uprawia flirt ze złowrogim fatum.

Była co najmniej zabawna, poza tym Ashdowne nie pamiętał, kiedy ostatnio coś tak bardzo go zaintrygowało, wyjąwszy może niedawne kłopoty ze szwagierką. Odkąd odziedziczył tytuł, jego życie stało się niewiarygodnie szare, a on nienawidził nudy. Dlatego zawsze odnosił się z lekką pogardą do swojego flegmatycznego, konserwatywnego brata.

Dopiero gdy ten kostyczny dżentelmen opuścił ziemski padół wskutek ataku apopleksji, Johnathon, który odziedziczył tytuł, pojął, jak męczące jest życie markiza. Naturalnie mógł nie przyjąć tej odpowiedzialności, lecz niestety zależał od niego los zbyt wielu ludzi, od chłopów począwszy, a na służbie we dworze skończywszy. Johnathon skupił się więc na odgrywaniu roli markiza Ashdowne i chociaż tego nie żałował, to czuł się tak, jakby przepłynął wiele metrów pod wodą i dopiero teraz wynurzył się, by zaczerpnąć powietrza.

Najgorsze, że szumiało mu w głowie, a wszystko przez pannę, która właśnie stała obok niego.

- To, doprawdy nie jest potrzebne - odrzekła Georgiana bez tchu, jakby jeszcze nie całkiem doszła do siebie po przygodzie w pijalni. Pysznic w leczniczej wodzie może naprawdę przyprawić o utratę oddechu, uznał Ashdowne, zerkając na pannę Bellewether w mokrej muślinowej sukni.

Na wszelki wypadek spróbował pomyśleć o czym innym. Boże, za długo nie miał kobiety, skoro tak na niego działało to nieporadne stworzenie.

- Proszę pozwolić, że przynajmniej odprowadzę panią do domu - powiedział. - Gdzie się pani zatrzymała?

Z zadowoleniem usłyszał, że Georgiana podała mu adres, acz dość niewyraźnie. Nie miało to jednak znaczenia, bo już wcześniej zadał sobie trud dowiedzenia się wszystkiego o ściągającej katastrofy pannie Bellewether. Lady Culpepper okazała się w tej sprawie bardzo pomocna.

Oburzona matrona długo wyrzekała na zuchwałą pannicę, która wprosiła się do jej domu tylko po to, by oświadczyć, że rozwiąże sprawę kradzieży. Słuchając tej wygłaszanej skrzeczącym głosem diatryby, Ashdowne nie wierzył własnym uszom. Przykładni obywatele raczej rzadko ofiarowywali pomoc w sprawach związanych z przestępstwem, a na pewno nie robiły tego panny z dobrych domów. Co też tej dzierlatce wpadło do głowy?

Ashdowne ponownie zerknął na pannę Bellewether, jakby trudno było mu dostrzec samozwańczego detektywa w istocie o tak niewinnym wyrazie twarzy. Zdumiony, pokręcił głową, Georgiana najwyraźniej wyzbyła się nieco zakłopotania, nie otulała się już bowiem z całej siły szalem, który pożyczył od jakiejś matrony. Patrzyła prosto przed siebie, dumnie wyprostowana, jakby przygotowywała się do wygłoszenia ważnego oświadczenia. Ashdowne mimo woli pochylił się ku niej, żeby nie uronić ani słowa z jej wypowiedzi.

- Doceniam zaofiarowaną mi pomoc, milordzie, ale podkreślam, że nie wybieram pana na...

- Na ofiarę tortur? - odpowiedział kwaśno.

Nie podejrzewał o to panny Bellewether, a jednak mimo swej falbaniasto - riuszkowatej powierzchowności zrobiła minę świadcząca

o tym, że nie brak jej temperamentu. Potrząsnęła złocistymi lokami i spiorunowała wzrokiem Ashdowne'a, co wydało się mu wręcz czarujące. Naprawdę musiał być bardzo stęskniony za rozrywkami.

- Proszę mi lepiej powiedzieć, jak przebiega śledztwo - zmienił temat.

Chyba nie udobruchał panny Bellewether tym małym podstępem.

- Całkiem dobrze! - odparła prowokująco, jakby spodziewała się, że jej nie uwierzy. - Właściwie już jestem prawie pewna, kim byli sprawcy.

- Sprawcy? - powtórzył Ashdowne. - Czy to znaczy, że nie chodzi o jedną osobę?

Ku jego zaskoczeniu zerknęła na niego tak podejrzliwie, że natychmiast poczuł się nieswojo. Najwyraźniej zauważyła coś, czego nikt inny nie był w stanie dostrzec. Na myśl o tym po plecach przebiegły mu zimne ciarki. Z dużym niepokojem czekał na odpowiedź.

Ale gdy wreszcie padła, okazała się równie niespodziewana jak wszystko, co mówiła panna Bellewether.

- Nie czuję się uprawniona do rozmów o śledztwie - powiedziała cicho, odwracając wzrok.

Śmiertelna powaga w jej głosie stropiła markiza. Zapomniał o wyćwiczonej pozie uwodziciela i obrzucił Georgianę zdumionym spojrzeniem. Co ta panienska z sianem na głowie sobie wyobraża? Przez chwilę zupełnie nie wiedział, czy się śmiać, czy ją udusić.

Nie bez wysiłku powstrzymał się od ciętej riposty i spróbował przyoblec maskę pokory. Ale ponieważ na co dzień nie miał jej w swym repertuarze, efekt jego wysiłków daleki był od ideału.

- Naturalnie nie chciałbym pani przeszkadzać w śledztwie - powiedział gładko. - Wręcz przeciwnie. Może gdybym zaofiarował się z pomocą jako... no, powiedzmy jako ktoś w rodzaju asystenta, to byłoby pani łatwiej zdobyć się na szczerłość.

Panna Bellewether spojrzała na niego ostro, przekonana, że stroi sobie z niej żarty, ale Ashdowne w pełnym pokory milczeniu czekał cierpliwie na odpowiedź.

- Och! Nie rozważałam... - Nie dokończyła.

Ashdowne na pozór obojętnie poddał się oględzinom jej błękitnych oczu, chociaż było to trudne, miał bowiem chęć zacisnąć

jej ręce na szyi... a może raczej zsunąć je niżej, gdzie nad brzegiem szala bieleły się krągłe piersi.

- Chcę powiedzieć, że zawsze pracuję sama - wymamrotała, patrząc na czubki swoich bucików.

Podczas rozmów, które z nim toczyła, weszło jej to w nawyk. Ashdowne nie do końca rozumiał znaczenie tego gestu, był jednak przekonany, że nie wynika on ze skromności ani wstydlivosti, czego zresztą szczerze żałował.

- Możliwe, ale jako mężczyzna zapewne mógłbym się pani przydać - przekonywał.

Zerknęła na niego zaskoczona i splonęła rumieńcem. Ashdowne'a ogarnęło niezrozumiałe poczucie triumfu. Przynajmniej nie jest całkowicie obojętny tej dzierlatce, skoro potraktowała jego propozycję tak osobiście i dosłownie.

- Chciałem przez to powiedzieć, że będzie mi łatwiej dotrzeć do niektórych kręgów towarzyskich. Mogę bywać w miejscach, które dla pani są niedostępne - uściślił.

Przez chwilę zdawało mu się, że tonie w otchłani błękitu. Zatrzymali się przed domem panny Bellewether, więc zbliżył się do niej, nie bez miłych oczekiwań.

Dużo czasu minęło, odkąd ostatnio był z kobietą. Za dużo. A panna, która przed nim stała, rozbudzała wszystkie jego zmysły. Ech, ta zaróżowiona skóra, te lśniące włosy i usta jakby stworzone do całowania...

- Georgie! - Dobiegające z wnętrza domu wołanie wyrwało Ashdowne'a ze słodkich marzeń.

Panna Bellewether drgnęła. Czyżby również uległa urokowi chwili i pogrążyła się w niebezpiecznych fantazjach na temat swego rozmówcy? Zresztą Ashdowne musiał przyznać, że i on jest poważnie zaniepokojony swą uległością wobec czaru, emanującego z tego ślicznego ucieleśnienia wszelkich klęsk.

- Zastanowię się nad pańską propozycją - powiedziała takim tonem, że należało to uznać za odprawę. Potem odwróciła się i szybko wbiegła do domu, jakby ścigały ją demony. Zaś Ashdowne pozostał na chodniku niczym odprawiony z kwitkiem domokrażca.

Trzask zamykanych drzwi wyrwał go z osłupienia. Nie pamiętał, kiedy ostatnio został potraktowany w tak obcesowy sposób. Nawet gdy był jeszcze tylko młodszym synem markiza, obracał się w

najlepszym towarzystwie. Elegancja, wdzięk i majątek zapewniały mu wstęp do wszystkich salonów.

Wzruszywszy ramionami, ruszył powoli spod domu panny Bellewether. Był pewien, że ukryła się przed nim tak szybko nie tylko ze wstydu, i to bardzo go rozbawiło. Nie był aniołem, lecz nie należał również do mężczyzn, którzy znajdowali przyjemność w zdobywaniu niedoświadczonych panien. Dlaczego więc panna Bellewether wydawała się tak bardzo spłoszona?

Miał pewne podejrzenie, postanowił jednak najpierw je sprawdzić. Nie zamierzał pozwolić, by panna Georgiana Bellewether wyróciła jego życie do góry nogami.

Lord Whalsey jakby zapadł się pod ziemię! Georgiana omal nie jęknęła głośno z rozpaczy. Poszła z rodziną na przyjęcie w nadziei, że znów spróbuje coś z niego wydobyć, a tymczasem okazało się, że nie ma ani jego, ani pana Cheevera. Co począć? Whalsey mógł być w pijalni albo na koncercie. Istniało też niebezpieczeństwo, że wyjechał do Londynu, by tam sprzedać naszyjnik.

Gorączkowo zastanawiała się, co powinna teraz zrobić. Naturalnie mogła podzielić się swoimi spostrzeżeniami z sędzią pokoju, ale doświadczenie nauczyło ją, że wszyscy dżentelmeni przejawiali daleko posuniętą nieufność wobec jej talentów detektywistycznych. Podśluchana rozmowa i gwałtowna reakcja Whalseya prawdopodobnie nie przekonałyby sędziego pokoju, a zaniepokojony wicehrabia zyskałby czas na przygotowanie ucieczki i ukrycie skradzionych klejnotów.

Odgarnęła pukiel włosów z czoła i oparła się o balustradę. Gdy poproszono ją do tańca, wymówiła się bólem głowy i zbiegła na balkon z widokiem na ogródek. Tu w ciszy próbowała obmyślić następny krok, ale niestety, bardzo szybko jej w tym przeszkadzono.

- O, panna Bellewether. Nad jaką nową katastrofą pani rozmyśla?
- Głos pytającego był dźwięczny i dobrze jej znany. Odwróciła się zaskoczona.

W pobliżu wyjścia na balkon majaczyła wysoka sylwetka Ashdowne'a. Jak długo już tam stał? Wolą się nad tym nie zastanawiać, bo to kazałoby jej zważyć we własną spostrzegawczość, z której była bardzo dumna. Przeszył ją dreszcz. Markiz był niepodobny do innych arystokratów. Różnił się też ogromnie od wszystkich znanych jej mężczyzn.

- Ja... - Zamilkła, gdy tylko stanął w jaśniejszym miejscu, cały w czerni, z poważną miną. Georgiana zauważyła, jak przyspiesza jej puls, a w dodatku ciałem wstrząsnął lekki dreszcz. Zaczęła rozcierać ramiona w nadziei, że pozbędzie się tego przykrego wrażenia, ale ku jej rozczarowaniu objawy nie ustąpiły. Natomiast Ashdowne podszedł jeszcze bliżej.

- Mam nadzieję, że myśli pani o mnie - powiedział cicho, a Georgiana gwałtownie zamruwała powiekami.

Sądziła, że jest odporna na męskie wdzięki, ale przykład Ashdowne'a dowodził tego, jak bardzo się myliła. Niczym przewlekła choroba drażnił jej zmysły i zakłócał spokój umysłu, chociaż starała się przed tym bronić. Gdy stał tak przed nią, bardzo zadowolony z siebie, całkiem straciła kontenans. Wcale jednak nie zamierzała się do tego przyznawać przed tym arogantem, dlatego dumnie uniosła głowę i gniewnie spojrzała na jego halsztuk.

Roześmiał się cicho, wyraźnie rozbawiony jej oporem i uporem.

- Nie? Mimo wszystko spróbuję panią przekonać. Zamruczał niczym dziki kocur, czym jeszcze bardziej zmieszał Georgianę.

- Przekonać mnie... a o czym?

- Żeby pani mnie wzięła... Georgiana nabrała powietrza do płuc.

- .. na pomocnika - dokończył, a ona odetchnęła z ulgą. - Proponuję swoje usługi, ponieważ chcę panią wesprzeć w dochodzeniu sprawiedliwości. Więc jak będzie, panno Bellewether?

Zawahała się. Bohatersko spojrzała na niego kątem oka. Początkowo sądziła, że Ashdowne odnosi się do jej talentu tak samo jak inni mężczyźni. Wydał jej się pewny swojej wyższości prześmiewcą, który nawet nie zechce wysłuchać jej teorii. Teraz jednak powoli przestawała wątpić w jego szczerość. Nie miał już wyrazu twarzy, na widok którego czuła się jak natrętny insekt. Zdawało się jej również, że dostrzega w jego wzroku wyraz pewnego zainteresowania.

Zamruwała powiekami, ale nic się nie zmieniło. Wyglądało na to, że po raz pierwszy w życiu spotkała mężczyznę, który naprawdę jest ciekaw jej zdania. Świadczyły o tym oczy Ashdowne'a, bystre i czujne jak zawsze. Lśniły dość drapieżnie, toteż Georgiana poczuła lekkie ściskanie w żołądku. Od dłuższej chwili markiz nie powiedział ani słowa, ale zdawało się jej, że coś wisi w powietrzu. W każdym razie

miała wrażenie, że jest o krok od rozwiązania jednej ze swych zagadek.

Zanim bez reszty ogarnął ją zamęt, odwróciła głowę i zacisnęła dłonie na balustradzie. Próbowwała nie myśleć o korzyściach płynących z pozyskania tak wpływowego sojusznika. Walczyła z silną pokusą. Tylko czy rzeczywiście powinna dzielić się swymi przypuszczeniami z podejrzanym? Wzdrygnęła się na tę myśl, chociaż był to bardziej przejaw silnych emocji niż lęku.

Z drugiej strony właśnie przed chwilą zastanawiała się przecież, co dalej zrobić w sprawie lorda Whalseya i pana Cheevera. Ich wina wydawała się prawie oczywista, niemądrze więc byłoby żywić podejrzenia co do Ashdowne'a. Natychmiast jednak przywołała się do porządku. Wobec markiza zawsze należało mieć się na baczności. Gdy stał obok niej, skąpany w księżycowej poświacie, roztałcał złowrogą aurę, jakiej z pewnością nie miał ani Whalsey, ani Cheever. Georgiana dobrze wiedziała, że nie powinna zostawać z markizem sam na sam. Jej matka wpadłaby w panikę.

Ale właśnie ta złowroga aura mogła okazać się pomocna, ponieważ Ashdowne wyglądał tak, jakby był zdolny do wszystkiego. Z pewnością łatwo poradziłby sobie z najgroźniejszymi przestępcami.

- Może istotnie będzie mógł mi pan pomóc - zgodziła się z wahaniem, wpatrując się w mrok.

- Tak? - To był prawie szept, tylko jedno słowo, a mimo to jej zmysły jeszcze nigdy nie zostały tak pobudzone.

Zirytowana tym Georgiana próbowała się skupić na konkretach.

- Bo, widzi pan, odkryłam już, kim są złodzieje. Obawiam się jednak, że uciekną z Bath, jeśli nikt ich nie powstrzyma.

- Aha. A co pani proponuje? - spytał. Nie śmiał się z niej. Nie kpił. W jego zachowaniu nie można się było dopatrzeć ani cienia pogardy. Georgiana natychmiast poczuła ulgę. Może rzeczywiście powinna mieć pomocnika? Przecież już to, że mogła podzielić się z Ashdowne'em swymi przypuszczeniami, dodało jej wiary w siebie.

- Nie jestem do końca pewna - przyznała. - Prawdę mówiąc, nie mam dowodu, który mogłabym przedstawić sędziemu pokoju. To nieważne, bo on i tak zapewne nie chciałby tracić czasu na wysłuchiwanie moich teorii. - Zamilkła, znów bowiem pomyślała o niesprawiedliwości tego świata. - Obawiam się, że nie mam innego wyjścia jak konfrontacja ze sprawcami.

- Panno Bellewether - powiedział Ashdowne tonem, który nakazywał skupienie uwagi na nim i jego słowach. Georgiana posłusznie podniosła głowę, ujrzała błysk jego oczu i natychmiast poczuła dreszcz. - Nie będzie pani stawać do konfrontacji z żadnym przestępcą.

Zabrzmiało to jak stanowczy zakaz, więc zmarszczyła czoło, lecz postanowiła zachować pozory uległości, gdyż mogła wykorzystać sprzeciw Ashdowne'a jako środek prowadzący do celu.

- Waśnie, milordzie... tu jest miejsce dla pana.

- Chce pani, żebym to ja stanął do konfrontacji z tym człowiekiem? - Ashdowne znacząco uniósł brwi.

- Tak... Uważam, że to bardzo dobre zadanie dla pomocnika. A pan jak sądzi? - spytała z niepewnym uśmiechem. - Proszę się nie martwić, ja też tam będę i powiem wszystko, co trzeba. W zasadzie nie wątpię, że uda mi się skłonić przynajmniej jednego z nich do przyznania się. Już i tak wpadł w niezły popłoch, kiedy rozmawiałam z nim w pijalni. To bardzo obciążająca okoliczność. Ashdowne zacisnął usta.

- Czy chce pani powiedzieć, że dziś rano padła pani ofiarą jakiegoś ciemnego typu?

- No, szczerze mówiąc...

Mruknął pod nosem coś, czego nie zrozumiała.

- To naprawdę szczęście, że tylko na tym się skończyło! - wybuchnął po chwili. - Nie może pani sama ścigać przestępców. Nie ma pani pojęcia, do czego są zdolni. Widziałem kilku takich w Londynie. Za szylinga poderżnęliby pani gardło.

- Och, wiem, o czym pan mówi, i całkowicie się z panem zgadzam - odrzekła Georgiana. - Czytam na bieżąco londyńską prasę, zwłaszcza rubryki kryminalne i informacje o bohaterских czynach detektywów z Bow Street. Zapewniam pana jednak, że mój podejrzany nie jest zwykłym rzezimieszkiem.

Ashdowne nie wydawał się uspokojony. Przeciwnie, minę miał ponurą, rysy stężałe. Ku zaskoczeniu Georgiany wyciągnął ku niej rękę, a gdy zacisnął dłonie na jej nagich ramionach, poczuła promieniujące od nich ciepło. Było ono równie niepokojące jak nagła przemiana markiza Ashdowne z eleganckiego, uroczego mężczyzny w dzikiego drapieżnika.

- Panno Bellewether, nie będzie pani z nikim stawać do konfrontacji - oznajmił z naciskiem.

- Myślę... - Chciała zdecydowanie zaprotestować. Przecież jeszcze nawet nie wyraziła zgody na to, by ten arogant został jej pomocnikiem, a już zaczynał dyktować jej warunki. Nie tak to sobie wyobrażała, choć musiała przyznać, że Ashdowne zawsze potrafi ją zaskoczyć swym zachowaniem. Tym razem również się na nim nie zawiodła, bo ku jej zdumieniu nagle pochylił się i zamknął jej usta pocałunkiem.

Naturalnie całowano ją już przedtem, ale nikomu jeszcze nie udało się wzbudzić w niej entuzjazmu dla tej poufałości. Zawsze z niesmakiem myślała o tym, że ktoś swoimi wargami dotyka jej ust. Aż do teraz.

Ashdowne udowodnił, jak niezręczni byli jego poprzednicy. Sam postąpił jak wirtuoz. Najpierw ledwie musnął jej usta, jakby obiecując pieśczętę i rozbudzając oczekiwania. Nie spełnił ich jednak natychmiast, lecz przesunął wargami po policzku dziewczyny, powiekach i czole, na które opadł pukiel jasnych włosów. Potem pocałował ten zabłąkany lok, a myśli Georgiany poszybowały ku nie nazwanym rozkoszom.

- Uczta bogów, hm? - szepnął, kryjąc twarz w jej włosach, a potem, ku radości panny Bellewether, znów zaczął ją całować. Gdy położyła dłonie na haftowanej jedwabnej kamizelce markiza, niepewnie nabrała tchu, wyczuła bowiem przez materiał ciepło ciała. Dotyk okazał się tak fascynującym doznaniem, że przesunęła dłońmi po klatce piersiowej Ashdowne'a i zatrzymała je na plecach, pod frakiem.

Zachęcony tym przejawem przyzwolenia, Ashdowne ostrożnie dotknął jej warg językiem, a potem zdziwiona Georgiana stwierdziła, że jego język wdziera się głębiej. To ciekawe, że taka dziwaczna pieśczęta sprawia tyle przyjemności, pomyślała, oszołomiona niezwykłym doznaniem. Czyżby tak właśnie smakowała namiętność?

Ta myśl jakoś znalazła drogę do jej wzburzonego umysłu i Georgiana uznała, że chyba znaleźli się w dość niestosownym położeniu. Ta dłoń w eleganckiej skórkowej rękawiczce nie powinna leżeć jej na karku, a ona nie powinna odchyłać głowy ani otwierać ust. Nie powinna być tak blisko Ashdowne'a przede wszystkim zaś nie powinna tak nieskromnie wzdychać...

Jak przez mgłę usłyszała odgłos kroków i wtedy, ku jej rozczarowaniu, Ashdowne cofnął usta.

- Kogo pani podejrzewa? - szepnął jej do ucha. Dość długo trwało, nim oszołomienie minęło na ryle, że zrozumiała sens tego pytania.

Tymczasem Ashdowne cofnął się, a jej ramiona nagle zawisły w próżni.

- Podejrzewam? - szepnęła. - Och, hm... Lorda Whalseya i pana Cheevera.

- Aha - powiedział cicho, cofając się w mrok. - Każę obserwować dom Whalseya.

Ogarnęło ją tak wielkie rozczarowanie, że chciała zawołać za nim, żeby wrócił. Ale Ashdowne bezszelestnie znikł.

- Panna Bellewether! - Odwróciła się z poczuciem winy i drgnęła, ujrawszy wielebnego Hawkinsa. - Dobrze się stało, że wyszedłem zaczerpnąć świeżego powietrza, bo nie powinna pani być tutaj sama - powiedział, zerkając na jej kobiece wdzięki. Georgiana bardzo się ucieszyła z panującego wokół mroku, była bowiem pewna, że oblała się jaskrawym rumieńcem.

- Właśnie miałam wejść do środka - zdołała wyjąkać.

Pan Hawkins zdawał się zawiedziony, zaofiarował się jednak, że ją odprowadzi. Wprawdzie jego ramię było mamą namiastką ramienia Ashdowne'a, ale Georgiana musiała się tym zadowolić. Próbując uporządkować myśli, wróciła na salę balową. Machinalnie rozejrzała się dookoła i natychmiast dostrzegła lady Culpepper pochłoniętą rozmową z czarnowłosym dżentelmenem.

- Widzę, że szybko się otrząsa ze strapienia - stwierdził pan Hawkins. spoglądając ze zmarszczonym czołem w stronę rozbawionej damy.

Była to dziwna uwaga jak na duchownego. Uświadomiwszy to sobie, Georgiana pozwoliła sobie na dwuznaczny żart.

- Może ten dżentelmen niesie jej pociechę - szepnęła. Pan Hawkins zareagował pomrukiem, który bardziej pasowałby do lwa salonowego niż do osoby duchownej.

- Kto to jest? - spytała Georgiana, przyglądając się mężczyźnie z dużym zainteresowaniem. Był wysoki, przystojny, ubrany elegancko, acz skromnie.

- Jeden z najbogatszych i najbardziej aroganckich mężczyzn w tym kraju - odrzekł pan Hawkins z pogardą. - Jest spokrewniony z połową naszej arystokracji, ale pieniędzy ma prawie tyle, co wszyscy oni razem wzięci.

- Może wobec tego jest krewnym lady Culpepper?

- Tak powiadają. Prawdopodobnie przywiózł z Londynu kogoś, kto zajmie się sprawą zaginionego naszyjnika. Wątpię, by przejął się zbyt nią, bo dla niego takie klejnoty są jak jarmarczne świecidełka. Trochę to wszystko dziwne, moim zdaniem.

Georgiana tak energicznie odwróciła głowę ku swemu towarzyszowi, że kosmyk włosów zsunął się jej prosto w oko. Odgarnęła go zniecierpliwiona. Serce zabiło jej gwałtowniej.

- A kogo sprowadził z Londynu? - spytała.

- Jakiegoś detektywa z Bow Street - odrzekł pan Hawkins. - Myślę jednak, że nawet najlepszy fachowiec w tej branży nie doszedłby do ładu z jaśnie państwem - dodał zgryźliwym tonem.

Ale Georgiana przestała zwracać na niego uwagę. Wszystkie myśli skupiła na przybyszu z Bow Street. Wreszcie, po tylu latach czytania o osiągnięciach tych nieustraszonych tropicieli przestępców, miała szansę osobiście poznać jednego z nich! Rozejrzała się w poszukiwaniu Ashdowne'a, ale nigdzie nie mogła go wypatrzeć. Przez chwilę myślała z pewną irytacją o jego skłonnościach do wiecznego znikania.

Ale może poszedł do lorda Whalseya? Nie mógłby wybrać lepszej chwili. Wprawdzie Georgiana chętnie porozmawiałaby z detektywem jeszcze tego wieczoru, ale myśl o tym, że Ashdowne pilnuje jej głównego podejrzanego, bardzo ją uspokoiła. Postanowiła więc poczekać i przełożyć rozmowę z łowcą przestępców na jutrzejszy ranek. Gdyby wszystko poszło po jej myśli, w południe sprawcy kradzieży byłiby już ujęci. Pozostawało mieć nadzieję, że Whalsey nie zdążył pozbyć się klejnotów i Georgiana będzie mogła osobiście oddać lady Culpepper drogocenny naszyjnik.

Wtedy ta niewdzięczna dama w końcu zmieniłaby zdanie o pannie Bellewether i zaczęłaby traktować ją z należną powagą. Georgiana ledwie mogła opanować podniecenie. Wreszcie wymarzona kariera detektywa stała przed nią otworem!

ROZDZIAŁ CZWARTY

Georgiana stała na ulicy, naprzeciwko rezydencji lady Culpepper i starała się nie zwracać niczyjej uwagi. Było to dość trudne, zważywszy, że trwała na posterunku od wczesnego ranka. Już od pewnego czasu służba z okolicznych domów przyglądała jej się dość podejrzliwie, podobnie zresztą jak domokrażca, który akurat zabłądził w ten rejon. Mimo to Georgiana nieustępliwie spacerowała tam i z powrotem, miała bowiem do spełnienia ważną misję.

Prędzej czy później detektyw z Bow Street, który przyjechał poprzedniego wieczoru, musiał przyjść obejrzeć miejsce przestępstwa. Tak w każdym razie rozumowała Georgiana i zamierzała skorzystać z tej okazji, by zamienić z nim kilka słów. Ale ponieważ lady Culpepper nie miała zwyczaju wstawać o świcie, jej nieuniknionego spotkania z detektywem należało się spodziewać raczej później niż wcześniej. Do tej pory w okolicach domu pojawiali się jedynie służący i dość niechlujny mężczyzna w średnim wieku, który dostał się do rezydencji wejściem dla służby.

Gdy po ponad półgodzinie ten sam człowiek wyszedł z budynku, Georgiana nie zwróciła na niego uwagi, dopóki nie ruszył prosto w jej kierunku. Niechętnie zmarszczyła czoło, nie miała bowiem ochoty na pogawędkę z mężczyzną, który zapewne chciał jej coś sprzedać. Musiała skupić się na obserwowaniu rezydencji, a rozmowa z nieznanym mogła osłabić jej czujność.

- Przepraszam panią - odezwał się grzecznie mężczyzna, a ona w odpowiedzi skinęła mu głową. Przystanął tuż przed nią, więc musiała wyciągnąć szyję, by nie stracić z oczu drzwi rezydencji. - Wydaje mi się pani zainteresowana tamtym domem. Czy mogę spytać o przyczynę?

Zaskoczona nieokrziesaniem obcego, jeszcze raz oceniła go wzrokiem. Odzienie miał marnie skrojone, lecz przyzwoite, a w Bath można było spotkać dosłownie każdego. Mimo że omal nie jęknęła ze zniecierpliwienia, okazała mu więc uprzejmą wyrozumiałość.

- Nie słyszał pan? Wczoraj przyjechał z Londynu detektyw, który ma się zająć śledztwem w sprawie kradzieży klejnotów lady Culpepper.

Nieznanomy zmarszczył brwi, jakby ta odpowiedź go zaskoczyła. Na twarzy miał grymas człowieka znużonego światem, co dodawało mu wieku. W innych okolicznościach Georgiana chętnie poznałaby

kogoś spoza swojego kręgu towarzyskiego, ale teraz była zajęta czymś innym. Nie miała też czasu opowiadać mężczyźnie o szczegółach dotyczących zuchwałej kradzieży.

- Przepraszam, że pytam, ale co pani ma z tym wspólnego? - spytał z żywym zainteresowaniem.

- Czekam na tego detektywa! - odparła wyniośle Georgiana z nadzieją, że mężczyzna potraktuje to jako odprawę.

Tak się jednak nie stało. Ku jej irytacji, nieznajomy wciąż zasłaniał jej widok na rezydencję, a był, niestety, dość krępej postury. Co gorsza, wcale nie przejawiał zamiaru odejścia, tylko schylił głowę w namiastce ukłonu.

- Wilson Jeffries do pani usług.

Czy on nigdy sobie nie pójdzie? Georgiana zauważyła nagłe poruszenie po drugiej stronie ulicy, więc raptownie się odchyliła, żeby spojrzeć mężczyźnie przez ramię.

- W jakim celu chciała pani mnie widzieć?

- Pana? - zdumiała się Georgiana. Mężczyzna skinął głową i uśmiechnął się nieznacznie.

- Tak, proszę pani. Jestem z Bow Street.

Panna Bellewether gwałtownie nabrała tchu, nagle bowiem ruch przed domem lady Culpepper przestał ją interesować, a jej uwagę całkowicie pochłonął stojący przed nią mężczyzna. Prawdę mówiąc, przeżyła lekkie rozczarowanie, gdyż Wilson Jeffries nie bardzo odpowiadał jej wyobrażeniu o doświadczonym tropicielu złodziei z Londynu. Powinien to być ktoś młody i bardzo męski, potężnie zbudowany, w dodatku od ciągłego przestawania z kryminalistami roztaczający wokół siebie aurę występku.

Tymczasem stał przed nią człowiek średniego wzrostu i krępej budowy. Ponieważ lekko się garbił, wydawał się bardzo znużony, na co wskazywał także wyraz jego piwnych oczu. Miał na sobie pogniecione ubranie, a w jego zachowaniu nie było nic groźnego. Krótko mówiąc, wyglądał bardziej na sklepikarza niż na doświadczonego detektywa.

Wilson Jeffries nie wydawał się zbyt bystry i groźny, więc Georgiana natychmiast uznała ich spotkanie za zrządzenie losu. Było oczywiste, że akurat ten detektyw pilnie potrzebuje jej pomocy. Zadowolona z takiego szczęśliwego zbiegu okoliczności, uśmiechnęła się szeroko.

- Och, panie Jeffries, nie chodzi o to, co pan może zrobić dla mnie, lecz o to, co ja mogę zrobić dla pana.

W milczeniu zmierzył ją wzrokiem, więc Georgiana wyjaśniła pewnym siebie tonem:

- Bo, widzi pan, sama mam żyłkę detektywistyczną i bardzo dokładnie przeanalizowałam tę sprawę. Byłam u lady Culpepper, kiedy to się stało.

- I ma pani informacje o kradzieży? - Wydawał się dość nieufny, ale tym razem Georgiana wcale się nie przejęła. Mężczyźni z natury powątpiewali w jej talenty, lecz na szczęście pan Jeffries miał się wkrótce przekonać, jak bardzo się mylił. Bliska euforii, jeszcze bardziej pochyliła się ku detektywowi i zniżyła głos do konfidencyjnego szeptu:

- Tak. Prawie natychmiast ograniczyłam listę podejrzanych do trzech osób.

Mężczyzna ponownie zmierzył ją wzrokiem.

- Naprawdę?

- Tak! I z przyjemnością przedstawię panu wyniki mojego śledztwa, a przede wszystkim ujawnię tożsamość złodzieja!

- Czyżby? - spytał z powątpiewaniem Jeffries. Na pewno nie był gadatliwy i Georgiana zaczęła się zastanawiać, czy podczas przesłuchań działa to na jego korzyść, czy raczej na szkodę. Była skłonna nie tylko pomóc mu w rozwiązaniu sprawy, lecz również dać kilka wskazówek służących udoskonaleniu techniki prowadzenia przesłuchań.

- Szczerze mówiąc, bardzo chciałabym wybrać taką karierę jak pan, ale niestety jestem niewolnicą swojej płci - wyznała. - To jednak nie powstrzymuje mnie przed rozwiązywaniem wszelkich zagadek, jakie tylko napotkam. Naturalnie zazwyczaj zajmuję się błahostkami, ale kradzież u lady Culpepper jest prawdziwym przestępstwem! I bardzo się cieszę, że będę mogła służyć panu swoją radą, żeby doprowadzić do szybkiego zakończenia sprawy.

- Rozumiem - powiedział Jeffries, chociaż ton jego głosu świadczył o czymś wręcz przeciwnym. Może wolno myśli, ale za to jest dokładny, doszła do wniosku Georgiana, przyznając mu w duchu prawo do sceptycyzmu.

- Pójdziemy na spacer? - zaproponowała, bo chociaż detektyw wydawał się zupełnie nie zwracać uwagi na otoczenie, to ona sama

była coraz bardziej skrepowana zaciekawionymi spojrzeniami przechodniów.

Chyba zakłopotła Jeffriesa tą propozycją, ale posłusznie ruszył za nią.

- Czy przesłuchał pan służbę? - spytała.

- Proszę pani...

- Nieważne. - Georgiana machnęła ręką. - Jestem absolutnie pewna tożsamości złodzieja.

- A jak pani do tego doszła? - spytał Jeffries.

- Jak powiedziałam, ograniczyłam listę podejrzanych do trzech osób - wyjaśniła Georgiana wniebowzięta, że może przedstawić komuś swoje teorie. - Początkowo brałam pod uwagę Ashdowne'a...

- Lorda? Markiza Ashdowne? - Jeffries stanął jak wryty.

Gdy oboje znowu ruszyli, podjęła wątek:

- Przyznaję, że obecnie Ashdowne wydaje mi się najmniej prawdopodobnym sprawcą, ale nie mogę oprzeć się przekonaniu, że i on coś knuje. Ludzie jego pokroju po prostu nie przyjeżdżają do Bath. Pytam, po co tak krzepki mężczyzna miałby zażywać kuracji leczniczymi wodami? - Wnet jednak pożałowała swoich słów, bo na wspomnienie tego, jak krzepki i dobrze zbudowany jest Ashdowne, spłonęła rumieńcem.

Jeffries, wyraźnie ułagodzony, nieznacznie się uśmiechnął.

- Z mojego doświadczenia, szanowna pani, wynika, że arystokraci są nieprzewidywalni.

Georgiana skinęła głową, chociaż uznała, że to stwierdzenie źle świadczy o umiejętnościach pana Jeffriesa. Przecież do jego zadań należało odkrywanie motywów. Ale może człowiek świadom własnych słabości chętniej skorzysta z pomocy niż osobnik zadufany w sobie. Nadal szli przed siebie i z każdym krokiem pewność Georgiany rosła.

- W każdym razie skreśliłam markiza z listy podejrzanych, ponieważ okazał bardzo żywe zainteresowanie śledztwem. Zaofiarował się z pomocą i nawet teraz, gdy rozmawiamy, obserwuje dom sprawcy - stwierdziła. Miała nadzieję, że jej słowa są zgodne z prawdą.

- Czy tak?

Georgianie wydało się, że dostrzega chytry uśmieszek na twarzy tego milczka, ale postanowiła nie zwracać na to uwagi, by nie

przedłużać rozmowy o markizie. Ostatniej nocy wystarczająco długo rozmyślała o nim i jego pocałunkach. Dobrze się stało, że wezwano doświadczonego tropiciela przestępców, który wkrótce zamknie sprawę.

Dzięki temu Georgiana nie będzie już musiała spotykać się ze swoim niewiarygodnie przystojnym arystokratycznym pomocnikiem. Wprawdzie jego towarzystwo sprawiało jej pewną przyjemność, lecz Ashdowne stanowił zbyt wielkie zagrożenie dla jej zmysłów. Gdy był w pobliżu, nie potrafiła zebrać myśli, co dla osoby z upodobaniem do ćwiczenia umysłu stanowiło nie lada problem.

Tak, Ashdowne stanowczo za bardzo ją rozpraszał. Nawet teraz z największym trudem skierowała myśli z powrotem na sprawę klejnotów. Uniosła dłoń, wyciągnęła trzy palce i zagięła najpierw jeden, potem drugi.

- Miałam również poważne podejrzenia co do niejakiego pana Hawkinsa, który przyjechał tu z Yorkshire.

- Naprawdę? - spytał Jeffries i Georgiana z zadowoleniem stwierdziła, że zainteresowanie detektywa jej słowami wzrasta.

- Tak. Pan Hawkins szuka nowego probostwa i... Jeffries przerwał jej, wyraźnie zaskoczony.

- Podejrzewa pani duchownego?

- No, owszem - przyznała Georgiana. - Naturalnie jestem pewna, że ludzie oddający się doskonaleniu ducha są najczęściej bez zarzutu, ale niestety, jestem równie pewna, że niektórzy popełniają te same grzechy co inni śmiertelnicy. Rozmawiałam z panem Hawkinsem dwukrotnie i nie waham się stwierdzić, że jego wypowiedzi są nieco osobliwe.

Pochyliła się do swego towarzysza, by wyjaśnić swą teorię:

- On żywi silną niechęć wobec bogaczy, której nie sposób wytłumaczyć pospolitą zawiścią. A ponieważ szuka nowego probostwa, przypuszczam, że potrzebuje pieniędzy.

- Chce pani powiedzieć, że duchowny wślizgnął się do sypialni lady Culpepper, ukradł naszyjnik i uciekł przez okno? - spytał Jeffries z powątpiewaniem.

- Dlaczego nie? - odparła Georgiana, gwałtownie się prostując. - Mówię panu, że on nienawidzi wszystkich bogatych ludzi, a szczególnie lady Culpepper.

Jeffries przez chwilę w milczeniu rozważał jej słowa.

- Rozumiem. Ale zmieniła pani zdanie co do pana Hawkinsa.

- Niezupełnie. Po prostu znalazłam dużo lepszego podejrzanego.
- Skinęła głową przechodzącej parze, a potem powiedziała cicho, punktując słowa uniesieniem trzeciego palca: - W wieczór kradzieży podsłuchałam dwóch mężczyzn prowadzących bardzo dziwną rozmowę. W jednym z nich natychmiast poznałam lorda Whalseya, drugim był niejaki pan Cheever.

- Lorda Whalseya? - jęknął Jeffries. - Niech mi pani wybaczy, ale czy wszyscy pani podejrzeni należą do arystokracji albo duchowieństwa? Nie, proszę nic nie mówić. Sam zgadnę. Ten człowiek jest co najmniej księciem, niech go diabli!

Georgiany bynajmniej nie uraził język Jeffriesa, niewątpliwie stanowiący skutek przestawania z londyńskim półświatkiem, za to oburzyła ją jego jawna drwina. Dumnie uniosła głowę.

- Zapewniam pana, że nie wybrałam tych mężczyzn z powodu ich tytułów. Poza tym Whalsey jest tylko wicehrabią z pustymi kieszeniami. To zresztą byłby motyw popełnienia przestępstwa.

Jeffries pokręcił głową z bardzo nieszczęśliwą miną.

- Najpierw podejrzewa pani markiza, potem duchownego, a w końcu wicehrabiego. Sądzę, że ma pani bardzo bujną wyobraźnię.

Zrozpaczona Georgiana poczuła, że detektyw nie zamierza poważnie potraktować jej wniosków.

- Czy chce pan powiedzieć, że tacy ludzie nigdy nie łamią prawa? - spytała.

- Nie, proszę pani.

- Wobec tego musi mnie pan wysłuchać do końca! Co do Whalseya i jego współnika, to po prostu przypadkowo podsłuchałam, co knują. - Georgiana szczegółowo zrelacjonowała Jeffriesowi incydent z paprocią. Naturalnie opuściła kompromitujący fragment o splątaniu się na podłodze z Ashdowne'em.

Nieco ją rozczarowało, że Jeffries niczego nie zanotował, postanowiła zatem później mu to zasugerować. Tymczasem jednak powinna skupić się na przekonaniu go o słuszności swych wniosków. Opowiedziała mu więc o konfrontacji z wicehrabią w pijalni.

Zanim skończyła, doszli prawie do centrum Bath i Georgiana z satysfakcją stwierdziła, że zafrasowany Jeffries bezwiednie pociera dłonią podbródek.

- Rzeczywiście brzmi to podejrzenie, lecz trudno tu mówić o niezbitym dowodzie.

- Ale może pan przynajmniej przesłuchać wicehrabiego! - oburzyła się Georgiana. Umiejętności detektywów z Bow Street w tym zakresie były legendarne. - Jestem pewna, że przyzna się w okamgnieniu.

- Nie sądzę, szanowna pani - odparł Jeffries i znowu pokręcił głową.

Georgiana wpadła w złość. Przez całe życie miała do czynienia ze sceptykami i prześmiewcami, ale nigdy nie spodziewała się, że nie zechce jej uwierzyć prawdziwy profesjonalista. Jeden z najlepszych! Jeden z jej bohaterów! Jak mógł nie potraktować jej poważnie?

Odwróciła się do Jeffriesa, zamierzając zażądać, żeby przynajmniej porozmawiał z Whalseyem, zanim będzie za późno. Przez cały czas bawiła się torebką, kusiło ją bowiem, żeby przy jej pomocy wbić upartemu detektywowi trochę rozumu do głowy. Powstrzymała się od tego, nie wiedząc, jaką karę ponosi się za napaść na oficjalnego przedstawiciela prawa. Na szczęście z niebezpiecznych rozmyślań wyrwał ją dźwięk znajomego głosu.

- O, panna Bellewether. Widzę, że spędza pani rano nadzwyczaj pracowicie.

Ashdowne! Nigdy w życiu nie przypuszczałyby, że kiedyś ucieszy ją widok markiza, bo przecież jego pomoc przyjęła wyłącznie z konieczności. Teraz jednak... chętnie rzuciłaby mu się w objęcia. Radość widocznie odmalowała się na jej twarzy, bo Ashdowne zawahał się, jakby ten entuzjazm nieco go zaskoczył, ale zaraz odwzajemnił się pięknym uśmiechem.

- Ashdowne! Jak się cieszę, że pana widzę!

- Tak mi się właśnie zdawało - powiedział i przechylił głowę. - Czemu mam przypisać ten nagły zachwyt moim towarzystwem?

Georgiana zignorowała przyśpieszone bicie swego serca. Puściła jedną ręką pasek torebki i wskazała na detektywa.

- Milordzie, to jest pan Wilson Jeffries, detektyw z Bow Street, który prowadzi śledztwo w sprawie kradzieży naszyjnika lady Culpepper.

- Witam, Jeffries. - Ashdowne skwitował obecność detektywa nieznacznym skinieniem głowy. - Ale co tu jest jeszcze do

wyśledzenia? Na pewno wszystko mu już pani wytłumaczyła, prawda? - spytał Georgianę, unosząc jedną brew.

Georgiana przez chwilę zastanawiała się, czy to nie kpina, ale Ashdowne miał poważny wyraz twarzy.

- No, owszem. Ale on mi nie wierzy! Czy pan sobie to wyobraża?

Ashdowne przybrał minę słusznego oburzenia i Georgianie natychmiast zmiękło serce.

- Czy tak? - spytał markiz, zwróciwszy się do Jeffriesa, i panna Bellewether z satysfakcją zobaczyła, jak pod wpływem jego spojrzenia detektyw kuli się. Jej nie chciał słuchać, ale markiza oczywiście tak. W duchu pogratulowała sobie wyboru asystenta.

Wreszcie Jeffries, przekonany niezłomnym spojrzeniem Ashdowne'a, odchrząknął.

- No, myślę, że mógłbym przeprowadzić krótką rozmowę z lordem Whalseyem, jeśli wielmożny pan uważa to za stosowne - powiedział.

- Stanowczo tak - potwierdził Ashdowne. - Złożmy wszyscy wizytę w domu, który wynajmuje Whalsey. Mój człowiek, który przez cały czas obserwuje to miejsce, poinformował mnie, że pan hrabia jeszcze dziś nie wyszedł na dwór. - Z tymi słowami markiz odwrócił się i gestem zaprosił Georgianę, żeby mu towarzyszyła. Jeffries z ociąganiem ruszył za nimi.

Zachwycona Georgiana spojrzała na Ashdowne'a z głęboką wdzięcznością. Markiz wydawał się zakłopotany tak jawnie okazywanymi uczuciami i dopiero po chwili przywołał na usta szeroki uśmiech. Zbyt szeroki, pomyślała Georgiana, ale była tak podekscytowana, że nie chciała się zastanawiać nad powracającymi podejrzeniami co do osoby Ashdowne'a. Odwzajemniła jego uśmiech i zaczęła planować strategię na wypadek, gdyby biedny pan Jeffries potrzebował pomocy w nakłanianiu Whalseya do wyznania winy.

Gdy dotarli na miejsce, okazało się, że podejrzany je spóźnione śniadanie. Jednak tytuł Ashdowne'a otworzył przed nimi drzwi, wprowadzono ich zatem do saloniku, gdzie po kilku minutach pojawił się Whalsey. Wyraźnie bardzo mu się śpieszyło, by powitać markiza, bo skłonił się przed nim z wielką uniżonością. Gdy jednak ujrzał Georgianę, wyprostował się gwałtownie; a na jego bladej twarzy zagościł wyraz ledwie skrywanej nienawiści.

- To pani! - burknął i cofnął się o krok. Georgiana bynajmniej się nie obraziła, przeciwnie, była bardzo zadowolona z takiej reakcji wicehrabiego. Skoro się jej obawiał, to tym łatwiej przyzna się do kradzieży!

- Przypuszczam, że pan zna pannę Bellewether - powiedział Ashdowne, nie zwracając uwagi na zachowanie Whalseya. - A obecny tu dżentelmen to pan Wilson Jeffries, detektyw z Bow Street.

- Co? - Whalsey zbladł i odwrócił się w stronę Jeffriesa. Detektyw z szacunkiem skłonił głowę.

- Dzień dobry, lordzie Whalsey. Chciałbym zadać panu kilka pytań, jeśli można.

- Nie można! Co to ma znaczyć? - wybuchnął z oburzeniem.

- Nic takiego, żeby warto było wpadać w gniew, milordzie. Jestem w Bath z powodu pewnego śledztwa i... - zaczął Jeffries, ale przeszkodziło mu głośnie sapnięcie Whalseya.

- To jej sprawka, co? - zagrział oskarżycielsko, wskazując palcem Georgianę. Ta zaś, dumna z tego, iż ją właściwie oceniono, uśmiechnęła się do wicehrabiego, co jeszcze bardziej wzmogło jego gniew. - Chyba nie uwierzył pan w głupią gadaninę tej... tej trzpiotowatej pannicy? - spytał piskliwie. - Ta pannica postradała zmysły! Potrzebuje opieki!

- Słusznie. Ja się nią opiekuję - powiedział cicho Ashdowne.

Zaskoczona Georgiana, której takie wsparcie bardzo dodało otuchy, zerknęła z wdzięcznością na markiza, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo drzwi do saloniku uchyliły się nieznacznie.

- Pan Cheever, milordzie - zaanonsował kamerdyner, a zapowiadany gość szybkim krokiem wszedł do pokoju.

Ku zachwytowi Georgiany Whalsey wydał charkliwy odgłos i zwrócił się ku przybyszowi z wyrazem takiej paniki na twarzy, że Cheever stanął jak wryty. Georgiana podejrzewała, że jeszcze chwila i szurkowaty człowieczek uciekłby gdzie pieprz rośnie, gdyby Jeffries nie przejął inicjatywy. Detektyw wstał.

- Prosimy do nas, panie Cheever. Chciałbym zadać panu kilka pytań.

Cheever stał nieruchomo z bardzo niepewną miną, a tymczasem Whalsey krążył nerwowo między nim a Jeffriesem, jakby chciał zapobiec rozmowie tych dwóch.

- Ten człowiek jest z Bow Street - wyjaśnił swemu kompanowi z naciskiem. Georgiana triumfalnie uśmiechnęła się do Ashdowne'a.

- Niech pan usiądzie - powiedział Jeffries do Cheevera. Mimo uprzejmego tonu była w tym zaproszeniu również groźba, co wzbudziło podziw Georgiany. Omal nie zaklaskała w dłonie.

Whalsey jednakże nie podzielał jej entuzjazmu. Wypiął tors i nadał się jak miech.

- To bezczelność! Wdzieracie się do mojego domu - oznajmił patetycznie - oskarżacie mnie, a teraz napadacie na mojego gościa. Stanowczo się temu sprzeciwiam! A pan niech natychmiast opuści mój dom!

Gdy Cheever zrobił krok ku drzwiom, Whalsey przesłał mu poirytowane spojrzenie.

- Nie pan. On! - wyjaśnił, wskazując palcem Jeffriesa. - Nęka pan lepszych od siebie! Już ja dopilnuję, żeby stracił pan posadę!

Groźby nie wywarły na detektywie żadnego wrażenia. Nieszczęsny Cheever usiadł w końcu na brzeжку krzesła obitego spłóviałym adamaszkiem, raz po raz zerkając niespokojnie na blat inkrustowanego masą perłową stolika. Jedynym leżącym tam przedmiotem była bardzo zwyczajna, drewniana skrzyneczka, zupełnie nie pasująca do wystroju wnętrza. Gdy Georgiana zorientowała się w sytuacji, głośno zabrała tchu.

Nie zważając na Whalseya, który w dalszym ciągu stanowczo protestował przeciwko obecności nieproszonych gości, wstała i ruszyła do stolika. Jej podejrzenia okazały się słuszne, bowiem zaniepokojony Cheever wydał dziwny pisk, co zaalarmowało jego współnika. Whalsey odwrócił się ku niej i wytrzeszczył oczy. Twarz mu spurpurowiała.

- Hej! Dokąd to, ty wścibska pannico! - wykrzyknął. Georgiana zignorowała ten wybuch i stanęła przy samym stoliku. Była pewna, że reakcja wicehrabiego jest niezbitym dowodem jego winy. Przesadnie pewni siebie złodzieje zostawili naszyjnik na wierzchu, włożywszy go do niepozornej szkatułki, która normalnie nie zwróciłaby niczyjej uwagi. Georgiana dramatycznym gestem wskazała skrzyneczkę.

- Panie Jeffries, sądzę, że tutaj znajdzie pan skradziony przedmiot! - powiedziała, starając się ukryć rozpierającą ją radość. To była niewątpliwie najpiękniejsza chwila w jej życiu. Promiennie uśmiechnęła się do swojej widowni.

A potem wybuchło pandemonium.

Cheever zacisnął pięści i zerwał się na równe nogi, ale Ashdowne był równie szybki, a znacznie lepiej zbudowany i zdecydowanym ruchem posadził go na krześle. Whalsey wyciągnął z kieszeni chustkę i zaczął się wachlować, potem zaś z jękiem opadł na szezlong. Jeffries podszedł do stolika.

- Tylko tam zajrzę, milordzie - powiedział. Nikt się nie ruszył, żeby go powstrzymać, więc detektyw ujął za wieczko skrzyneczki. Przez chwilę stawiało opór, a gdy wreszcie odskoczyło, Georgiana wstrzymała oddech. Chwilę potem głośno wypuściła powietrze, bardzo zawiedziona.

Zobaczyła, że w środku wcale nie ma naszyjnika ze szmaragdami, tylko jakiś ciemny flakonik. Już otworzyła usta, żeby wyrazić swoje zdumienie, ale nie dopuścił jej do głosu Whalsey, który zawołał z drugiego końca pokoju:

- Nie możecie mnie za to winić! Cokolwiek jest w środku, należy do Cheevera. To on wczoraj zostawił to pudełko!

Coraz bardziej zaskoczona Georgiana zwróciła się ku Cheeverowi, który kurczowo zaciskał dłonie na poręczach krzesła, jakby nie mógł się zdecydować, czy wstać, czy raczej pozostać na miejscu. W panice spoglądał to na Whalseya, to na detektywa, nie mówiąc ani słowa. Georgiana zupełnie nie rozumiała, w czym rzecz.

- To prawda, że je tutaj zostawiłem, ale tylko dlatego, że on mi za to zapłacił! Owszem, zabrałem flakonik i formułę, ale na jego polecenie. To było dla niego! Po co mi środek na porost włosów?

Georgiana wreszcie odzyskała głos.

- Środek na porost włosów? - spytała w chwili, gdy Jeffries ostrożnie wyjął flakonik z pudełka.

- Tak, proszę pani - odpowiedział Cheever. - To jest sekretna formuła niejakiego doktora Withipolla z Bath. Jego lordowska mość za wszelką cenę chciał zdobyć ten środek. A ponieważ doktor nie chciał mu go sprzedać, jego lordowska mość posłużył się mną. To wszystko jego sprawa! Zmusił mnie, żebym to ukradł! - jękliwie tłumaczył się Cheever, chytrymi oczkami raz po raz zerkając na detektywa.

- W Bath praktykuje prawie osiemdziesięciu lekarzy. Któregoś z pewnością można było poprosić o pomoc w rozwiązaniu tego hm...

problemu. Nie trzeba było od razu posuwać się do kradzieży - powiedział oschle Ashdowne do kipiącego złością Whalseya.

Georgiana nie była zainteresowana leczeniem łysienia, więc przerwała tę rozmowę.

- A co z klejnotami? - spytała. Whalsey i Cheever popatrzyli na nią zdezorientowani. - Z naszyjnikiem lady Culpepper - wyjaśniła.

Cheever szeroko otworzył swoje szelmowskie oczka. Jeśli do tej pory starał się udawać dżentelmena, to nagle zapomniał o manierach.

- Chwileczkę, proszę pani. O tym nic nie wiem! Przysięgam, że zajmuję się drobniejszymi sprawami. Nie jestem złodziejem biżuterii!

- Ja też nie! - krzyknął Whalsey z drugiego końca pokoju. - Mogę mieć chwilowe kłopoty finansowe, ale wszyscy wiedzą, że wolę je rozwiązać poprzez bogaty ożenek. Nie mam w zwyczaju kraść kosztowności. Martwią mnie tylko moje włosy. Jak mam znaleźć bogatą wdowę, skoro łysieję?

Mężczyzna nie może cały czas nosić peruki! Muszę mieć włosy, po prostu muszę! - oznajmił zapalczywie.

Jeffries uniósł flakonik i Georgiana zobaczyła, że w środku jest jakaś ciemna mikstura.

- Czy wielmożny pan sądzi, że to mu pomoże? - spytał detektyw.

- Och, na pewno! Po tym wyrastają włosy nawet na bili - stwierdził Whalsey.

- Profesor zaklinał się, że to bardzo skuteczny środek! - wtrącił się Cheever. - A powinniście zobaczyć, jakie on ma włosy.

- Gęstą czuprynę - mruknęła głęboko rozczarowana Georgiana. Mimo bezbłędnego rozumowania nie udało jej się znaleźć skradzionych klejnotów. Podśledzała podejrzaną rozmowę, a w efekcie odkryła spisek mający na celu kradzież środka na porost włosów.

To było upokarzające. Jeffries odchrząknął.

- Obawiam się, że skuteczność tej szarlatańskiej mieszaniny jest bez znaczenia. Została skradziona, wobec czego zwrócę ją prawowitemu właścicielowi - powiedział stanowczo. - Formułę również, jeśli panowie zechcą mi ją teraz wręczyć.

Lord Whalsey jeszcze raz głośno sapnął, wyciągnął kartkę z kieszeni surduta i ze złością podał ją detektywowi.

- Czy to jest jedyny egzemplarz? - spytał Jeffries.

- Tak! - odburknął Whalsey.

- Dobrze. Będę z panami w kontakcie na wypadek, gdyby profesor zechciał wysunąć oskarżenie.

- To wszystko jego sprawka! - krzyknął Cheever oskarżycielsko, piorunując wzrokiem Whalseya.

- Ja nic nie zrobiłem. To ty zaproponowałeś mi swoje usługi, wstrętny złodzieju! - odpalił Whalsey.

Ich kłótnia wciąż jeszcze trwała, gdy Ashdowne, Georgiana i Jeffries opuszczali dom. Bez słowa zeszli na podjazd. Georgianę ogarnęło tak głębokie przygnębienie, że początkowo nie usłyszała cichego chichotu. Ale zanim doszli do ulicy, chichot rozbrzmiewał już całkiem wyraźnie. Czyżby Ashdowne ją wyśmiewał?

Chciała odpowiedzieć mu ostro, ale zrezygnowała natychmiast, gdy zobaczyła jego minę. Markiz, zawsze taki poważny i dostoyny, nie ukrywał rozbawienia.

- Środek na porost włosów - mruknął. A potem odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął głośnym śmiechem.

Widząc ten wybuch radości, Georgiana poczuła, że i ona się odpręży. Bądź co bądź, Ashdowne'a rozbawiło nie tyle jej niepowodzenie, co komizm całej sytuacji. Musiała przyznać, że miał do tego prawo.

Wkrótce i ona głośno się zaśmiewała, a Jeffries zawtórował jej skrzekliwym rechotem. Musieli doprawdy dziwnie wyglądać. Georgiana miała oczy mokre od łez i ślaniała się ze śmiechu. Na szczęście mogła się wesprzeć na ramieniu Ashdowne'a i musiała przyznać, że dzielenie radości z tak przystojnym mężczyzną jest dużą przyjemnością.

Dopiero później, gdy trochę oprzytomniała i była już sama, uświadomiła sobie straszną prawdę. Jeśli Whalsey i Cheever byli niewinni, zostało jej tylko dwóch podejrzanych.

A jednym z nich był Ashdowne.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Ashdowne wyciągnął się na niewygodnej sofie w sypialni i oparł stopy na rzeźbionym stołku. Wynajął ten potwornie umeblowany dom na cały sezon, chociaż zamierzał pobyć w Bath bardzo krótko. Nagle jednak stwierdził, że nienawidzi tych modnych rezydencji na Camden Place. Rzecz jasna nie pierwszy raz doszedł do wniosku, że otoczenie go mierzi, ale pretensjonalne pozory luksusu drażniły znacznie bardziej niż zwykle. Tak naprawdę od pewnego czasu wszystko wprawiało go w niezwykłą irytację.

- Muszę się czegoś napić - mruknął, gdy nadszedł kamerdyner. Finn, sprytny Irlandczyk, nie zachowywał się jak typowy sługa arystokraty, był jedyną osobą ze służby, która nie bała się Ashdowne'a. Pracował u niego już wiele lat i ich stosunek opierał się raczej na wzajemnym zaufaniu niż na zależności pracownika od chlebobawcy. Ashdowne dobrze bowiem wiedział, że lojalności takiego człowieka jak Finn nie można kupić.

- Trudny ranek, milordzie? - spytał Finn. Podszedł do kredensu, nalał porto do kieliszka i podał je Ashdowne'owi. Potem wrócił do kredensu, nalał wina dla siebie i usiadł naprzeciwko markiza, na paskudnym, pseudochińskim krześle. Na Camden Place, jak świat światem, pewnie jeszcze nigdy nie widziano takiej pogawędki, pomyślał rozbawiony Ashdowne.

- Nie tyle trudny, co niefortunny - stwierdził i poruszył winem w kieliszku, by nacieszyć się bukietem szlachetnego trunku. Chociaż z pogardą odnosił się do przesadnego wystroju domu, to jednak uważał, że niektóre luksusy były warte swojej ceny, na przykład wyśmienite porto.

Finn parsknął, pochylając się nad kieliszkiem.

- Jak ma być inaczej, skoro spotkał pan tę pannę Bellewether? - spytał szorstko, z wyraźnym irlandzkim zaśpiewem.

- Tak, ona rzeczywiście jest niezwykła - powiedział w zamyśleniu Ashdowne, lecz w jego głosie nie było zgryźliwości, która dotąd zwykle towarzyszyła rozmowom o Georgianie. Wszystko zmieniło się poprzedniego wieczoru, po ich pierwszym pocałunku.

Ten pocałunek był częścią gry, sposobem na zdobycie zaufania panny Bellewether, a zatem koniecznością. Dlaczego więc jego wspomnienie było takie wyraźne? Dlaczego, ilekroć teraz widział pannę Bellewether, chciał powtórzyć tamto doświadczenie? Markiz

poruszył się niespokojnie, co nie uszło uwagi jego bystrego kamerdynera. Finn z domyślną miną zmrużył powieki.

- Co się dzisiaj stało? Czyżby detektyw z Bow Street aresztował biednego Whalseya?

Ashdowne wreszcie się uśmiechnął.

- Och, nie. Najbardziej kompromitującym dowodem okazał się skradziony flakonik środka na porost włosów.

- Niemożliwe! - Finn cicho zarechotał.

- Ależ tak - potwierdził Ashdowne, chichocząc na to wspomnienie. Dawno już nie ubawił się do łez.

- Naprawdę środek na porost włosów? Nic dziwnego że jego lordowska mość nosi kapelusz. - Finn plasnął dłonią o kolano. - Ale skąd on to wziął?

- Wygląda na to, że z pomocą współnika, niejakiego Cheevera, skradł tę miksturę pewnemu profesorowi, który jest jej twórcą. Z tego jednak płynie wniosek, że panna Bellewether wcale nie jest taka głupia, jak sądziliśmy - odrzekł Ashdowne i jego uśmiech raptownie zgasł. - Chociaż Whalsey i jego przyjaciel nic nie wiedzą o naszyjniku, to z formalnego punktu widzenia są jednak złodziejami.

- Skoro pan tak mówi - mruknął Finn, na chwilę przestawszy się śmiać. - Ale wątpię, czy detektyw z Bow Street podziela pańskie zdanie.

- Może tak, a może nie - odparł Ashdowne. Jeffries wydał mu się solidnym, uczciwym człowiekiem. Różnił się od niektórych swoich kolegów po fachu znanych z tego, że są nie lepsi od tych, których ścigają.

- Bez żartów, milordzie! - powiedział Finn. - Nawet najgłupszy łowca złodziei nie uwierzyłby teraz opowieściom tej panny.

- Prawdopodobnie nie - przyznał Ashdowne i znów niespokojnie drgnął. Nie była to jednak wina twardej sofy, lecz poczucia winy, które nagle go ogarnęło. A przecież tylko przystał na pomysł Georgiany. I odczuł niemałą satysfakcję, mogąc wywrzeć wpływ na Jeffriesa.

Lecz radość z własnego sprytu mąciło mu nieczyste sumienie. Ashdowne nie umiał bowiem zapomnieć uśmiechu, który przesłała mu Georgiana z wdzięczności za to, że nakłonił detektywa do odwiedzenia Whalseya. Nikt nigdy nie patrzył mu w oczy z taką wdzięcznością i ufnością. No, naturalnie dawnym kochankom

zdarzało się spoglądać na niego z zachwytem po wspólnie spędzonej nocy, ale to było zupełnie co innego.

W spojrzeniu Georgiany nie było pożądania. Raczej podziw. Ashdowne upił duży łyk porto i dodał w myśli: niezasłużony podziw. Wcale nie był bardziej zainteresowany jej głupim śledztwem niż ktokolwiek inny, chciał tylko mieć pewność, że nie zacznie ono szkodzić jego interesom.

Przyznawał to z niejakim wstydem, ponieważ jego opinia o niezmordowanej pannie Bellewether powoli ulegała zmianie. Tego ranka Georgiana wykazała tyle odwagi i determinacji, że mimo woli odczuł dla niej podziw. Może i miała szalone pomysły, ale w każdym razie starała się wprowadzić je w czyn. Broniała swych przekonań, nie zważając na opinie innych, i wyszukiwała tajemnice w świecie, który w żalospisny sposób był ich pozbawiony.

Może poczuł się nieswojo dlatego, że dobrze znał taki stan ducha. On też kiedyś szukał mocnych przeżyć, by zaspokoić potrzebę, którą innym trudno byłoby zrozumieć. Lecz szukanie niezwykłych wrażeń bywa niebezpieczne, więc kiedy panna Bellewether zaczęła mówić o konfrontacji z przestępcami, odruchowo zareagował. Uparcie dążąc do celu, Georgiana mogła przecież wpaść w różne tarapaty, znacznie groźniejsze od tych, których już był świadkiem.

Chociaż powtarzał sobie, że to nie jego sprawa, nie opuszczał go jednak niepokój. Rzecz jasna, chęć zapewnienia bezpieczeństwa ładnej młodej kobiecie była całkiem naturalna, lecz Ashdowne wciąż nie mógł uporać się z własnymi uczuciami. Panna Bellewether wytrącała go z równowagi w zupełnie niewyobrażalny sposób, mimo że nic a nic go nie obchodziła.

- Czyżby ta turkaweczka wpadła milordowi w oko? - Rozbawienie Finna przerwało ponure rozmyślenia Ashdowne'a.

- Skądże - odpowiedział gładko, ale Finn był za mądry, żeby dać się oszukać.

- Tak myślałem - parsknął. - Ale zgodzi się milord, że jest piękna i ma ciało, które zadowoliliby każdego mężczyznę.

- Tak. - Nie miał zamiaru mówić Finnowi, że panna Bellewether patrzy na niego jak na bóstwo, bo kamerdyner umarłby ze śmiechu.

- Przypuszczam również, że znajomość z panną, która nie czyha na tytuł, musi stanowić miłą odmianę - drażył temat kamerdyner, w zamyśleniu drapiąc się po podbródku.

- Tak - znowu zgodził się z nim Ashdowne. Trudno byłoby mu oskarżyć Georgianę o takie zamiary, zawsze bowiem wydawała się traktować go dość nieufnie i w odróżnieniu od innych panien, które spotykał na swej drodze, bardziej interesowała się zagadkami niż małżeństwem. Na tę myśl nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Ach, więc to milorda w niej pociąga - domyślił się Finn.

Ashdowne spojrzał na kamerdynera z kwaśną miną.

- Pociąga? Nie sądziłem, że cokolwiek w niej może mnie pociągać. - No owszem, ta panna jest niebrzydka, ale nie ona jedna. Pocałował ją, bo musiał, i tyle. Prawdę mówiąc, będąc w jej towarzystwie, zazwyczaj nie wiedział, czy śmiać się z jej wyczynów, czy natychmiast ją udusić.

Finn wydał odgłos świadczący o niedowierzaniu i wstał.

- Czy skoro milord nie jest nią zainteresowany, oznacza to, że wkrótce wrócimy na stare śmiecie? - spytał.

Ashdowne pomyślał, że jego przodkowie przewracają się w grobach, bo nikt nigdy nie wyrażał się w ten sposób o rodowej siedzibie, chociaż rzeczywiście była stara. Ogarnął go wstyd. Należało pomyśleć o remoncie, był to jeden z jego obowiązków. Chciał jednak jeszcze zostać w Bath, choćby niedługo. Ciekawe, czy z konieczności, czy dla przyjemności. Zastanowiło go, czy odpowiedź na to pytanie ma jakiegokolwiek znaczenie. Miała i dobrze o tym wiedział, powtarzał sobie jednak, że przedłużenie pobytu w Bath leży w jego interesie.

- Myślę, że jeszcze poczekamy, żeby zakończyć tu wszystkie sprawy - odpowiedział wolno.

- Mnie to odpowiada - oświadczył Finn i odstawił kieliszek na kredens, odwracając się do Ashdowne'a plecami. - Ja się nie wstydzę przyznać, że chciałbym zobaczyć, co ta panna Bellewether jeszcze wymyśli.

Ashdowne zadumał się nad tymi słowami. Kąciki ust lekko mu się uniosły, on również był bowiem trochę ciekaw następnych pomysłów Georgiany.

- No, owszem. To jest znacznie bardziej zabawne, niż przypuszczałem - odrzekł.

Bądź co bądź po uniewinnieniu Whalseya i Cheevera, w każdym razie od zarzutu kradzieży naszyjnika, Georgiana musiała skupić uwagę na nowym podejrzanym. Ashdowne, który przez ostatni rok

setnie się nudził, bardzo chciał zobaczyć, na jaki szalony pomysł wpadnie teraz panna Bellewether.

Finn odwrócił się do niego ze znaczącym spojrzeniem.

- Tylko niech milord nie pozwoli, żeby ta panna zawróciła panu w głowie. Nieraz już ładna buzia doprowadziła mężczyznę do zguby, a ja powinienem milordowi przypomnieć o tych wszystkich, za których milord odpowiada. Tym razem to Ashdowne parsknął.

- Nie ma się czego obawiać, zapewniam cię. Jest bardzo małe prawdopodobieństwo, że ulegnę dość wątpliwym wdziękom tej panny. - Na wszelki wypadek oddalił myśl o pocałunku i skupił się na jej ekscentrycznym zachowaniu. Ale po odzyskaniu skradzionego środka na porost włosów metody Georgiany nie wydawały mu się już tak głupie, jak skłonny był sądzić na początku.

Zmarszczył czoło.

- Jedno tylko mnie martwi - wyznał.

- Cóż takiego, milordzie? - spytał Finn.

Ashdowne przechylił głowę i poczuł nagle silny niepokój.

- Wydaje mi się, że mimo pozorów panna Bellewether ma w sobie dużo rozsądku - powiedział trochę zdumiony, a trochę przerażony własnymi słowami,

Finn potraktował to jak żart i znów wybuchnął śmiechem, więc Ashdowne próbował mu zawtórować. Nie potrafił jednak zignorować zdradliwego głosu wewnętrznego, który szeptał mu, że zawisła nad nim klątwa.

Georgiana siedziała w salonie. Łokieć wsparła na blacie biurka z różanego drewna, a głowę na dłoni. Nie była taka zadufana w sobie, żeby nie mieć poczucia humoru, więc gdy otrząsnęła się z pierwszego wrażenia, szybko dostrzegła, jak zabawna była historia z lordem Whalseyem. Dzielenie radości z mężczyzną stanowiło dla niej nowe doświadczenie, ale bardzo przyjemne, zwłaszcza że tym mężczyzną był Ashdowne.

Jednak intymność tego doświadczenia wpłynęła na nią dość szczególnie, podobnie jak wszystko, co miało związek z markizem. Georgiana powoli zaczynała się przyzwyczajać do tego, że ostatnio zamiast rozumu coraz częściej dochodzi do głosu jej serce. Znowu musiała rozstać się z Ashdowne'em, żeby odzyskać jasność myślenia.

Potrzebowała również trochę czasu na uporanie się z przeżyтым rozczarowaniem. Wszystko szło jak najlepiej: prowadziła śledztwo,

Ashdowne jej pomagał, a detektyw z Bow Street okazywał zainteresowanie. I było tak do chwili, gdy po otwarciu tej przeklętej skrzyneczki okazało się, że zamiast szmaragdów jest tam środek na porost włosów.

Georgiana westchnęła ciężko i odsunęła z czoła niesforny pukiel. Płakać jej się chciało, gdy myślała o tym, ile cennego czasu zmarnowała na Whalseya. A teraz będzie jej znacznie trudniej przekonać do swoich teorii pana Jeffriesa, choć na szczęście Whalsey i Cheever weszli jednak w konflikt z prawem. Drogi Ashdowne bardzo to podkreślał, gdy wreszcie przestali się śmiać po wyjściu z domu Whalseya.

Drogi Ashdowne? Georgiana opuściła rękę na blat biurka i z irytacją uniosła głowę. Stanowczo nie powinna myśleć w taki sposób o tymczasowym pomocniku. Najrozsądniej byłoby, gdyby w ogóle nie brała go pod uwagę w swych rozważaniach. Ale rozsądek podpowiadał, że markiz jest jej potrzebny, choćby po to, by wywierał presję na pana Jeffriesa. Najgorsze, że dreszczyk, który przebiegł jej po ciele na myśl o współpracy z Ashdowne'em, miał niewiele wspólnego z logiką.

Energicznie się wyprostowała. Znacznie bardziej ufała swoim talentom niż umiejętnościom pana Jeffriesa, niezależnie od jego renomy. Bez jej pomocy ten biedak nie miał najmniejszych szans wykrycia sprawcy kradzieży. A to znaczyło, że nie pozostaje jej nic innego, jak tylko zapomnieć o uprzedzeniach i dalej współpracować z Ashdowne'em. Po prostu musiała unikać nadmiernej poufałości w kontaktach z tym mężczyzną, a przede wszystkim przysiąc sobie, że nigdy nie pozwoli mu na kolejny pocałunek.

Spróbowała skupić się na notatkach, które przed nią leżały. Długo wpatrywała się ze zmarszczonym czołem w listę podejrzanych, zanim wzięła do ręki pióro i przekreśliła pojedynczą linią nazwiska Whalseya i Cheevera. Niestety, zostali jej tylko Hawkins i Ashdowne.

To musiał być wielebny.

Myśl o eleganckim markizie wspinającym się po ścianie budynku dla kilku klejnotów wydawała się tak bardzo absurdalna, że Georgiana musiała przyznać, iż wpisała Ashdowne'a na listę zbyt pochopnie. Nawet gdyby nie brała pod uwagę swoich coraz cieplejszych uczuć dla tego mężczyzny, musiałaby znaleźć motyw. Tymczasem zaś ten człowiek zdawał się posiadać absolutnie wszystko, po co więc byłyby

mu naszymi lady Culpepper? Wprawdzie wciąż nie знаła powodu, dla którego Ashdowne przyjechał do Bath, lecz posądzenie go o kradzież byłoby po prostu niedorzeczne, tak jak uważał pan Jeffries.

Uniosła pióro, żeby wykreślić Ashdowne'a, ale zawahała się. Ręka zawisała nieruchomo nad kartką. Georgianę zaczęło męczyć jakieś mgliste wspomnienie. Ale co to było? Odłożyła pióro i skupiła myśli. Z tą kradzieżą związany był jakiś fakt, który umknął jej uwagi, coś naprawdę ważnego. Ale mimo że długo się zastanawiała, jej wysiłki spełzły na niczym.

To musi być wielebny, uznała jeszcze raz i potrząsnęła głową. Zdemaskowanie Hawkinsa stanowiło trudne zadanie, nie miała bowiem żadnych dowodów, wiedziała tylko, że duchowny miał motyw i okazję do kradzieży. Ale Georgiana nigdy nie unikała trudności, tym bardziej że sprostanie temu wyzwaniu miało jej przynieść spełnienie od dawna snutych marzeń. To była jej szansa. Nie mogła jej stracić przez głupią próżność jakiegoś łysiejącego lorda, przez którego się ośmieszyła.

Nie mogła jednak wykluczyć, że będzie potrzebować pomocy.

Postanowiwszy jeszcze trochę zostać w Bath, Ashdowne z przyjemnością pomyślał o najbliższych dniach. Naturalnie powiadamiano go o sprawach, którymi musiał się zająć w swej rodowej siedzibie. Jednak gdy spędzał czas w tym staroświeckim, otoczonym wzgórzami mieście, obowiązki markiza wydawały mu się wyjątkowo ogłupiające. Właśnie siedział w gabinecie nad dokumentami, mając obok tacę z nietkniętym śniadaniem, którą przyniósł mu Finn. Nagle Irlandczyk zniecierpliwiony przerwał mu pracę.

- Hm, milordzie, jest tu pewna dama i chce się z milordem zobaczyć - powiedział.

Zaskoczony Ashdowne podniósł głowę. Nawet w Bath, które było bardziej swobodne niż Londyn, kobiety nie składały wizyt mężczyznom, o ile nie były z nimi spokrewnione. A on przecież nie miał rodziny, jeśli nie liczyć żony niedawno zmarłego brata.

- Nie mów mi, że przyjechała Anne! - Spojrzał za plecy Finna, jakby spodziewał się tam zobaczyć swoją bratową.

- Chyba nie sądzi pan, że byłaby w stanie samodzielnie odbyć taką podróż? - parsknął Finn.

- Istotnie, nie - przyznał Ashdowne. Anne należała do kobiet, które bały się odgonić syczącą gęś, w ogóle zresztą bała się

wszystkiego. Była miła, cicha i śmiertelnie nudna. Na myśl o niej Ashdowne dostawał dreszczy, odczuł więc wielką ulgę, że to nie bratową przyjdzie mu przywitać. - Kogóż wobec tego tu mamy? - zainteresował się, widząc, że Finn uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Może nie powinienem był powiedzieć „pewna dama”, tylko „ta dama”, bo drugiej takiej z pewnością nie ma na całym świecie.

Ashdowne otworzył usta, żeby powiedzieć kamerdynerowi, co myśli o jego irytujących zagadkach. Nagle ogarnęło go niejasne i bardzo niepokojące przeczucie, że wie, kto przyszedł w odwiedziny. Z drugiej strony był przekonany, że nawet „ta dama” nie zlekceważyłaby aż tak bardzo zasad przyzwoitości.

- Ufam, że nie kazałeś jej czekać na progu. - Ashdowne groźnie spojrzał na Finna i wstał zza biurka.

Służący się obruszył.

- Naturalnie, że nie! Zaraz wprowadziłem ją do salonu, tak jak należy.

Nie ułagodził tym Ashdowne'a, który spojrzał na niego bardzo surowo.

- Rozumiem, że ktoś jej towarzyszy. - Postanowił, że jednak udusi tę zwariowaną pannicę, jeśli przyszła sama do rezydencji zajmowanej przez kawalera. Zresztą czekało ją to tak czy owak. Uczciwe kobiety po prostu nie składają wizyt dżentelmenom, nawet jeśli mają powód i przyzwoitkę. Nie czekając na odpowiedź Finna, wyszedł z pokoju.

- Chwileczkę, milordzie! Ona nie jest sama! Przyprowadziła z sobą brata!

- Brata? Co za czort? - mruknął pod nosem, ale nie zwolnił kroku. Przystanął dopiero przed samym progiem, żeby zaczerpnąć tchu dla uspokojenia nerwów, i przybrał chłodny wyraz twarzy, który zdradzał jego irytację. Ponieważ jednak nauczono go ukrywania myśli, po wejściu do salonu okazał gościom jedynie przykładną uprzejmość.

Naturalnie Georgiana od razu stopiła jego chłód, podbiegła bowiem do niego i wykrzyknęła z zachwytem:

- Och, Ashdowne!

Nic dziwnego, że stanął jak wryty. To było prawie jak odpowiedź na jego modły.

- Witam, panno Bellewether - odpowiedział i, wobec tak entuzjastycznego powitania, skłonił przed nią głowę najpiękniej, jak umiał.

- Lepiej przeproś za najście, Georgie. - Drugi głos zaskoczył Ashdowne'a. Za bardzo skupił się na swoim pierwszym gościu, by zauważyć, że w pokoju jest ktoś jeszcze. Przeklinając w duchu niezwykle dla niego zaniedbanie, odwrócił się i zobaczył bardzo przeciętnego młodzieńca, który w niczym nie przypominał Georgiany. To miał być jej brat? Ashdowne zdobył się na zdawkowe powitanie, a tymczasem panna Bellewether rozpoczęła typową dla siebie, długą i mało składną przemowę.

- Pewnie rzeczywiście powinnam prosić o wybaczenie, chociaż prawdę mówiąc, nie sędzę, żeby stało się coś złego. Bardzo się cieszę, że pana zastałam. Miałam najpierw wysłać liścik, ale nie wiedziałam, jak dużo czasu minie, zanim zostanie doręczony, zwłaszcza że tymczasem mógł pan wyjść. A czas nagli, nic na to nie poradzę, bo lada godzina - co ja mówię! - lada chwila złodziej może wywieźć skradzione klejnoty z Bath i ujść sprawiedliwości!

Ashdowne zauważył, że znów ogarnia go niepokój, monolog Georgiany docierał bowiem do niego z podejrzaną łatwością. Ona zaczyna mu się wydawać coraz bardziej rozsądna! Omal nie zawołał Finna, żeby sprawdzić, czy wpływ tej postrzelonej panny nie jest zaraźliwy jak suchoty. Ale poprzestał na przybraniu oficjalnej, choć aprobującej miny.

- Mówi pani o kradzieży u lady Culpepper, jak wnoszę? - upewnił się na wszelki wypadek, gdyby ją źle zrozumiał. Niechętnie musiał też pogodzić się z tym, że entuzjazm Georgiany jest przeznaczony nie tyle dla niego, co dla jego usług w roli pomocnika detektywa.

Panna Bellewether skinęła głową, chociaż wyglądało na to, że chce go skarcić za udawanie, iż nie rozumiał jej słów.

- To wszystko skutek desperacji - wyjaśniła. - Kiedy mama poprosiła mnie, żebym wzięła Aramintę i Eustację do miasta po zakupy, szybko znalazłam Bertranda i ubłagałam go, by mi towarzyszył do pana, bo wiedziałam, że mama nie byłaby zadowolona, gdybym przyszła tu sama.

- Bertrandzie - odezwał się Ashdowne do młodego człowieka, który stał oparty o ścianę obitą spłowiełym jedwabiem. Chociaż każdy

rozsądny brat wybiłby siostrze taki pomysł z głowy, Ashdowne podejrzewał, że nakłonienie Georgiany do rezygnacji z powziętego zamiaru graniczy z niemożliwością, więc po prostu wyraził swoją wdzięczność:

- Dziękuję ci, że zechciałeś towarzyszyć siostrze.

Bertrand natychmiast się uśmiechnął.

- Cieszę się, że milord nie wyrzucił nas za drzwi, bo ostrzegałem Georgie, że to właśnie się stanie, jeśli przyjdziemy nie zapowiedziani do domu markiza na Camden Place! - Chłopak urwał, a Ashdowne przekonał się jeszcze dobitniej, że ci dwoje nie są ulepieni z jednej gliny.

- Możesz być pewien, że nie zamierzam was wyrzucić - powiedział i znów zwrócił się do Georgiany: - Czym mogę służyć, panno Bellewether?

Bertrand wydał prychliwy odgłos, który Ashdowne uznał za wyraz pogardy.

- Milord chyba nie powie, że traktuje serio te jej banialuki: ściganie podejrzanych i takie tam - powiedział, wzruszywszy ramionami.

Postawił przez to Ashdowne'a w bardzo niewygodnej sytuacji, zmusił go bowiem do wzięcia Georgiany w obronę. Jednak, ku swemu zaskoczeniu, Ashdowne stwierdził, że odpowiedź przychodzi mu bez większego trudu. Przeszył groźnym spojrzeniem stojącego w niedbałej pozie młodzieńca i powiedział:

- Zapewniam cię, że traktuję twoją siostrę z całą należną jej powagą.

Młodzieniec wytrzeszczył oczy i spoglądał to na Georgianę, to na Ashdowne'a, jakby niezupełnie rozumiał, jakiego rodzaju znajomość ich łączy. Markiz widząc, jak zaskakujące jest dla Bertranda jego zainteresowanie Georgianą, zaczął się zastanawiać nad wcześniejszymi adoratorami dziewczyny. Najwidoczniej były to takie same tępe młokosy jak jej brat, nie umiejące w niej dostrzec nic oprócz ponętnego ciała.

Przestał zajmować się Bertrandem i przeniósł wzrok na Georgianę, natychmiast jednak padł ofiarą jej niezwykłego spojrzenia. Zdawała się nim wyrażać, że swą obroną głęboko ją poruszył, jakby nikt nigdy nie przemawiał w jej sprawie szlachetniej i bardziej wzniosłe. Ashdowne nieco się speszył.

Poczucie winy, pragnienie i źle pojęta duma walczyły w nim z czymś nowym, nie nazwanym. Doprawdy, trudno mu było zapanować nad sobą.

Georgiana zamrugała powiekami.

- Niech pan nie zwraca uwagi na Bertranda - powiedziała, jakby to obecność młodzieńca spowodowała jego nagłe zmieszanie. - Proszę dać mu coś do jedzenia, to będzie miał zajęcie i przestanie myśleć o czymkolwiek innym.

Ashdowne bardzo się zdziwił tym dość przyziemnym konceptem, ale i tym razem udało mu się nie pokazać tego po sobie.

- Proszę mi wybaczyć niedbałość. Zaraz każę coś podać - powiedział, chociaż pora na to była zdecydowanie nieodpowiednia. Wezwany Finn zjawił się podejrzanie szybko, a wkrótce wrócił z tacą, na której były kanapki, herbatniki i herbata. Zgodnie z zapewnieniem Georgiany jej brat natychmiast usiadł na krześle najbliżej tacy i z wielkim zadowoleniem zaczął pochłaniać jedzenie, zupełnie straciwszy zainteresowanie czymkolwiek innym.

Ashdowne patrzył na młodzieńca w najwyższym zdumieniu, aż w końcu Georgiana szarpnięciem za rękaw odciągnęła go na stronę.

- Po długim namyśle doszłam do wniosku, że jeśli mamy rozwiązać tę sprawę, musimy działać jak najszybciej.

Jej szczery zapał nieco oszołomił markiza. Naprawdę coraz trudniej było panować nad emocjami.

- A co z panem Jeffriesem? Skoro przyjechał do Bath, to na pewno wkrótce znajdzie złodzieja. Przecież na tym polega jego praca.

Ku jego zaskoczeniu Georgiana skrzywiła się i potrząsnęła złotymi lokami.

- Phi, pan Jeffries! Przyznaję, że jest całkiem miły, ale między nami mówiąc, pański kamerdyner lepiej by się nadawał na detektywa z Bow Street niż on! Bez naszej pomocy pan Jeffries nigdy nie wyciągnie właściwych wniosków, a lady Culpepper nie odzyska naszego naszyjnika.

- Tragiczna perspektywa - stwierdził oschle Ashdowne.

- Schlebia mi pani tym zaufaniem, ale co mamy robić? Chyba nie uważa pani nadal, że szmaragdy ukradli Whalsey i Cheever?

- Nie, naturalnie, że nie! - Georgiana znów spojrzała na niego tak, jakby chciała mu powiedzieć, żeby nie udawał głupiego, więc Ashdowne postarał się zrobić mądrzejszą minę.

- Oni nie są moimi jedynymi podejrzanymi! Teraz biorę pod uwagę kogo innego, ale potrzebuję więcej dowodów. - Zafrasowała się i Ashdowne musiał walczyć z sobą, żeby nie pocałować tych uroczo nadąsanych ust.

- Co pani sugeruje? Kolejną konfrontację?

- O, nie - odparła Georgiana i tak się skrzywiła, że Ashdowne poczuł się bardzo nieudolnym pomocnikiem. Natychmiast przysiągł sobie, że się poprawi.

- Jak już powiedziałam - ciągnęła Georgiana - nie zdobyłam jeszcze namacalnego dowodu na poparcie mojej teorii. Ale ten człowiek miał i motyw, i okazję, a poza tym wydaje mi się dostatecznie sprawny, żeby wspiać się po ścianie budynku.

- No tak, ta umiejętność bardzo ogranicza krąg podejrzanych - stwierdził Ashdowne.

- Właśnie! - Georgiana przesłała mu uśmiech w nagrodę za szybkie zrozumienie jej metod wnioskowania.

Ashdowne stwierdził ze zdziwieniem, że bardzo go cieszą te wyrazy uznania.

- Ale jak zdobędziemy niezbędny dowód? - spytał szczerze zaintrygowany, co ta pannica jeszcze wymyśli. Ona naprawdę potrafiła mu dostarczyć wspaniałej rozrywki.

- Włamiemy się do jego domu!

- Co?! - Chociaż Ashdowne sądził, że jest przygotowany na wszystko, to ten pomysł nim wstrząsnął. Zerknął przez ramię na Bertranda, ale uszczęśliwiony młodzieniec nadal pochłaniał kanapki, popijając je herbatą i zupełnie nie zwracał uwagi na otoczenie. Ashdowne pokręcił głową, zastanawiając się, czy nagle nie stracił umiejętności rozumienia słów Georgiany, bo przecież nie mogła chyba...

- Przemyślałam to dokładnie i nie widzę innej możliwości - oświadczyła.

Tym razem markizowi, gdy zerknął na drobną blondynkę z zapalem planującą włamanie, naprawdę odebrało mowę. Nigdy w życiu nie spotkał nikogo podobnego do panny Georgiany Bellewether. Była oszalamiająca jak duża dawka alkoholu, którą pije się ze świadomością, że skutki będą opłakane.

- Naturalnie zdaje sobie pani sprawę z tego, że ta propozycja jest sprzeczna z prawem - wydukał w końcu. Jako szlachetnie urodzony

człowiek, a zarazem jedyna rozumna osoba w tym pokoju, czuł się w obowiązku ze wszystkich sił zniechęcać pannę Bellewether do jej lekkomyślnego planu.

Georgiana najwidoczniej przyjęła do wiadomości jego zastrzeżenie, bo Ashdowne widział, że intensywnie myśli. Mimo swych dziwactw nie była przecież głupia. Potrzebowała tylko kogoś, kto by nią pokierował, a markiz - nie bez wyrzutów sumienia - zamierzał się tego podjąć. Tymczasem jednak najważniejsze było powstrzymanie panny Bellewether przed urzeczywistnieniem jej nowego planu, który mógłby mieć bardzo przykre skutki.

- No, owszem - powiedziała w końcu. - Przypuszczam, że z formalnego punktu widzenia nasze przeszukanie mogłoby być uznane za nie całkiem zgodne z prawem, ale ponieważ tego wymaga dobro sprawy, nie rozumiem, jak ktokolwiek mógłby nam zarzucić, że postępujemy niestosownie.

Ashdowne dzielnie powstrzymał się od śmiechu.

- Och, na przykład człowiek, którego dom chce pani przeszukać, mógłby jednak mieć coś przeciwko temu, podobnie jak pan Jeffries. Wątpię, czy nasz przykładowy detektyw z Bow Street ma przychylny stosunek do włamań.

- Do licha! - mruknęła Georgiana i Ashdowne pozwolił sobie na śmiałe przypuszczenie, że udało mu się ją przekonać, Włamanie! Wolał sobie nawet nie wyobrażać, co by się stało, gdyby tak pechowa osoba jak Georgiana zrealizowała swój plan. Doszłoby do katastrofy, jakiej świat nie widział. Z pewnością nawet ona...

- Nie pomoże mi pan, prawda?

Przez chwilę Ashdowne nie dowierzał temu, co widzi i słyszy, bo panna Bellewether spojrzała na niego z nie ukrywanym rozczarowaniem. Oto drastyczny przykład, jak łatwo utracić kobiecie łaski. Jeszcze niedawno był półbogiem, a teraz okazał się niewdzięcznikiem. I wszystko w ciągu jednego popołudnia. Ashdowne był bardzo niezadowolony z siebie. Nie dość, że nie odwiódł Georgiany od szalonego zamiaru, to jeszcze z powodu swego rozsądku stracił u niej wszelkie względy. Najgorsze zaś, że ta pannica zamierzała wdrzeć się do cudzego domu, wszystko jedno - z nim czy bez niego.

- W porządku - powiedziała, najwyraźniej błędnie interpretując jego przerażoną minę. - Rozumiem. Mężczyzna o pańskiej pozycji,

markiz, nie powinien angażować się w takie niestosowne przedsięwzięcie.

Ashdowne może w końcu odzyskaćby równowagę, gdyby Georgiana współczująco nie pogładziła go po ramieniu. Dotyk jej drobnej, delikatnej ręki i smutek bijący z oczu zrobiły jednak swoje. Pomyślał o rozmaitych niemoralnych czynach, z których znani byli członkowie klasy wyższej. Przypomniawszy sobie uwiedzenia, hazard, pojedynki i wiele innych spraw, a przy okazji mimo woli wspomniawszy własną, bynajmniej nie świetlaną przeszłość.

Wybuchnął śmiechem i śmiał się tak długo i głośno, że Bertrand podniósł głowę znad posiłku, a Finn, który bez wątpienia podsłuchiwał pod drzwiami, wszedł do salonu sprawdzić, co opętało jego chlebodawcę. Georgiana natomiast zupełnie nie przejęła się jego zachowaniem, tylko skupiła się na faktach.

- Czy to znaczy, że pan mi jednak pomoże? - spytała z nadzieją.

W przerwach między salwami śmiechu Ashdowne skinął głową, chociaż żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wziąłby udziału w pomysłach Georgiany, a już na pewno nie w tym, który niechybnie musiał doprowadzić do gigantycznej klęski. Jestem chyba przeklęty, pomyślał markiz, ale nawet to stwierdzenie nie przywołało go do rozsądku. Jak lecąca do światła ćma zmierzał prosto ku zgubie.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Pożegnali się z Bertrendem w pijalni. Wprawdzie Ashdowne ostrożnie się temu sprzeciwił, ale Georgiana nie miała zamiaru zgodzić się na udział brata w śledztwie. Owszem, kochała go, ale nie był to człowiek, z którym można by oddawać się ćwiczeniom umysłu. Bertrand zawsze robił tylko tyle, ile naprawdę musiał, bo gdyby miał zrobić nieco więcej, uważałby to za niepotrzebne trwonienie energii. Jedynie sprawy związane z rodzinnym gospodarstwem wywoływały w nim nieco żywsze reakcje, dlatego powszechnie widziano w nim następcę ojca.

Z punktu widzenia Georgiany Bertrand był jednak zupełnie bezużyteczny, więc pomimo sprzeciwów Ashdowne'a stanowczo odmówiła przywołania brata z powrotem.

- On by tylko przeszkadzał - powiedziała, kręcąc głową. - Poza tym nie potrzebujemy przyzwoitki na zwykłym spacerze.

Włamanie do cudzego domu stanowiło naturalnie odrębny temat, o tym jednak nie mogli rozmawiać w publicznym miejscu. Oboje więc szli w milczeniu, chociaż Ashdowne uniesieniem brwi wyraził swoje wątpliwości co do tego, czy spacer bez przyzwoitki naprawdę mieści się w zasadach dobrych obyczajów. Georgiana zbyła jego wahania energicznym ruchem głowy, nie miała bowiem zamiaru przejmować się pozorami w sytuacji, gdy należało skupić się na śledztwie.

Prawdę mówiąc, Ashdowne okazywał się rozczarowująco przyziemny. Przez chwilę zważyła nawet w to, że zechce jej towarzyszyć, i musiała bardzo się starać, żeby ukryć zawód. Chociaż rozumiała jego racje, spodziewała się nieco więcej entuzjazmu dla swego planu.

Gdy wreszcie Ashdowne zgodził się wziąć udział w tym ryzykownym przedsięwzięciu, posprzeczali się o termin. Georgiana naturalnie uważała, że trzeba działać pod osłoną nocy, ale ku jej głębokiej irytacji Ashdowne stanowczo się temu sprzeciwił. Dopiero gdy spytał ją wprost, jak mają cokolwiek znaleźć po ciemku, ustąpiła i zgodziła się włamać do domu Hawkinsa w biały dzień.

Gdy Ashdowne podsunął jej myśl, że w słoneczne popołudnie niewielu ludzi siedzi w domu, więc nikt nie powinien zauważyć włamania, wbrew sobie pomyślała, że zapewne markiz ma jednak rację. Może wydała o nim zbyt pochopny sąd, wyglądało bowiem na to, że do czekającego ich zadania odnosi się z wielką powagą.

Porwana nową falą entuzjazmu, odnalazła adres pana Hawkinsa w księdze, do której wpisywali się wszyscy goście przyjeżdżający do Bath, i pociągnęła Ashdowne'a za rękaw, dając mu znak, że jest gotowa do opuszczenia pijalni. Markiz przesłał jej cierpiętnicze spojrzenie, lecz posłusznie ruszył za nią ku drzwiom. Gdy jednak przedzierali się przez ludzką ciżbę, ktoś zawołał:

- Georgie!

Słyszając głos Araminty, Georgiana wzdrygnęła się, ale nie było już ucieczki. Siostra znalazła się przy niej w okamgnieniu, a zaraz potem dołączyła do nich Eustacja.

- Jesteś! Gdzie się podziewałaś? Mama wyraźnie powiedziała nam, że mamy iść z tobą... - Eustacja zawiesiła głos, bo nawet mimo swej gadatliwości nie mogła paplać jak najęta przy kimś tak wytwornym jak Ashdowne. Ni stąd, ni zowąd, Georgiana poczuła przyływ zaborczej dumy. Markiz jest tylko moim pomocnikiem, nikim więcej, upominała się w myślach, dopełniając formalności wynikających z reguł życia towarzyskiego.

- Milordzie, proszę pozwolić, że przedstawię moje siostry, Aramintę i Eustację.

- Serdecznie witam. Miło mi panie poznać - powiedział i skłonił się przed nimi bardzo uprzejmie, na co dziewczęta zachichotały. Zresztą reagowały chichotem właściwie na wszystko. Georgiana nigdy nie umiała odkryć źródła ich rozbawienia i od dawna już nie próbowała brać udziału w ich piskliwej radości.

- Witaj, milordzie - powiedziała Eustacja, kryjąc twarz za nieodzownym wachlarzem.

- Witaj, milordzie - powtórzyła Araminta, schylając głowę podobnie jak siostra i skręcając w palcach gruby kosmyk włosów. Ku swemu żalowi obie panny odziedziczyły po przodkach włosy dość nijakiego koloru, więc ciągle próbowały je rozjaśnić jakimiś ryzykownymi miksturami. Georgianę dziwiło nawet, że od tych okrutnych zabiegów siostry jeszcze nie wyłysiały.

- Szukałyśmy cię wszędzie, Georgie - powiedziała Eustacja, kątem oka obserwując Ashdowne'a.

- Właśnie. Gdzie byłaś? - spytała Araminta karcąco, choć bez typowej dla siebie zgryźliwości.

- Byliśmy na spacerze z Ashdowne'em i zatrzymaliśmy się tu tylko na chwilę. Przykro mi, ale musimy już iść - odparła Georgiana, powoli zbliżając się do markiza.

- Ależ, Georgie!

- Mama powiedziała...

Georgiana chciała uciszyć sprzeciwy sióstr ostrzegawczym spojrzeniem, ale one jak zwykle nie potraktowały tego poważnie.

- Dokąd idziesz? - spytała Araminta.

- Mamy zamiar pojeździć powozem po mieście - odparła Georgiana, gorączkowo wysilając umysł. Należało jak najszybciej odejść, bo Ashdowne mógł w każdej chwili zniecierpliwic się jej natrętnymi siostrami. Czy mogłaby mieć do niego o to pretensje? Ich szczebioty nieraz przyprawiły ją o ból głowy.

- Co za wspaniały pomysł! My też pojedziemy! - wykrzyknęła Eustacja.

- Mama chce, żebyśmy ci towarzyszyły! - oznajmiła Araminta. - Powiedziała, że...

- Przykro mi, ale jesteśmy umówieni z kim innym. Nie ma miejsca w powozie - odparła stanowczo Georgiana i pociągnęła Ashdowne'a za rękaw. Nie czekając na dalsze sprzeciwy sióstr, przepchnęła się wśród ludzi tłumnie zgromadzonych w pijalni i w końcu wyszła przez masywne drzwi na ulicę. Ashdowne, bez trudu dotrzymujący jej kroku, spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Georgie?

- Rodzina tak zdrabnia moje imię - odrzekła Georgiana z dreszczem niesmaku. Od lat usiłowała z tym skończyć. Jak ktoś, kogo ludzie nazywają Georgie, może liczyć na poważne traktowanie?

- A pani tego nie znosi - dodał oschle Ashdowne. - Ciekawa rodzinka. Nie mogę się doczekać poznania pani rodziców.

Georgiana uśmiechnęła się.

- Wprawdzie bardzo ich kocham, ale przekona się pan, że są podobni do mojego rodzeństwa. Ojciec zazwyczaj zachowuje się dość głośno, więc na pewno urazi pańskie arystokratyczne poczucie przyzwoitości. Matka zaś wprawdzie bardzo sumiennie spełnia swe obowiązki rodzicielki, lecz również wybiera mi te okropne suknie.

Ashdowne w zamyśleniu przewędrował wzrokiem po jej ciele, od czego każda inna panna w najlepszym razie spłoniłaby się, a potem spojrzał jej w oczy. Georgiana poczuła, jak uginają się pod nią kolana.

- Czy pani na pewno nie jest adoptowanym dzieckiem? Zaskoczona, wybuchnęła śmiechem. Mimo woli żywiła dla markiza bardzo ciepłe uczucia. Nigdy w życiu nie czuła się w niczym towarzystwie tak swobodnie, ani tak dobrze się nie bawiła. W odróżnieniu od innych znanych jej mężczyzn Ashdowne odnosił się do niej z szacunkiem. Słuchał jej i, choć strach było tak myśleć, wydawało się, że ją rozumie. Gdy szli obok siebie ulicą w stronę kwatery pana Hawkinsa, jej serce wyczyniało dziwne harce, więc na wszelki wypadek nieco odsunęła się od markiza.

Wprawdzie cieszyło ją jego towarzystwo, ale nie powinna zanadto ulegać urokowi tego mężczyzny. Musiała skupić się przede wszystkim na tym, jak dowieść winy swojego podejrzanego. Bo wtedy, Georgiana była gotowa przysiąc, Ashdowne przestanie być jedyną osobą, która traktuje ją poważnie. W przyływie energii przyspieszyła kroku i zgodnie z powagą sytuacji zmieniła temat rozmowy z rodziny Bellewetherów na śledztwo.

Potrzebny adres znaleźli w podupadłej, zamieszkannej jednak przez szlachtę części miasta. Ashdowne zapłacił jakiemuś ulicznikowi, żeby zapukał do drzwi. Gdy chłopiec to zrobił, nikt mu nie otworzył. Georgiana liczyła na to od początku, jednak gdy podchodzili z markizem do tylnego wejścia domu, ledwie mogła opanować podniecenie. Do tej pory swoje umiejętności ćwiczyła na płaszczyźnie czysto intelektualnej, teraz śledztwo stawało się czymś namacalnym i tym bardziej ekscytującym. Musiała zresztą przyznać, że obecność markiza czyni je jeszcze ciekawszym.

- Zdaje się, że pan Hawkins zajmuje również piętro - powiedział Ashdowne, przyglądając się domowi, a Georgiana mu przytaknęła. Próbowwała skupić się na śledztwie, a nie na wzroście mężczyzny, który stał obok niej. Choć nigdy nie przypuszczała, że Ashdowne może wyglądać niepozornie, tym razem udało mu się skryć w cieniu na malutkim placyku, który niegdyś był ogródkiem, lecz teraz porastały go chwasty. Starając się wziąć przykład z markiza, przywarła do ściany budynku.

Gdy dotarli do drzwi, Georgiana poruszyła klamką, lecz bez skutku. Zdumiona spojrzała na odporne odrzwia. Kto w Bath trudził się zamykaniem domu na klucz? Takie zachowanie potwierdzało jej podejrzenia co do charakteru pana Hawkinsa. Skradziony naszyjnik

musiał znajdować się gdzieś w środku, bo po co inaczej Hawkins miałby utrudniać dostęp do swego mieszkania?

Ale skoro tak, to sytuacja nagle stała się trudna. Jak mieli z Ashdowne'em dalej prowadzić śledztwo? Georgiana zerknęła na wysoko położone okno, które wydawało się raczej bezużyteczne jako ewentualne wejście, a potem na Ashdowne'a, który przyglądał jej się z dość zuchwałą miną. Czyżby oczekiwał od niej, że podda się przy pierwszej trudności? Przesłała mu groźne spojrzenie, a potem głośno nabrała tchu, zauważyła bowiem, że Ashdowne wyciągnął coś z kieszeni i wsunął do zamka. Rozległ się cichy trzask i drzwi ustąpiły.

- Och! - sapnęła Georgiana z podziwem. - Ashdowne, cofam wszystkie krytyczne uwagi na pana temat. Jest pan niezwykle wykwalifikowanym pomocnikiem!

- Czy wcześniej miała pani innego? - spytał, pochylając się nad nią, gdy znaleźli się już w budynku.

- Kogo? - spytała, oszołomiona jak zawsze, gdy Ashdowne zanadto się do niej zbliżył.

- Pomocnika - wyjaśnił i zamknął za nimi drzwi.

- Nie - bąknęła Georgiana bez tchu.

- Aha. Wobec tego nie mogę sobie cenić tego komplementu. - Stał przed nią i uśmiechnął się nieznacznie. Oczy zalśniły mu w półmroku. - A zatem zmieniła pani zdanie co do mojej osoby?

Ale Georgiana tylko zrobiła rozradowaną minę. Znowu chciało jej się śmiać. Tymczasem markiz pokręcił głową i zaczął bezszelestnie badać wnętrze jak kot poznający nowy teren. Przez chwilę Georgiana patrzyła na niego z niekłamanym zachwytem.

- Czego szukamy? - Znów spojrzał w jej stronę i Georgiana zamrugała powiekami, zaskoczona. Jak mogła zapomnieć, po co tutaj przyszli?

- Naszyjnika, rzecz jasna - mruknęła, trochę zawstydzona.

- A gdzież mógłby być ten naszyjnik? - W tonie Ashdowne'a brzmiało wyraźne rozbawienie.

- Nie wiem! - odburknęła Georgiana. - Niech pan szuka! Po tej odprawie Ashdowne odwrócił się i znów zaczął kocimi ruchami przemierzać wnętrze domu, tu podnosząc wieczko, tam otwierając drzwiczki. Georgiana starała się myśleć najlogiczniej, jak umiała. Gdzie Hawkins ukryłby swój łup? - zastanawiała się. Rozejrzawszy się po wnętrzu, doszła do wniosku, że złodziej najprawdopodobniej

nie zostawiłby klejnotów na parterze, ale znalazł dla nich skrytkę, na którą nie padnie spojrzenie żadnych wścibskich oczu. Szybko ruszyła ku schodom.

Na górze omiotła spojrzeniem czyste, ale tandetne meble. Pokój był urządzony po spartańsku i stanowczo nie sprawiał wrażenia jaskini groźnego zbrojcy. Z drugiej strony rabuś porywający się na takie klejnoty nie może być pospolitym przestępcą, uznała Georgiana.

Zacząła więc systematycznie przeszukiwać pokój. Zajrzała pod materac i we wszystkie kąty, a potem zabrała się do przeglądania bielizny. Właśnie kończyła to zdecydowanie nieprzyjemne zajęcie, gdy na górze pojawił się Ashdowne. Minę miał powątpiewającą, jakby nie rozumiał poczynań Georgiany.

- Dobrze się pani bawi? - spytał.

- Ja tylko sprawdzam wszystkie możliwości! - odparła, a jej entuzjazm dla osoby pomocnika znów ochłódł. Ashdowne wydawał się mało zainteresowany poszukiwaniami. W czasie gdy systematycznie sprawdzała kolejne miejsca, chodził tam i tu raczej bez celu. Georgiana postanowiła nie zwracać na niego uwagi, mogła przecież znaleźć klejnoty samodzielnie.

W zasadzie skończyła przeszukiwanie sypialni, gdy zauważyła koce w kącie pokoju. Okazało się, że przykrywają one kufer. Georgiana natychmiast wyciągnęła go z kąta, zepchnęła stertę koców na podłogę i chwyciła za okucie. Z zachwytem stwierdziła, że wieko się unosi.

- Coś znalazłam! - zawołała, wpatrując się w ciemne głębie kufra. Sięgnęła i wydobyła stamtąd dość długi aksamitny sznur. Wyglądał tak, jakby pochodził od zasłon, ale wyobraźnia podsunęła Georgianie myśl o jego znacznie bardziej niecnym przeznaczeniu, sznur mógł bowiem służyć do wiązania ofiar.

- Co to jest?

Georgiana omal nie pisnęła w popłochu, w ogóle nie zauważyła bowiem, że Ashdowne znalazł się tuż obok niej i przykląkł na jedno kolano przy kufrze.

Chcąc ukryć zmieszanie, wskazała znalezisko.

- Niech pan spojrzy. Sznur! - Wyciągnęła z kufra następny przedmiot i również go pokazała z triumfującą miną. - I czarna maska!
- Takie maseczki nosiło się na balach kostiumowych, ale równie

dobrze mógł się nią posługiwać przestępca chcący ukryć swoją tożsamość. Tak przynajmniej uważała Georgiana.

Znów pochyliła się nad kufrem i znalazła tam jeszcze zakończony chwaścikiem pejcz.

- O, jest i broń!

Naturalnie pistolet byłby znacznie bardziej obciążający, ten pejcz bowiem miał dość niezwykły wygląd...

Rozmyślenia Georgiany przerwało ciche chrząknięcie Ashdowne'a.

- Och, Georgiano, nie sądzę, żeby to były narzędzia włamywacza.

- Nie wiem, nie wiem. Mnie się wydają bardzo podejrzane! - odparła, dalej przekopując zawartość kufra.

- Podejrzane, tak - przyznał rozbawiony. - Ale nie w ten sposób, jak się pani zdaje.

Georgiana nie dała się zniechęcić i wsadziła głowę do kufra. Coś załaskotało ją w nos. Pierze? Chciała się cofnąć, ale przeszkodziło jej potężne kichnięcie. Wstrząśnięta jego impetem straciła równowagę i ze zduszonym krzykiem wpadła do kufra. Jej nogi rozpaczliwie wymachiwały w powietrzu, szukając oparcia.

Chociaż nie groziło jej uduszenie, pozycja była dość niewygodna, najgorsze zaś, że całkiem obsunęły jej się spódnice, a rękami rozgniatała rzeczy, które mogły być istotnymi dowodami w sprawie. Chciała jak najszybciej się uwolnić, usłyszała jednak jakiś złowrogi odgłos i wpadła w panikę. Co tam się dzieje? Gdzie jest Ashdowne?

Z twarzą wciśniętą między dziwne, śmierdzące stęchlizną przedmioty Georgiana zastanawiała się, czy przypadkiem nie wrócił Hawkins lub jego służący. Dopiero gdy udało jej się postawić jedną nogę na podłodze, uświadomiła sobie, że słyszała po prostu śmiech Ashdowne'a.

Oburzona odepchnęła wieko, które opadło jej na ramiona, i wydostała się na zewnątrz. Jej tak zwany pomocnik zamiast ją ratować, siedział na podłodze oparty o ścianę i zanosił się śmiechem. Co gorsza, trzymał się za brzuch, jakby obawiał się, że pęknie. Georgiana miała szczerą nadzieję, że przynajmniej sprawia mu to ból.

- Co się stało?! - spytała, potrząsając głową.

Chyba zwróciła tym na chwilę uwagę Ashdowne'a, przestał się bowiem śmiać i omiół ją spojrzeniem, natychmiast jednak dopadł go

kolejny atak niepohamowanej wesołości. Zaniepokojona Georgiana ostrożnie dotknęła swoich włosów. Jej palce wymacały piórko, które uwieźło w gęstym puklu i stało na sztorc. Syknąwszy ze złości, wyszarpnęła je i cisnęła z powrotem do kufra.

- Już! Czy teraz lepiej? - spytała z irytacją. Gromki śmiech Ashdowne'a zamienił się w chichot, a Georgiana zauważyła w jego oczach łzy. To powinno było zirytować ją jeszcze bardziej, ale o dziwo widok tak odprężonego, tak ludzkiego i przystępnego markiza całkiem ją rozbroił. Musiała zresztą przyznać, że woli, gdy Ashdowne się z niej śmieje, niż gdy inny mężczyzna wpatruje się w jej kobiece wdzięki.

Ten śmiech był okrutny, ale szczery i naprawdę radosny, toteż Georgiana mimo woli sama się uśmiechnęła, widząc, ile ciepła jest w tym świeżo upieczonym markizie i jak bardzo różni się on od chłodnego, opanowanego mężczyzny, za którego uchodził. Odwróciła się, żeby nie zauważył oznak jej słabości, i odłożywszy koce na wieko, z powrotem wepchnęła kufer na miejsce. Potem przyjrzała mu się dokładnie, żeby stwierdzić, czy jest dokładnie ustawiony tak samo jak poprzednio. Ale ponieważ nie była tego pewna, zaczęła się cofać, żeby zobaczyć większy fragment pokoju. Niestety, potknęła się o wyciągnięte nogi Ashdowne'a.

Przez chwilę bezładnie wymachiwała rękami i już, już by upadła na podłogę, ale podtrzymały ją silne męskie ramiona i wylądowała na kolanach Ashdowne'a. Spojrzała na niego zdumiona, a on otarł oczy wierzchem dłoni i pokręcił głową.

- Jest pani niezastąpiona, panno Bellewether.

- Cieszę się, że mogę panu pomóc w osiągnięciu dobrego nastroju - odparła Georgiana, starając się uwolnić.

Ale Ashdowne trzymał ją mocno.

- Bardzo potrzebuję śmiechu - zapewnił. - Już nawet zapomniałem, jak bardzo potrzebuję... - Zawiesił głos i pochylił głowę, a Georgiana chciała coś powiedzieć, więc otworzyła usta... i natrafiła nimi na wargi Ashdowne'a.

Były ciepłe, delikatne i tak samo urzekające jak poprzednio. Georgianie przemknęło przez głowę, że nie powinna pozwolić markizowi na pocałunki, zwłaszcza na podłodze sypialni pana Hawkinsa, ale jego bliskość jak zwykle ją obezwładniła, a rozsądek poddał się dyktatowi ciała.

Widocznie dość miała ulegania wymogom rozumu, bo pozostałe sfery jej osobowości wcale nie sprzeciwiały się zalotom Ashdowne'a. Położyła mu więc dłonie na ramionach i palcami zaczęła badać jego twarde mięśnie, a on oparł jej głowę na swym ramieniu i pogłębił pocałunek.

Och, co za niesamowite uczucie! Panna Bellewether z całej siły trzymała markiza za ramiona, a on tymczasem przesunął wargami po jej policzku. A potem pochylił się niżej, wytyczając wśród rozmarzonych westchnień wilgotny, rozgrzany szlak na jej szyi.

Szeptał jakieś tkliwe słowa, muskając wargami jej rozgrzaną skórę, a po chwili ręka, która dotąd spoczywała na jej talii, przeniosła się wyżej. Rozanielona panna głośno nabrała powietrza. Jej ciało, którego bardzo kobiece kształty zawsze przeklinała, zdawało się samoistnie nabierać życia. Mrowienie budzone dotykiem Ashdowne'a wyzwalało w niej dziwną tęsknotę. Tymczasem jego dłoń zawędrowała jeszcze wyżej i Georgiana wstrzymała dech. Chciała... chciała...

Cicho westchnęła, bo poczuła palce Ashdowne' a zamykające się na jej piersi. Cudowne dreszczyki rozbiegały się po całym jej ciele, a on teraz delikatnie wodził palcami po skórze tuż nad dekoltem jej sukni. Kciukiem zabłądził niżej i trącił sutkę, która natychmiast stwardniała.

- Och, Ashdowne! - westchnęła, pochłonięta intensywnością doznań. Poruszyła się na jego kolanach i poczuła pod sobą coś twardego. - Och! - syknęła, odniosła bowiem wrażenie, że to coś się porusza.

- Tak, Georgiano, och...

Trudno odgadnąć, co markiz zamierzał jeszcze powiedzieć, bo przerwał mu trzask zamka. W ciszy zabrzmiał on tak głośno, że oboje znieruchomieli. Przez moment słychać było tylko ich płytkie oddechy, a zaraz potem złowieszczo skrzypnęły drzwi na dole.

Zanim Georgiana zdążyła zebrać myśli, Ashdowne już się zerwał i pociągnął ją ku oknu. Otworzywszy je, błyskawicznie znalazł się po drugiej stronie. Pomógł jej wykonać tę samą ewolucję, po czym zamknął okno od zewnątrz. Oszołomiona Georgiana zorientowała się, że stoi na dachu, a Ashdowne bez cienia wahania prowadzi ją między kominami i oknami mansard, przeskakując z budynku na budynek.

Wreszcie dotarli do wysokiego, choć dość wątłe wyglądającego drzewa.

Droga na dół nie była długa, mimo to Georgiana z dużą niechęcią myślała o schodzeniu, % jej obecnego punktu widzenia ziemia wydawała się bowiem niebezpiecznie odległa. Ale jej towarzysz łatwo pokonywał wszystkie przeszkody i zawsze był gotów podać jej rękę lub ją podtrzymać. W końcu zsunęła się z drzewa na ziemię, przy czym Ashdowne pochwycił ją w locie, by nie upadła.

Przez chwilę stali twarzą w twarz, a markiz wciąż lekko obejmował ją w talii. Georgiana spodziewała się wymówek. Przez nią Ashdowne zniszczył część swojej kosztownej garderoby, nie mówiąc już o tym, że narażał się i ryzykował wolność, gdyby schwytano ich podczas włamania. Cały plan wydał jej się nagle bardziej głupi niż sprytny, poczuła więc wyrzuty sumienia, że namówiła swego towarzysza do tej niebezpiecznej eskapady.

Spojrzała na niego z niepokojem, ale ku jej zaskoczeniu Ashdowne miał bardzo radosną minę. Odrzucił głowę do tyłu i wybuchnął śmiechem. Byli ukryci w cieniu, nad ich głowami kołysały się liście, a Georgiana zastanawiała się, czy markiz przypadkiem nie oszalał. Jeśli nawet nie, to bez wątpienia cechowała go skłonność do okazywania wesołości w najdziwniejszych chwilach. Wreszcie uspokoił się i przysunął do niej. Zerknęła na niego nieufnie.

- Dziękuję pani - szepnął, a jego oczy załśniły takim blaskiem, że Georgianie natychmiast uleciały z głowy wszystkie myśli.

- Za co? - spytała.

- Za przygodę - wyjaśnił. Zanim zdążyła zastanowić się nad tą odpowiedzią, pochylił się do jej ucha: - Już zapomniałem, jak to jest. Jestem pani wdzięczny, że mogłem sobie przypomnieć dawne czasy.

- Co pan zapomniał? - Georgiana bardzo się zmieszala, widząc jego piękny uśmiech.

- Że życie jest przygodą - oświadczył, a potem, korzystając z cienia rzucanego przez drzewo, szybko i chciwie ją pocałował. Trwała w oszołomieniu, póki nie ujął jej za rękę i nie pociągnął za sobą.

Przygodą? Ten człowiek wyraźnie lubił mocne wrażenia, a gdy prowadził ją opłotkami ku uczęszczanym ulicom Bath, pomyślała, że to chyba ona jest tylko pionkiem w służbie jakiejś potężnej siły.

Zanim dotarli w pobliże domu zajmowanego przez Bellewetherów, zapadł zmierzch, ale Georgiana nie była bliższa

rozwiązania tajemnicy niż tamtego ranka, gdy spotkała detektywa z Bow Street. Czuła się tak, jakby jedyne proste rozwiązanie odsuwało się od niej coraz dalej. A jej pomocnik, choć nad wyraz wprawnie poradził sobie z zamkiem w domu Hawkinsa, zaczynał jej sprawiać bardzo poważne problemy.

Musiała przyznać, że Ashdowne działa na nią bardzo dziwnie, jak narkotyk: otępia umysł, lecz zarazem wyostrza wszystkie zmysły. Gdy przypomniła sobie, jak dotykał jej piersi, budziły się w niej jednocześnie tęsknota i głębokie zakłopotanie.

Czy rzeczywiście tak dalece się zapomniała? Przecież zawsze zdawało jej się, że wolałaby być mężczyzną, a wszystkie atrybuty kobiecości, które tak pasjonowały jej siostry, miała w głębokiej pogardzie. Zawsze uważała, że jest ponad takie niedorzeczności, zbyt racjonalna i inteligentna, by ulec urokowi mężczyzny. Tymczasem Ashdowne zdawał się bez wysiłku zamieniać ją w bezrozumną, niezdolną do myślenia głupią gąskę.

To było dla niej upokarzające.

Co gorsza, owo dziwne zjawisko nie mogło wystąpić w mniej odpowiednim czasie, bo przecież właśnie teraz jak nigdy dotąd musiała polegać na sile swego umysłu, wszak była u progu wymarzonej kariery. Ponuro westchnęła. Chociaż próbowała zapanować nad uczuciami do swego pomocnika, nie była w stanie się skupić. Ashdowne zbyt ją rozpraszał.

W tej sytuacji należało sięgnąć po radykalne środki. Mimo że bardzo polubiła markiza i doceniała jego pomoc w śledztwie, musiała zrezygnować ze współpracy. Podjęła tę decyzję z bólem, tym bardziej że właśnie doszli do domu zajmowanego przez rodzinę Bellewetherów i zbliżała się chwila pożegnania. Ashdowne był przystojny, z oczu wciąż biła mu radość po niedawnej eskapadzie, a na wargach igrał pogodny uśmiech, jakiego Georgiana jeszcze u niego nie widziała.

Coś ścisnęło ją w sercu, gdy pomyślała, że może pasowałoby do siebie, zaraz jednak odpędziła tę niepożądaną myśl. Nie mogła też pozwolić sobie na zbyt długie wpatrywanie się w twarz człowieka, który nagle stał się jej tak bardzo bliski. Utkwiła więc wzrok w jego halsztuku i przygotowała się do dania odprawy swemu jedyjnemu pomocnikowi.

- Ashdowne, chciałabym...

- Georgie! Jesteś! - Wołanie ojca bardzo ją rozstroiło. Nie dość, że przerwano im rozmowę w wyjątkowo nieodpowiednim momencie, to w dodatku musiała teraz przedstawić Ashdowne'a rodzicom, chociaż już nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

- Dziewczynki powiedziały, że pojechałaś na spacer z... - Ojciec urwał i wbił wzrok w markiza. - O, któż to z tobą jest, chyba nie lord Ashdowne? - spytał tonem wskazującym na to, że dobrze zna tożsamość jej towarzysza i sprawia mu to niewymowną przyjemność.

Starając się ukryć grymas rozczarowania, Georgiana wskazała swego rodzica, który promiennie się uśmiechał.

- Milordzie, to jest mój ojciec, squire Bellewether.

Jak zwykle jej ojciec ledwie pozwolił przybyszowi skinąć głową i natychmiast dał upust swemu zachwytowi.

- Milordzie, jakże się cieszę! Moja mała Georgie na spacerze z jednym z najbardziej dostojnych gości w Bath! - Spojrzał aprobująco na córkę, jakby jej znajomość z markizem była powodem do szczególnej dumy. Georgiana zdrętwiała.

Mimo niezwykłego wpływu, jaki wywierał na nią Ashdowne, nie należała do płochych kobiet, które spędzają cały swój czas na szukaniu męża. I nawet już nie chciała, żeby Ashdowne był jej pomocnikiem!

- To prawda, ale milord się śpieszy - powiedziała, nie zwracając uwagi na znacząco uniesioną brew markiza.

- Och, nie! Nie puścimy milorda tak łatwo! - gromko zaprotestował ojciec. - Milord jeszcze nie zna mojej rodziny! Proszę, proszę! Koniecznie musi pan poznać panią Bellewether i zjeść z nami kolację.

Georgiana wpatrywała się w ojca z wyrazem popłochu na twarzy. Nawet jeszcze zanim zdecydowała, że musi zrezygnować z asystenta, nie poddałaby Ashdowne'a torturze wspólnego posiłku z jej rodziną. A teraz, skoro postanowiła zerwać współpracę, chciała mieć jak najmniej styczności z markizem. Zaproszenie go do domu nie było dobrym sposobem na uwolnienie się od jego towarzystwa.

- Jestem pewna, że jego lordowska mość ma inne zobowiązania dzisiejszego wieczoru - powiedziała, dając w ten sposób Ashdowne'owi szansę eleganckiego wykręcenia się od zaproszenia. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że człowiek, który jeszcze niedawno

spoglądał na nią z góry, może chce zostać u niej na kolacji. Dlatego gdy usłyszała jego odpowiedź, zdumiała się nie na żarty.

- Prawdę mówiąc, akurat na dziś wieczór nie miałem żadnych planów - powiedział markiz, swym łotrzykowskim uśmiechem poddając Georgiane myśl, że specjalnie udaje niezrozumienie sytuacji. Ale po co? Może sądził, że mają jeszcze porozmawiać o śledztwie? Pewnie tak, uznała. Wykorzystała więc chwilę, gdy ojciec był odwrócony, i dyskretnie, lecz stanowczo pokręciła głową.

Ale Ashdowne tylko szelmowsko się uśmiechnął.

- Jest mi bardzo miło, że mogę przyjąć pana zaproszenie, squire - powiedział. I chociaż skłonił głowę przed jej ojcem, to przez cały czas patrzył na Georgianę, zupełnie jakby ją prowokował, żeby jeszcze raz spróbowała zapobiec wspólnej kolacji.

Oburzona, przesłała mu piorunujące spojrzenie, ale nie mogła wyrazić zastrzeżeń bardziej dobitnie, ponieważ ojciec już prowadził ich do drzwi domu, głośno wyrażając wdzięczność. Ashdowne wydawał się nie mniej zadowolony, a Georgiana z rozpaczą myślała o jego dobrym nastroju, który z pewnością nie przetrwa tej ciężkiej próby.

Przyszło jej jednak do głowy, że decyzja markiza może okazać się dla niej korzystna. Ułatwi jej trudne rozstanie z pomocnikiem. Może nawet w ogóle nie będzie musiała dawać Ashdowne'owi odprawy?

Jedna wspólna kolacja w domu Bellewetherów powinna załatwić tę sprawę i uwolnić Georgianę od przykrego i kłopotliwego obowiązku.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jakby na potwierdzenie przypuszczeń Georgiany, ledwie zdążyli przestąpić próg domu, powitały ich krzyki. Araminta z Eustacją wiodły ząartą kłótnię w salonie.

- To moja wstążka! - przenikliwie pisnęła Araminta i z całej siły pociągnęła za bladoróżowy pasek jedwabiu.

Niestety, Eustacją mocno trzymała drugi jego koniec, więc dziewczęta przypominały dwa psy walczące o kość.

- A wcale nie! To mnie mama ją dała!

- A wcale nie tobie! - wykrzyknęła Araminta, akcentując słowa kolejnymi szarpnięciami wstążki, w wyniku czego Eustacją znalazła się na podłodze w pozie niegodnej dobrze wychowanej panienki.

- Dziewczynki! Dziewczynki! - upomniał je ojciec, a tymczasem Georgiana zwróciła się do Ashdowne'a, spojrzeniem dając mu do zrozumienia, że sam tego chciał. Na twarzy markiza ujrzała jednak wyraz nie trwogi, lecz rozbawienia. Ashdowne pochylił się do jej ucha.

- Widzę, że nie jest pani jedynym rozbójnikiem w tej rodzinie - powiedział cicho.

Potem wyprostował się i uśmiechnął do niej jak winowajca, który wcale nie odczuwa wyrzutów sumienia. Oburzył ją tym jeszcze bardziej. Ona rozbójnikiem? Co to, to nie! I wcale nie była podobna do swoich sióstr. Już miała na końcu języka ciętą ripostę, ale nie zdążyła nic powiedzieć, bo Araminta i Eustacja zauważyły przybysza. Ruszyły ku niemu, natychmiast uzbrajając się w chusteczki i wachlarze, podczas gdy sporna wstążka została na podłodze.

Ku rozpaczy Georgiany siostry od razu zaczęły chichotać.

- Milordzie! - zaszचेbiotały i zaczęły z nim flirtować w najgłupszy z możliwych sposobów. Żal było na to patrzeć i Georgiana musiała z całej siły zaciskać usta, żeby nie powiedzieć czegoś niegrzecznego. Od ojca nie mogła oczekiwać pomocy, ten bowiem tubalnym głosem czynił zadość wymogom etykiety i w ogóle nie zwracał uwagi na złe zachowanie swoich latorośli.

Gdy Araminta dała Eustacji sówkę w bok, żeby zająć miejsce bliżej markiza, Georgiana omal nie wytargała siostry za włosy. Myślała też o przewróceniu jej na podłogę. Na szczęście uświadomiła sobie, że ulega tej samej dziwnej żądzy posiadania w odniesieniu do Ashdowne'a, którą zauważyła u siebie już wcześniej, więc

powstrzymała się przed brutalną przemocą. Uznała zresztą, że jest to naturalne uczucie, gdy chodzi o jej pomocnika.

Ale Ashdowne już nie był jej pomocnikiem. Dlatego Georgiana, mimo że zdegustowana zachowaniem siostry, pozwoliła Aramincie zająć wywalczoną pozycję. Sama i tak nie powinna dłużej pozostawać blisko markiza. Chciała się odsunąć, ale Ashdowne przytrzymał ją za łokieć, delikatnie, lecz zarazem stanowczo.

Jak mu się udało wymanewrować i Aramintę, i Eustację, nie miała pojęcia, w każdym razie wkrótce znalazł się z powrotem u jej boku, co więcej w dość zaborczej pozycji. Georgiana powtarzała sobie, że markiz po prostu poważnie traktuje swoje obowiązki asystenta, ale nie mogła też zignorować przyjemności, jaką jej sprawił swoim zachowaniem.

Mimo jego wcześniejszych zapewnień nie sądziła, by chciał zostać na kolacji, okazało się jednak, że gdy nadszedł czas posiłku, Ashdowne bardzo uprzejmie zgodził się zasiąść z nimi do stołu. Potem przez cały wieczór imponował taktem i uprzejmością, o co Georgiana nigdy by go nie posądzała.

Udało mu się znieść przejawy zachłannej uwagi młodszych panien Bellewether i jowialną konwersację prowadzoną przez ojca, a jednocześnie uspokoić niepewność matki, która nie bardzo wiedziała, jak reagować na obecność arystokraty w swoim domu. Na szczęście Bertrand się nie pojawił, bo inaczej wysoce niestosowna wizyta Georgiany w domu markiza mogłaby wyjść na jaw i zepsuć miłą atmosferę. Należało przypuszczać, że młodzieniec woli zjeść kolację z przyjaciółmi w mieście, nic więc nie przeszkadzało Ashdowne'owi w oczarowaniu reszty rodziny.

Georgianie to imponowało, lecz zarazem była wściekła. Nie potrzebowała bowiem dodatkowych powodów, by polubić markiza. Poza tym wcale nie chciała jeść z nim kolacji przy jednym stole, nie mogła bowiem się skupić na rozmyślaniach o kradzieży.

Nie zrozumiała też, dlaczego Ashdowne jest taki uprzejmy, chociaż w innych okolicznościach nawet nie spojrzałby na jej rodzinę. Wcześniej przypuszczała, że kilka godzin spędzonych wśród Bellewetherów wystarczy mu raz na zawsze, on tymczasem wydawał się czuć absolutnie swobodnie, nawet w obecności najbardziej uciążliwych członków rodziny. Z wrodzonej podejrzliwości Georgiana zaczęła się zastanawiać, co nim kieruje. Może uważał, że

jako pomocnik detektywa powinien życzliwie odnosić się do jej krewnych? Ale jeśli tak, to był w błędzie, bo nie miał już żadnych obowiązków. Po prostu na razie tego nie wie, pomyślała, jeszcze bardziej niż przedtem zdecydowana zerwać współpracę.

Niestety, mimo podejmowanych prób nie udało jej się wciągnąć Ashdowne'a do prywatnej rozmowy, nie miała więc jak oznajmić mu swojej decyzji. Inni członkowie rodziny skutecznie jej w tym przeszkadzali. W miarę upływu wieczoru czuła się coraz bardziej zawiedziona, zwłaszcza gdy okazało się, że będą musieli wysłuchać gry na fortepianie i śpiewu Eustacji i Araminty. Wprawdzie panny prezentowały całkiem znośne umiejętności, Georgiana nie była jednak w odpowiednim nastroju, by czerpać przyjemność z ich muzykowania.

- A pani, Georgiano? - spytał Ashdowne, pochylając się nad nią.
- Czy pani nic nam nie zaśpiewa?

Panna Bellewether prychnęła lekceważąco.

- Mogłabym, jeśli chce pan posłuchać skrzypienia, od którego kolacja podchodzi z powrotem do gardła.

Dźwięczny śmiech markiza natychmiast zwrócił uwagę pozostałych biesiadników. Matka zmarszczyła czoło, ojciec szeroko się uśmiechnął, a siostry nadały. Naturalnie szansa na poważną rozmowę była stracona. Georgiana głośno westchnęła, a potem zaczęła stukać czubkiem pantofla o podłogę. Wkrótce jednak przeszkodził jej w tym but Ashdowne'a. Spiorunowała markiza wzrokiem, ale wywołało to następny wybuch śmiechu tego nieznośnego człowieka.

Jak mógł spokojnie udawać, że z przyjemnością słucha bardzo przeciętnie muzykujących panien, podczas gdy ona siedziała jak na szpilkach i nie mogła się doczekać końca? Dosłownie kipiała ze złości. Nigdy nie mogła zgadnąć, czego się spodziewać po tym człowieku. Najpierw uważała go za wyniosłego gbura, szybko jednak okazało się, że jest dla niej wspaniałym partnerem do rozmów. Ale gdy zaczęła uznawać jego intelektualny wkład w śledztwo, nagle odkryła również inne strony jego charakteru. Zobaczyła, jak wygląda, gdy jest wesoły, prowokujący, uroczy... zmysłowy.

Drażniła ją zmienność jego natury, ale z drugiej strony naprawdę potrzebowała urozmaicenia. Może właśnie dlatego, że jej życie było nużąco zwyczajne, a rodzina i znajomi tuzinkowi.

Dość tego, postanowiła nie wiadomo który raz, była bowiem coraz bardziej przekonana, że musi zakończyć współpracę z markizem. Gdy już pozbędzie się tego dziwnego człowieka, odzyska równowagę i znowu będzie mogła oprzeć swoje życie na fundamencie logiki i rozumowania, krótko mówiąc, na podniętach typu intelektualnego. I nawet jeśli jej ciało zamierzało się przeciw temu buntować, to ani myślała mu ulegać.

Z zadumy wyrwał ją Ashdowne, który wstał i zaczął uprzejmie bić brawo. Wyglądało na to, że koncert dobiegł końca.

- Dziękuję za muzykę - powiedział, definitywnie stawiając kropkę nad i Georgiana odetchnęła z ulgą. - A teraz, panno Bellewether, liczę, że dotrzyma pani obietnicy i pokaże mi ogród.

Przez chwilę Georgiana patrzyła na niego zdeorientowana. Wreszcie pojęła, że jest to odpowiedź na jej próby nawiązania osobistej rozmowy, więc również wstała.

- Naturalnie - potwierdziła.

- Ogród? - W tonie matki było słycać dezaprobatę dla tego pomysłu, ale ojciec nie zwrócił na to uwagi i grzmiącym głosem udzielił przyzwolenia.

- Idź, dziecko, pokazać milordowi ogród, tylko nie za długo. - Puścił do niej oko, a Georgiana poczuła, że płonie ze wstydu. Wydawało jej się niemożliwe, by rodzice pomyśleli, że markiz i ona szukają samotności, bo... bo chcą flirtować. Policzki jej poczerwieniały, ale Ashdowne zachował niezmacony spokój. Mimo protestów młodszych sióstr ruszyli ku wysokim drzwiom prowadzącym na dwór.

Większość ogrodów w Bath była mała i ten nie stanowił wyjątku. Panował w nim mrok. Niedawno spadł deszcz i wokół snuła się mgła, która Georgianie wydała się irytująca. Wpatrywała się w opar z poczuciem zawodu, bo w taki wieczór wielebny mógł zrobić wszystko, co mu się żywnie spodoba. Czy na przykład właśnie w tej chwili nie pozbywał się dowodów przestępstwa? - pomyślała ze złością.

Gdy Ashdowne stanął obok niej, zapomniała o całej sprawie. Przed chwilą mgła wydawała jej się ogłupiająca, zamazywała bowiem obraz świata, a teraz jawiła się czymś romantycznym, otoczyła ich bowiem delikatnym welonem, jakby chciała stworzyć dla nich

całkiem odrębny świat. Georgiana złapała się na tej myśli i aż zadrżała ze zgrozy, że poddaje się takim romantycznym nastrojom.

Wyraźnie nie była sobą. Potwierdzała to również nedorzeczna reakcja jej ciała. Georgiana cofnęła się o krok, szukając ratunku w większym dystansie między nią a markizem, lecz niewiele to dało. Wiedziała, że musi zacząć rozmowę, zanim do reszty straci rozum, odchrząknęła więc i wbiła wzrok w buty Ashdowne'a.

- Milordzie...

- Doprawdy, Georgiano, nie widzę potrzeby zachowywania takich oficjalnych form - odparł tonem, od którego po całym ciele przebiegł jej dreszcz. Zamknęła oczy, przypomniał jej się bowiem dotyk dłoni Ashdowne'a i słodkie rozleniwienie, które towarzyszyło ich wędrówce.

- Dobrze, Ashdowne - poprawiła się, po czym jednym tchem wyrzuciła z siebie to, co miała powiedzieć, bała się bowiem, że potem się na to nie zdobędzie. - Niestety, muszę pana uwolnić z zobowiązania. Nie chcę dłużej korzystać z pańskiej pomocy.

Po tym oświadczeniu zapadła cisza, która wydała jej się ogłuszająca. Georgiana zaryzykowała spojrzenie na twarz swego byłego pomocnika. Rzadko mogła z niej cokolwiek wyczytać, tym razem jednak ujrzała tam wyraz bezbrzeżnego zdziwienia. Uświadomiła sobie, że zburzyła jego pozę. Eloquentny arystokrata zaczął nagle gniewnie posapywać, jakby nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Nawet by ją to rozbawiło, gdyby nie czuła wyrzutów sumienia, że sprawiła mu przykrość.

- Przepraszam, Ashdowne, ale za bardzo mnie pan rozprasza - wyjaśniła. - Nie mogę się skupić na śledztwie.

Słyszając to, pokręcił głową i wbił w nią wzrok. Przez dłuższą chwilę przyglądał jej się nieruchomo, a potem wybuchnął śmiechem. Georgiana znów zaczęła się zastanawiać nad dziedzicznością chorób umysłowych w rodzinie Ashdowne'a. Ten człowiek podejrzanie często się śmiał. Może, podobnie jak jej siostry, widział powody do radości tam, gdzie inni ich nie dostrzegali. Ze zmarszczonym czołem czekała, aż Ashdowne się uspokoi.

- Bardzo przepraszam, ale pani jest taka diabelnie... nieprzewidywalna - powiedział w końcu.

Nie zabrzmiało to jak komplement, więc Georgiana gniewnie potrząsnęła głową.

- Mogłabym powiedzieć dokładnie to samo o panu - odparła.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się tak ciepło, że nie mogła dalej się złościć. - To wspaniale - mruknął i Georgiana znów poczuła, że traci władzę nad sobą. Ashdowne zrobił krok w jej stronę.

- Nie! - powiedziała, unosząc dłoń, żeby go powstrzymać. - Mówię poważnie. Przez całą kolację nie mogłam myśleć o niczym ważnym. Pan mnie po prostu za bardzo onieśmiela.

Tym razem jego uśmiech był tak jawnie prowokujący, że pod Georgiana ugięły się kolana.

- Onieśmielam? - Nadal się do niej zbliżał, więc panna Bellewether chciała się cofnąć, poczuła jednak za plecami ścianę.

- Lubię onieśmielać - powiedział i zamknął ją w pułapce, opierając jedną rękę o mur. Drugą dotknął jej włosów, a potem wpatrywał się w nie tak uważnie, jakby jeszcze nigdy ich nie widział. Zaczął przesuwając w palcach gruby pukiel. Georgiana musiała przyznać, że zrobiło to na niej wrażenie. Westchnęła cicho, a Ashdowne spojrzał jej w oczy.

- Mimo wszystko postaram się panią mniej peszyć, żeby nie przeszkadzać w śledztwie - powiedział cicho. Zdawało się, że mówi szczerze, choć nie odczuwa najmniejszych wyrzutów sumienia z powodu swego zachowania. - Co pani teraz zamierza?

Georgiana wróciła myślami do kradzieży klejnotów i uświadomiła sobie, że ma kilka możliwości. Wymieniła te, która pierwsza przyszła jej do głowy:

- Prawdopodobnie będę musiała śledzić pana Hawkinsa, żeby sprawdzić, czy jakoś się nie zdradzi.

- Obawiam się, że do tego nie mogę dopuścić - szepnął Ashdowne tak blisko jej twarzy, że poczuła jego oddech na policzku.

- Co pan przez to rozumie? - wybąkała. Mimo słabości zawrzała oburzeniem, bo przecież markiz nie miał prawa niczego jej dyktować.

- Jestem pani pomocnikiem, pamięta pani?

Była w stanie jedynie skinąć głową, gdyż iskra buntu już w niej zgasła.

- Muszę być przy pani i strzec jej przed wpadnięciem w tarapaty, więc lepiej niech pani zapomni o tym szalonym pomysle ze zwalnianiem pomocnika. - Chciała przecząco pokręcić głową,

tymczasem ciało splatało jej psikusa i przytaknęło wbrew temu, co dyktował rozum.

- Dziękuję - powiedział ciepło Ashdowne, a Georgiana zatrzymała wzrok na jego wargach, urzeczona ich kształtem i niewielkim dołkiem, który znajdował się nad nimi.

- Proszę mi obiecać, że dziś wieczorem nie zrobi pani już nic niemądrego. A jutro jestem do pani dyspozycji - dodał.

Do jej dyspozycji? Ta myśl znowu podsunęła jej jak najbardziej niewłaściwe skojarzenia. Żeby tak móc jeszcze raz skosztować tych warg... Znieruchomiała, sądząc, że za chwilę poczuje ich dotyk. Ale Ashdowne znowu ją zaskoczył, bo cofnął się akurat w chwili, gdy spodziewała się pocałunku.

- Niech pani nie wychodzi już dziś z domu. To nie jest odpowiedni wieczór na samotne spacerowanie, a śledztwo może poczekać do jutra.

Śledztwo, pomyślała w odrętwieniu. Ach, tak, kradzież klejnotów! Odepchnęła się od ściany i wyminęła Ashdowne'a.

- Obawiam się, że sytuacja wymyka nam się spod kontroli. Musimy działać, i to szybko - powiedziała tak bojowo, jak tylko była w stanie. Myślała już trochę jaśniej, więc zaczęła w zadumie chodzić po wilgotnej trawie, nie zważając na to, że zamoczy rąbek sukni. - Kto wie, co teraz robi pan Hawkins? Czy sądzi pan, że już pozbył się naszyjnika?

- Nie - odrzekł Ashdowne.

- Wspaniale. To znaczy, że wciąż mamy szansę go odzyskać! - stwierdziła Georgiana. - Po prostu musimy złapać Hawkinsa na czymś podejrzanym! Możliwe, że wcale nie schował klejnotów w domu, lecz gdzie indziej. Dlatego powinniśmy mieć go na oku.

- Zgoda - powiedział Ashdowne. - Niech pani jednak obieca, że sama nie będzie śledzić ani Hawkinsa, ani nikogo innego.

Georgiana chciała się sprzeciwić, ale markiz przybrał wyjątkowo niezłomny wyraz twarzy, więc zmieniła zdanie.

- Niech będzie - mruknęła.

- Obiecuję pani? - spytał, podchodząc bliżej.

- Obiecuję.

- Grzeczna dziewczynka.

Chciała mu powiedzieć, że nie życzy sobie takich poufałości, ale Ashdowne znowu stanął nad nią i zaczarował ją swym wzrokiem, więc nie przeszło jej to przez gardło.

- Za to pan musi przyrzec, że nie będzie mnie... rozpraszać - powiedziała i cofnęła się, żeby uciec przed jego urzekającą siłą. - Jeśli zgodnie z pana życzeniem mamy pracować razem, to musimy skupić się wyłącznie na śledztwie i unikać niestosownego zachowania... na przykład takiego jak dziś po południu w mieszkaniu pana Hawkinsa.

Cieszyło ją, że w mroku nie widać, jak spłonęła rumieńcem, ale Ashdowne i tak zachichotał. Do licha! Wcale nie traktował jej poważnie!

- Niczego nie osiągniemy takim... flirtowaniem - powtórzyła bardziej stanowczo. - Logika dyktuje...

Ashdowne stanął przed nią i nie pozwolił jej dokończyć.

- Georgiano Bellewether, jest pani oszustką. - Zabrzmiało to jednak łagodnie i wcale nie jak wyrzut.

- Co chce pan przez to powiedzieć? - Czują, że powinna okazać urazę, ale jakoś nie była w stanie wykrzesać z siebie złości. Ashdowne miał taką minę, jakiej jeszcze u niego nie widziała, trochę czują, a trochę... sama nie wiedziała, jak to nazwać.

- Żeby nie wiadomo jak pani udawała, prawda jest taka, że kieruje się pani sercem, a nie rozumem - powiedział cicho. Gdy Georgiana chciała zaprotestować, ujął jej twarz w dłonie i delikatnie pogłaskał kciukami policzki.

- Zdaje się pani, że jako osoba rozumna, bystra i pomysłowa jest pani również praktyczna, a tymczasem nigdy nie spotkałem większej romantyczki - powiedział, odchylając jej głowę.

- To nieprawda - zaprzeczyła szeptem, ale głos jej zamarł, bo wreszcie doczekała się pocałunku. Niestety, Ashdowne tylko musnął jej wargi, jakby chciał skosztować ich smaku, a nie zaspokoić pragnienie. Georgiana zapragnęła się do niego przytulić, odsunął się jednak i zostawił ją z niezrozumiałym uczuciem rozczarowania.

Potem jeszcze się do niej uśmiechnął, tak czule, że w ogóle by go o to nie podejrzewała, i ruszył w stronę drzwi, zza których dobiegał ich głos matki.

- Nieuleczalna romantyczka - powiedział.

Przynajmniej raz Georgiana nie próbowała mu się sprzeciwić.

Ashdowne ani trochę jej nie ufał.

Obliczył, że zdąży wrócić na Camden Place, lecz nie miał zbyt wiele czasu. Bez względu na Co, co obiecała mu Georgiana, gdy była obezwładniona namiętnością, wkrótce pewnie wróci jej zdrowy rozsądek. A wtedy, gdyby wymagało tego dobro tak zwanego śledztwa czy jak nazwać to uganianie się za wiatrem w polu, mogłaby zapomnieć o swojej obietnicy.

Najpierw jednak czekała ją rozmowa z rodziną, niewątpliwie bardzo zainteresowaną jej niespodziewaną znajomością z markizem. Jeśli słusznie przewidywał, to matka zechce udzielić córce kilku rozsądnych przestroóg, natomiast ojciec, optymista, lecz raczej nie racjonalista, będzie znacznie mniej zaniepokojony zalotami arystokraty.

W każdym razie Ashdowne liczył na to, że poważna rozmowa z rodziną i wieczorne pożegnania przed udaniem się na spoczynek zajmą Georgianie sporo czasu. Obawiał się tylko, że wynajdywanie zajęć niezmordowanej pannie Bellewether będzie bardzo pracowitym zajęciem. Potrzeba było do tego człowieka o stalowych nerwach, śmiałego i dysponującego licznymi talentami. O zgrozo, doszedł do wniosku, że właśnie on ma wymarzone ku temu kwalifikacje. I ta myśl wcale nie sprawiła mu przykrości.

Początkowo Ashdowne odnosił się dość lekceważąco do żywołości i irracjonalnego zachowania Georgiany, teraz jednak musiał przyznać, że pozwolił się zauroczyć. Jaka inna kobieta kryła w sobie tyle niespodzianek? U kogo znalazłby tak nieprawdopodobne połączenie rozsądku i wyobraźni, a do tego jeszcze umiejętność śmiania się z samej siebie?

Dawno już wyćwiczył swój umysł tak, by przewidywać zawczasu wszystkie możliwości, lecz Georgiana raz po raz wprawiała go w osłupienie. Ilekroć zdawało mu się, że wreszcie dobrze poznał jej oryginalny sposób myślenia, zadawała temu kłam. Och, jak mu się podobała mina, którą zrobiła, gdy otworzył zamek w drzwiach mieszkania wielebnego. To nią wcale nie wstrząsnęło, przeciwnie, do tej pory pamiętał pełne podziwu spojrzenie, które mu przesłała. Gdzie - może poza londyńskim East Endem - znalazłby drugą kobietę, którą doceniłaby taką umiejętność?

Nigdy też nie spotkał kobiety, która chciałaby wydawać się mniej piękna, niż jest w rzeczywistości, tymczasem Georgiana była skłonna traktować swoją urodę jak coś, co przeszkadza w życiu. Rzecz jasna

suknie, w które ubierała ją matka, były ohydne, wręcz nieprzyzwoite. On wybrałby jej znacznie skromniejsze stroje, uszyte z gładkich materiałów, bez falban i kokard, żeby jej wrodzony wdzięk mógł zaświecić pełnym blaskiem, lecz nie przyciągał wzroku wszystkich mężczyzn.

Ale bez względu na suknię Georgiana zawsze była wierna sobie. Czy w jedwabiach, czy w worku bagatelizowała swoje wdzięki, ceniłaby przymioty umysłu i swym niecodziennym zachowaniem rzucała wyzwanie konwencjom. Często robiła tak wymowne kwaśne miny, że Ashdowne nie wiedział, czy śmiać się, czy złościć. Zresztą prawdę mówiąc, rzadko wiedział, co robić z Georgiana, która coraz bardziej go pociągała.

Naturalnie miał pomysły, które chętnie by wypróbował z tak zmysłową istotą. I nie byłoby wtedy mowy o żadnych sukniach. Przez dłuższą, bardzo przyjemną chwilę wyobrażał sobie Georgianę, nagą w końcu jednak sam brutalnie spłoszył ten obraz. Georgiana Bellewether mogła wydawać mu się kusząca, ale była też dobrze wychowana panną i z pewnością kobietą nie dla niego.

Ashdowne przypomniał sobie, że i tak już przekroczył granice przyzwoitości. Po południu wcale nie zamierzał jej dotykać, ale jeszcze nigdy tak się nie uśmieł jak w sypialni Hawkinsa, gdy obserwował szaleństwa Georgiany. Dlatego wyraził jej uznanie w sposób stanowczo niezgodny ze swymi początkowymi zamierzeniami. Z drugiej strony nawet w najśmielszych marzeniach nie oczekiwałby tak entuzjastycznego odzewu.

Właściwie wszystko, co dotyczyło Georgiany, było dla niego pasjonującym odkryciem, a zwłaszcza jej niewinna namiętność, którą tak łatwo było mu rozniecić. Ashdowne przystanął przy tylnym wejściu domu na Camden Place i przez chwilę rozkoszował się myślą o słowach, które usłyszał od panny Bellewether. Rozprasza ją? Hm. Nie miał zamiaru przyznać się tej ponętnej blondynce, że ona działała na niego w ten sam sposób.

Nie mógł sobie pozwolić na zajmowanie się takimi błahostkami, zwłaszcza teraz, i ta świadomość pomogła mu nieco otrzeźwieć. Wślizgnął się do domu i idąc do gabinetu, zawołał Finna. Lampa w pokoju była zapalona. Oświetlała masywne biurko i dziwaczne meble, ale Ashdowne zrezygnował z siadania na twardym krześle i stanął

oparty o kominek Po chwili do gabinetu wszedł Finn i zamknął za sobą drzwi.

- Jak milord poradził sobie z włamaniem? - spytał Irlandczyk z szerokim uśmiechem.

Ashdowne zmarszczył czoło, jakby pytanie było obraźliwe.

- Dziecinna igraszka - odrzekł ku rozbawieniu Finna. Potem pociągnął za nieskazitelny halsztuk i jednym wystudiowanym ruchem zdjął go z szyi.

- Co z wielebny? Czy on też kradł środek na porost włosów?

Ashdowne kwaśno uśmiechnął się do kamerdynera.

- Myślę, że wielebny ma na sumieniu jedynie dość perwersyjne upodobania seksualne.

- Nie do wiary! - ucieszył się Finn. - A co na to panienka?

Ashdowne skrzywił się, wiedział bowiem, że nie uda mu się wiele ukryć przed Finnem, aczkolwiek wolałby nie przyznawać się nawet przed sobą do tego, co robili z Georgianą w sypialni wielebnego.

- Ona jest na szczęście zbyt niewinna, żeby to zrozumieć - odrzekł, ani na chwilę nie zapominając, że nadużył jej naiwności.

- I trochę zbyt szalona - mruknął Finn, sięgając po surdut Ashdowne'a.

Markiz uświadomił sobie, że nie podoba mu się przypominanie wad Georgiany.

- Ona wcale nie jest taka głupia, jak się zdaje - mruknął.

- Mimo wszystko złapała Whalseya i Cheevera na kradzieży, chociaż nie na tej, o którą chodzi. - Tak, jej naiwnie wyglądająca buzia była jak maska, za którą krył się bystry umysł. Nawet za bystry, pomyślał Ashdowne. Na szczęście Georgianą miała też bujną wyobraźnię.

Może na tym właśnie polegał jej wdzięk. Georgianą zawsze była czymś zajęta, choć często było to gonienie za mrzonką. Nawet żmudne, codzienne obowiązki stawały się interesujące, gdy widziało się jej niemądre próby szpiegowania i wynajdywanie intryg tam, gdzie ich nie było. Ale przy okazji wyszły na jaw także różne niecne sprawy.

A katastrofy, które temu towarzyszyły... Phi, dopóki nikt z ich powodu naprawdę nie ucierpiał, były one wyjątkowo zabawne. Ashdowne szeroko się uśmiechnął. Poza tym panna Georgiana nawet w trudnych sytuacjach nie traciła pewności siebie. Czy przewracała

muzyków czy też niesłusznie oskarżała Whalseya, zawsze była z siebie zadowolona.

- Może więc bystrość jej szkodzi - złośliwie zauważył Finn.

- To możliwe - przyznał Ashdowne, który znów przypomniał sobie ich ostatnią eskapadę. Państwo Bellewetherowie mimo swej stateczności na pewno nie byli w stanie zapewnić Georgianie bezpieczeństwa. W ogóle jej nie rozumieli i nie mieli pojęcia, w jakie sytuacje ich córka potrafi się wplątać. Za to on dobrze wiedział i właśnie dlatego wezwał Finna.

- Mam dla ciebie zajęcie, jeśli ci to nie przeszkadza - powiedział, zerkając na kamerdynera.

Finn starannie złożył surdut na przedramieniu i zdawkowo skinął głową.

- Załatwione. Pewnie mam sprawdzić, co porabia wielebny?

Ashdowne uśmiechnął się, ale pokręcił głową.

- Nie chodzi o wielebneho. On jest niegroźny. Chcę, żebyś obserwował pannę Bellewether. Gdy tylko się odwrócę, natychmiast ściąga na siebie kłopoty.

- Milord myśli, że ona coś podejrzewa? - spytał Finn, mierząc Ashdowne'a przenikliwym spojrzeniem. Markiz tylko pokręcił głową, czuł się bowiem bardzo zakłopotany swoim nagłym przyływem opiekuńczości wobec Georgiany. Nigdy nie uważał się za człowieka godnego szacunku, ale nie mógł stać z boku i przyglądać się, jak panna Bellewether brnie w kłopoty.

Zapadło milczenie. Finn z chytrym uśmieszkiem przyjrzał się swemu chlebodawcy.

- Ciągnie milorda do tej panny, hm?

Ashdowne uniósł brew. Trudno było opisać w ten sposób jego uczucia wobec Georgiany, ale nie miał zamiaru drobiazgowo ich analizować, ani tym bardziej zwierzać się z nich służącemu. Przybrał beznamiętny wyraz twarzy i spojrzał na Finna.

- Po prostu masz ją obserwować. Nikomu innemu nie ufam.

Finn skinął głową.

- Zgoda, jeśli milord przyzna, że panna Georgiana wydaje mu się interesująca - odparł z błyskiem w oku.

Ashdowne się zaśmiał.

- Och, jest interesująca, nie ma dwóch zdań. - Czuł jednak, że Finn nie zadowolili się tą odpowiedzią bez dalszych wyjaśnień. Po

chwili zastanowienia dodał więc: - Kiedy ostatnio spotkałeś kobietę, która umie się bawić?

Kamerdyner z szerokim uśmiechem wymienił nazwisko pewnej damy, którą znano w towarzystwie z szalonych i bardzo perwersyjnych romansów.

Ashdowne zaśmiał się cicho.

- Nie o taką zabawę mi chodzi. Myślę o zupełnie niewinnej radości życia. Bez względu na to, co się dzieje dookoła, Georgiana jest zadowolona, bo sama wynajduje sobie przygody. Mogą być wyimaginowane, ale ją tak to cieszy, że zaraża swoją radością otoczenie.

- Powiada milord: przygody? - powtórzył Finn. - Znam pewnego człowieka, który też ma na swoim koncie parę przygód.

Ashdowne'owi bardzo nie spodobała się ta aluzja.

- To było dawno temu, Finn - powiedział.

- Nie tak dawno! - zaprotestował kamerdyner.

- To było całkiem inne życie.

- Ha! Człowiek jest kowalem swojego losu - mruknął sługa i odwrócił się do drzwi. Ashdowne wiedział, że nie usłyszy od Irlandczyka wyrazów współczucia, zresztą wcale tego nie chciał. Chociaż uważał Finna za swego najlepszego przyjaciela, to uliczny złodziej, który został kamerdynerem, nijak nie mógł zrozumieć odpowiedzialności ciążyącej na człowieku z tytułem markiza, a tym bardziej tego, jaką kulą u nogi jest taka odpowiedzialność.

- Wszystko jedno. Jeśli ta szalona panna może powstrzymać milorda przed wejściem w skórę brata, to jestem po jej stronie - dodał Finn.

Ashdowne musiał pokonać falę irytacji, zanim odpowiedział:

- Nie jestem swoim bratem.

- Miło mi to słyszeć, milordzie. - Z tymi słowami służący bezszelestnie opuścił pokój, a Ashdowne ze złością wbił wzrok w zamknięte drzwi.

Jego brat nigdy się nie śmiał, a już na pewno nie do łez, co przytrafiło się markizowi dzisiejszego popołudnia. To wspomnienie znów przywiodło uśmiech na wargi Ashdowne'a. Wróciło też do niego niepokojące pragnienie zobaczenia panny Georgiany Bellewether.

Chciał, żeby była z nim tutaj i teraz. Zawsze.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ashdowne nigdy nie był rannym ptaszkiem. Podobnie jak wielu arystokratów udawał się na spoczynek późno i spał do południa. Chociaż przejęcie obowiązków markiza nieco zmieniło jego obyczaje, to nie przypominał sobie, kiedy ostatnio wstał o świcie. A jednak tego dnia zerwał się o nieludzkiej porze i zaskakując służbę, zażądał szybkiego śniadania. Podejrzewał bowiem, że Georgiana nie będzie długo wylegiwać się w łóżku.

W pośpiechu przełknął grzankę i wypił kawę. Tłumaczył sobie, że musi zmienić Finna, który całą noc był na nogach, nie mógł jednak nie przyznać się przed sobą do pewnych drażniących zmysły oczekiwań. Kiedyś znał to uczucie bardzo dobrze, ostatnio jednak bardzo mu go brakowało.

Co teraz zrobi Georgiana?

Postawiwszy w myślach to pytanie, natychmiast przyśpieszył kroku i wkrótce znalazł się w zacisznej okolicy domu wynajętego przez państwa Bellewetherów. Ukrywając się w cieniu wysokiego krzewu, z zadowoleniem stwierdził, że Finn czuwa i jest niewidoczny. Bardzo nie spodobał mu się natomiast znaczący uśmiech kamerdynera.

- Przykre doświadczenie, milordzie, prawda? - zaśmiał się Finn. - Od lat milord nie był na nogach o tej porze. Ostatni raz chyba wtedy, jak się okazało, że ta Francuzeczka ma zazdrosnego kochanka i...

Ashdowne uciszył Finna groźnym spojrzeniem, a potem wskazał ruchem głowy dom.

- Bez kłopotów?

- Bez, milordzie - odrzekł Finn, nadal uśmiechnięty od ucha do ucha. - Panienska cichutka jak mysz.

- Nie wyszła z domu?

- Nie. Była bardzo grzeczna - potwierdził Finn. Ashdowne odetchnął z ulgą, ale poczuł też niejaką dumę.

Bądź co bądź, Georgiana dotrzymała danego mu słowa. Może jednak była prawdomówna nawet wtedy, gdy nie osłabiała jej woli namiętność? O swoich przemilczeniach i mijaniu się z prawdą wolał nie myśleć, bo natychmiast zaczynało gryźć go sumienie.

- Co teraz? - spytał Finn.

- Wracasz na Camden Place i możesz odpocząć - odrzekł Ashdowne. - Teraz ja się nią zajmę.

- Nie wątpię, milordzie. - Finn puścił do niego oko. - Z całym przekonaniem mogę powiedzieć, że poradzi pan sobie z samotną kobietą, nawet jeśli to jest panna Bellewether.

- Dziękuję - odparł oschle, ale gdy patrzył śladem Irlandczyka, który oddalał się kołyszącym krokiem, naszyły go wątpliwości, czy Finn nie udzielił mu zaufania na wyrost. Czy ktokolwiek jest w stanie okiełznać Georgianę? Ashdowne uśmiechnął się pod nosem, uświadomiwszy sobie, że niecierpliwie czeka, aż będzie mógł odpowiedzieć na to pytanie. Korzystając z dawno nabytej sprawności, zajął nie rzucający się w oczy posterunek pod dębem niedaleko domu.

Nie musiał długo czekać.

Reszta rodziny jeszcze prawdopodobnie nie zeszła na śniadanie, gdy Georgiana otworzyła kuchenne drzwi, wyjrzała na dwór i zaczęła się rozglądać, jakby spodziewała się, że ktoś ją obserwuje. Naturalnie tak właśnie było. Ashdowne z uśmiechem wyszedł z kryjówki i ruszył w jej stronę. Wprawdzie panna Bellewether rozglądała się bardzo starannie, ale ponieważ on umiał to robić lepiej, stanął niepostrzeżenie za jej plecami.

- Szuka mnie pani, Georgiano? - spytał, pochylając się nad jej ramieniem. Głośno nabrała powietrza i raptownie się odwróciła, ale był na to przygotowany, więc chwycił morderczą torebkę, zanim zdążyła wyrzucić mu krzywdę.

- Ashdowne! Ależ mnie pan przestraszył! Jak pan mógł tak mnie podejść?! - skarciła go i wyrwała mu torebkę. Miała tak uroczo oburzoną minę, że markiz natychmiast zapragnął ją pocałować. Pohamował się i by sobie to zrekompensować, czule poklepał ją po czubku nosa. Georgiana spojrzała na niego zdeorientowana.

- Co pan tu robi? - spytała. Jej gęste rzęsy nieco przysłoniły błękitne oczy, wargi zapraszająco się rozchyliły. Ashdowne na wszelki wypadek się cofnął.

- Czekam na panią, rzecz jasna - odparł. - Chociaż wiedziałem, że nigdzie pani sama nie pójdzie, skoro uroczyście mi to pani obiecała.

Zarumieniła się tak mocno, że musiał przygryźć wargę, by głośno się nie roześmiać.

- Właśnie... hm, właśnie zamierzałam iść po pana - powiedziała, patrząc w ziemię.

Nie potrafi kłamać, pomyślał. Jemu z pewnością w tej umiejętności nie dorównywała. Znów ogarnęły go wyrzuty sumienia, ostatnio podejrzenie częste. W towarzystwie uroczej panny Bellewether łatwo zapominał o tym, co ich dzieli. Z pewnym wysiłkiem przywołał się do rozsądku.

- Niech pani nie przychodzi sama do mojego domu, Georgiano - powiedział bardziej szorstko, niż zamierzał. - I niech pani nie daje obietnic, których nie zamierza pani dotrzymać.

- Zamierzałam dotrzymać obietnicy! - zaprzeczyła. Oburzenie w jej błękitnych oczach było tak szczere, że Ashdowne natychmiast poczuł, jak jego stanowczość słabnie. Musiał zachować ostrożność, bo inaczej groziło mu, że Georgiana lada chwila owinie go sobie dookoła małego palca.

- Po prostu chciałam coś zrobić, zanim pan wstanie, bo nie mam pojęcia, o której godzinie dżentelmen pańskiego stanu zwykle zaczyna dzień.

Ostatnim słowom towarzyszyło skrzywienie ust, w gruncie rzeczy dość obraźliwe, ale Ashdowne uznał, że nie może mieć do Georgiany pretensji. Zachichotał, chociaż czuł, że wbrew rozsądkowi coraz bardziej oddaje się w jej władzę.

- Przecież powiedziałem pani, że będę do jej dyspozycji - oznajmił.

Chociaż miał wprawę w ukrywaniu uczuć, widocznie zdradził się ze swoimi niestosownymi marzeniami, bo Georgiana natychmiast się cofnęła.

- Powinam przypomnieć panu, Ashdowne - oświadczyła zasadniczym tonem, całkiem nie pasującym do jej wyglądu - że nasza umowa dotyczy konkretnej sprawy. Nie mogę pozwolić na to, żeby pan mnie rozpraszał.

Z niezwykłym wdziękiem spiorunowała go wzrokiem, a on skinął głową.

- Naturalnie - przyznał tak potulnie, jak tylko umiał. Georgiana przyjrzała mu się bardzo nieufnie, wnet jednak ruszyła przed siebie chodnikiem, a on podążył za nią, zadowolony, że nie wie, co przyniesie dzień.

Życie, bądź co bądź, jest jednak przygodą.

Późnym popołudniem Georgiana musiała przyznać, że jej zainteresowanie śledzeniem Hawkinsa maleje. Ashdowne wciąż jej

towarzyszył, ale od dłuższego czasu dręczył ją, żeby wstąpić gdzieś na wczesny obiad lub jakikolwiek inny posiłek. Georgiana domyślała się, że mężczyzna postury markiza musi dużo jeść, ale nie chciała ani na chwilę spuścić z oczu pana Hawkinsa.

Niestety, wyglądało na to, że wielebny nie zamierza zrobić nic godnego uwagi. Prawie do południa w ogóle nie wysunął nosa za próg. Potem odbył obowiązkowy spacer do pijalni, gdzie porozmawiał z kilkoma starszymi damami, prawdopodobnie kandydatkami na ofiarodawczynie. Ku rozczarowaniu Georgiany żadna z nich nie wyglądała na potencjalną współniczkę w przestępczym przedsięwzięciu.

Potem wielebny odprowadził jedną z dam do jej rezydencji, a jeszcze potem chodził po sklepach na Milsom Street. Georgiana uznała, że jak na człowieka pozbawionego źródeł utrzymania, pan Hawkins poświęca zakupom wyjątkowo dużo czasu. Widocznie jednak tylko oglądał towary, gdyż mimo długiego chodzenia, nie miał ani jednej paczki.

- Czy pan myśli, że on o nas wie? - spytała Georgiana, nagle zaniepokojona taką możliwością.

Ashdowne spojrzał na nią surowo, jakby go obraziła tym przypuszczeniem.

- W żadnym razie - odparł. Potem przystanął i przesłał jej zadumane spojrzenie. - Chyba że usłyszał, jak mi burczy w brzuchu.

- No, wie pan! - Georgianę oburzyła jego bezceremonialność, ale nie miała czasu o tym rozmyślać, bo wielebny ruszył dalej. Chwyciła więc Ashdowne'a za rękaw, aż wreszcie markiz wysforował się przed nią i przystanął przed wykuszowym oknem, służącym za wystawę pracowni modniarskiej. Georgiana szybko pojęła jego zamiar i wskazała parę rękawiczek, jednocześnie zaś obserwowała w szybie, co dzieje się po drugiej stronie ulicy. Wyglądało na to, że pan Hawkins zamierza zrobić postój.

Aż jęknęła, gdy wielebny znikł w cukierni. Ashdowne natychmiast zagroził jej buntem, a ponieważ Georgiana również miała słabość do deserów, nawet się zawahała, dzielnie jednak przezwyciężyła pokusę. Pan Hawkins był jej ostatnią szansą na rozpoczęcie kariery detektywa. Nie mogła pozwolić, żeby ta szansa jej uciekła z powodu biskopka z cukrem albo kruchego ciasta z malinami.

- Niech pan robi, co mu się podoba, ja tu zostanę - oznajmiła stanowczo. Spodziewała się, że markiz odejdzie, ale on tylko westchnął i wzruszył ramionami. Bardzo ją to ucieszyło. Naprawdę okazał się użytecznym pomocnikiem. Wprawdzie przez cały dzień bez trudu utrzymywała wielebnego Hawkinsa w polu widzenia, ale gdyby nie towarzystwo, śledzenie podejrzanego byłoby śmiertelnie nudne.

Zgodnie z życzeniem Ashdowne'a, dawno już przestała do niego mówić „milordzie”. Jej matce zapewne by się to nie podobało, Georgiana wiedziała jednak, że gdy tylko oddadzą wielebnego w ręce pana Jeffriesa, sprawa się zakończy, a wraz z nią również jej znajomość z markizem. Niestety, wcale nie pocieszyła się tą myślą, przeciwnie, poczuła, że grozi jej pustka.

Trzymając się zasad logiki, przypisała to poczucie cierpieniem z głodu, niewzruszenie jednak stała na posterunku. Wkrótce żałośnie jęknęła, pan Hawkins ukazał się bowiem na ulicy, jedząc coś lepkiego, co najwyraźniej właśnie kupił. Ucztował bez najmniejszych zahamowań, a nawet oblizywał palce i mlaskał. Bardzo ją to zdegustowało.

- Cicho tam - powiedział Ashdowne do swego brzucha. Wprawdzie Georgiana niczego nie usłyszała, ale zatrzymała wzrok w miejscu, w którym dłoń Ashdowne'a spoczywała na jego płaskim korpusie. Niespodziewanie przestała myśleć o jedzeniu. Przypomniało jej się, jak siedziała mu na kolanach, delikatnie kołysana, a Ashdowne dotykał jej piersi. Przypomniała sobie też uczucie oszołomienia, jakie ją wtedy ogarnęło. Miała wrażenie, że jej skóra nagle się kurczy, a wszystko w jej wnętrzu, nawet mózg, wręcz przeciwnie: rośnie i mięknie.

- Czy pani też jest spragniona? - spytał Ashdowne głosem słodkim jak gorąca czekolada. Georgiana spojrzała mu w oczy. O czym on mówi? Spłonęła rumieńcem, zawstydzona niewłaściwym kierunkiem, jaki obrały jej myśli. Szybko odwróciła się i ruszyła za wielebnym.

Przez następne godziny śledzony nie zatrzymywał się w żadnych podejrzanym miejscach, nie miał sekretnych schadzek i nie rozmawiał z nikim wyglądającym na łotra. W ogóle nie robił nic godnego uwagi, po prostu zawrócił do pijalni. Chociaż Ashdowne znosił to mężnie, bez słowa skargi, Georgiana zaczynała popadać w rozpacz.

- Och, czy ten człowiek nie może zrobić nic ciekawego? - spytała, siadając na niskim kamiennym murku.

- Obawiam się, moja miła, że nie wszyscy mogą być tacy nieustraszeni jak pani - powiedział Ashdowne, oparłszy się o przyporę muru.

Potrząsnęła głową, ściągnęła pantofelek z nogi i zaczęła nim stukać o ścianę, aż wreszcie wypadł zeń na ziemię kamyk.

- Czy mogę pani w czymś pomóc? - spytał Ashdowne, przyglądając się jej stopie.

- Nie! - odparła Georgiana, czując, że zaraz zabraknie jej cierpliwości.

- Rozetrę pani stopę - zaproponował Ashdowne tonem, od którego zrobiło jej się gorąco. Opanowała się jednak, z powrotem włożyła pantofelek i spojrzała na markiza z wyrzutem, a potem wsparła podbródek na dłoni.

- Niech pan nie próbuje mnie pocieszać - ostrzegła go. - Ogarnia mnie czarna rozpacz.

- Czy mam go ścisnąć za gardło i zażądać, żeby się przyznał? - spytał Ashdowne.

Mimo woli się uśmiechnęła. Naturalnie ten pomysł miał swoje zalety, ale pan Hawkins to nie lord Whalsey, on nie pozwoli się tak łatwo zastraszyć.

- Nie - odmruknęła. - Będziemy dalej go obserwować.

- Póki nie umrzemy z głodu - dodał pod nosem Ashdowne.

- Tak - potwierdziła.

Właśnie gdy chciała powiedzieć Ashdowne'owi, że powinni jednak na zmianę pójść coś zjeść, pan Hawkins wszedł do kawiarni i zamówił przekąskę. Wślizgnęli się więc za nim do środka i zajęli stolik w głębi sali, dzięki czemu zdołali wreszcie zaspokoić głód.

Wprawdzie Georgiana musiała zrezygnować ze smacznego deseru, nad zamówieniem którego zastanawiała się w chwili, gdy pan Hawkins niespodziewanie wstał od stolika, ale i tak miała potem więcej sił, by ukradkiem pójść za podejrzanym w stronę jednej z mniej uczęszczanych łaźni w mieście. Stanowczo nie dorównywała ona wspaniałością Łaźni Królewskiej lub innym znanym miejscem tego typu. Była mała, niemodna i - jak zauważył Ashdowne - najprawdopodobniej całkiem tania.

Poczekali chwilę na ulicy, a potem weszli za panem Hawkinsem do środka i przystanęli w cieniu. Chociaż niektóre bardziej renomowane łaźnie były otwarte tylko przez kilka porannych godzin, Georgiana dostrzegła za arkadą kilkoro kąpiących się, zanurzonych prawie po szyję w ciemnej wodzie. Budynek był typowy, wykonany z kremowego kamienia, z którego słyneło miasto, a basen znajdował się pod gołym niebem, co - jak zdawało się Georgianie - w letnie dni stanowiło zaletę, ale było dość uciążliwe, gdy padał deszcz.

Ukryta za arkadą, obserwowała pana Hawkinsa, który po rozmowie ze służącym skierował się ku schodkom. Ku jej zdziwieniu wielebny wyjął z kieszeni surduta książkę i wziął ją z sobą do basenu z leczniczymi wodami. Chociaż zanurzał się coraz głębiej, przez cały czas trzymał otwartą książkę nad powierzchnią, jakby czytał. Georgiana zauważyła jednak, że jego wzrok błądzi od strony do strony, zwłaszcza gdy w pobliżu znajduje się kobieta.

- To dziwne - mruknął cicho Ashdowne. - Z tego, co pani mówiła, nie posądzałbym go o taką żarliwość, żeby studiował Biblię nawet w basenie.

Georgiana parsknęła z niesmakiem.

- Moim zdaniem on wcale nie czyta! Podejrzewam, że przychodzi tutaj podglądać kobiety w mokrych strojach - Chociaż w niektórych łaźniach dawano klientom specjalne kitle, zmoczony materiał i tak przylegał do ciała i czasem niewiele pozostawiał wyobraźni.

Ashdowne zerknął na Georgianę z kąpiącym uśmiechem, ale ona obstawała przy swoim, bo przecież to markiz zawsze domagał się mówienia wprost.

- Zauważyłam, że pan Hawkins bardzo interesuje się kobiecymi wdziękami - stwierdziła.

O zgrozo, Ashdowne powoli przesunął spojrzenie na jej piersi.

- Od pani wdzięków niech lepiej trzyma się z daleka - powiedział posepnie, a ją natychmiast przeszył zmysłowy dreszczyk.

Z pewnym wysiłkiem oderwała uwagę od swego przystojnego pomocnika i skupiła ją z powrotem na podejrzanym. Chodził wzdłuż krawędzi basenu z książką w rękach, ale jakby dla potwierdzenia jej podejrzeń raz po raz obrzucał ukradkowymi spojrzeniami obecne w łaźni panie. Wyniośle chylił przed nimi głowę, gdy go mijały, ale kiedy nie zdawały sobie z tego sprawy, bacznie im się przyglądał.

Trwało to dość długo, póki do basenu nie zeszła niejaka pani Fitzlettice, bogata wdowa dość kłótlivego charakteru. Na jej widok Hawkins szybko zamknął książkę i rozejrzał się dookoła z podejrzliwą miną. Widocznie przekonał się, że nikt na niego nie patrzy, bo schował książkę za obruszonym kamieniem w obudowie.

Georgiana odwróciła się do Ashdowne'a i ujrzała, że również on jest tym zaskoczony.

- Widział pan? - spytała.

- Niech mnie diabli - mruknął.

- Atakuję! - zapowiedziała Georgiana, ale Ashdowne bezlitośnie przytrzymał ją za ramię.

- Spokojnie - powiedział. - Hawkins panią zobaczy. - Chociaż wcale nie to chciała usłyszeć, Ashdowne wygłosił tę przestrożę tak autorytatywnym tonem, że przystanęła. Naturalnie miał rację. Wielebny i wdowa stali o wiele za blisko kryjówki, żeby można było niepostrzeżenie wydobyć stamtąd książkę.

Zawiedziona, zmarszczyła czoło.

- Gdyby jedno z nas spowodowało zamieszanie, to drugie mogłoby opróżnić skrytkę. Co pan na to? - Zerknęła z nadzieją na swojego pomocnika, ale ten odpowiedział jej jedynie bardzo wymownym spojrzeniem.

Do licha! Wprawdzie Ashdowne widział ją w wyjątkowo kompromitujących sytuacjach, ale nie oznaczało to, że wszystkie jej przedsięwzięcia kończą się absolutną klęską. Otworzyła usta, żeby mu to powiedzieć, ale on pokręcił głową.

- Wątpię, czy nawet pani niezrównane wdzięki wystarczą na to, by odwrócić uwagę wielebnego od ofiarodawczyni in spe, tym bardziej że jest to bardzo zamożna wdowa.

Georgiana zaczerwieniła się na wzmiankę o swych wdziękach, lecz mimo to musiała przyznać Ashdowne'owi rację. Z drugiej strony niecierpliwość nie pozwalała jej tylko stać i czekać, chociaż Ashdowne zdawał się wolny od takich kłopotów. Śledzili wielebnego cały dzień i mieli dopiero pierwszą poszlakę wskazującą na to, że może on być złodziejem.

- Na pewno miał z sobą tę książkę cały dzień - szepnęła do Ashdowne'a. - Nic dziwnego, że nie mogliśmy nic znaleźć u niego w domu. Widocznie zawsze nosi ją przy sobie. Czy można sobie

wyobrazić lepszą kryjówkę na naszyjnik niż książka wydrażona w środku?

Nikt nie zwróciłby uwagi na duchownego noszącego Biblię, rozumowała coraz bardziej podniecona Georgiana. Niebezpieczeństwo mogło mu grozić tylko wtedy, gdyby pobożna osoba, taka jak pani Fitzlettice, chciała sprawdzić jakiś werset! Naturalnie właśnie z tego powodu pan Hawkins schował książkę, zanim przywitał się z wdową. Panna Bellewether uśmiechnęła się. Fakty tworzyły tak logiczną konstrukcję, że nie mogła się doczekać, kiedy będzie mogła sprawdzić swoją teorię.

Niestety, pan Hawkins wciąż był pochłonięty rozmową z panią Fitzlettice i Georgiane zdawało się, że mija wieczność, nim oboje zaczęli się oddalać od kryjówki, w której spoczywały skradzione skarby. Gdy wreszcie ruszyli się z miejsca, Georgiana poderwała się, ale jej pomocnik zachował czujność i znów ją zatrzymał. Skinieniem głowy wskazał basen. Wielebny i pani Fitzlettice, o dziwo, wychodzili z wody. Wyglądało to tak, jakby zamierzali razem opuścić łaźnię. Książka zostałaby zatem za kamieniem.

Zaskoczona Georgiana pozwoliła Ashdowne'owi wyprowadzić się z powrotem na ulicę i zaciągnąć w cień pobliskiej bramy. Słońce zachodziło za horyzont i panna Bellewether musiała mrugać, gdy przyglądała się ciemnym sylwetkom ludzi opuszczających łaźnię. Pan Hawkins z wdową byli wśród pierwszych klientów, którzy wyszli. Georgiana czekała na to z zapartym tchem, nagle jednak wpadła w panikę, usłyszała bowiem charakterystyczny trzask. Łaźnię zamykano!

Ze złością odwróciła się do Ashdowne'a, bo to niepowodzenie było w całości zawinione przez niego. Nie dość, że nie chciał jej pomóc, to jeszcze bardzo nierozsądnie zatrzymał ją w nieodpowiednim momencie. A teraz było za późno! Zanim jednak zdążyła wyładować złość na winowajcy, Ashdowne ujął ją za ręce i przyciągnął do siebie.

- Wrócimy tu jutro z samego rana - obiecał.

To była bardzo kusząca propozycja, lecz, mimo to Georgiana uwolniła ręce. Nie mogła pozwolić, żeby markiz usypiał jej czujność, nawet jeżeli miał dźwięczny głos i przytłaczał innych swoją obecnością.

- Nie! W tej książce na pewno są klejnoty! A jeśli tak, to Hawkins nie zostawi ich tam długo. Jestem przekonana, że wcale nie zamierzał wypuścić ich z ręki - powiedziała. - Będzie chciał je odzyskać jeszcze przed jutrzejszym otwarciem łaźni.

Ashdowne jęknął, ale Georgiana nie zwróciła uwagi na ten protest. Potrząsnąwszy jasnymi lokami, spojrzała wyzywająco na swego asystenta i stwierdziła stanowczo:

- Musimy tu wrócić, kiedy łaźnia opustoszeje, ale jeszcze zanim będzie za późno.

- A jak pani proponuje dostać się do środka? Georgiana przesłała mu uśmiech, poznała już bowiem jego talenty w tej dziedzinie.

- Och, jestem pewna, że pan coś wymyśli. Ashdowne zerknął na budynek, w którym zapanowała cisza, potem z powrotem na nią.

- Niech będzie - powiedział i mruknął pod nosem coś o wiszącej nad nim kłatwie. - Wrócimy tu jeszcze dzisiaj, kiedy całkiem się ściemni.

Ashdowne nie chciał zostawić jej samej, a ponieważ Georgiana obstawała przy tym, że ktoś musi bez przerwy obserwować budynek łaźni, wysłał przechodzącego chłopca z wiadomością na Camden Place. Wkrótce pojawił się kamerdyner markiza. Żyłasty Irlandczyk zgodził się objąć posterunek na czas, gdy Ashdowne będzie odprowadzał pannę Bellewether do domu. Naturalnie Georgiana powtarzała markizowi, że niepotrzebnie się kłopotuje, ale niekiedy bywał on okropnie uparty.

Znalazłszy się w domu, Georgiana schroniła się w sypialni, narzekając na ból głowy. Po pewnym czasie wymknęła się kuchennymi drzwiami i spotkała z Ashdowne'em przy bramie ogrodu. Zgodnie z jego instrukcją była ubrana na czarno. Potajemny charakter ich spotkania wydawał jej się bardzo podniecający.

Jeszcze bardziej podniecające było przemierzanie Bath po ciemku bocznymi uliczkami i alejkami, toteż zanim dotarli pod łaźnię, Georgiana miała niezbitą pewność, że bez względu na to, jaką sławę zdobędzie, nigdy nie zapomni tej nocy, swojej pierwszej prawdziwej sprawy ani swego pomocnika.

Chociaż w ogóle nie mogła dostrzec Irlandczyka, Ashdowne zapewnił ją, że Finn wciąż obserwuje budynek i zaalarmuje ich w razie, gdyby zbliżał się wielebny lub ktokolwiek inny. Wokoło panowała cisza, a mrok był prawie nieprzenikniony, gdy stanęli przed

wejściem do łaźni. Georgiana zerknęła na swego pomocnika. Naturalnie dałaby sobie radę bez niego, ale w markizie było coś takiego, co dodawało jej otuchy.

Ubrał się całkiem na czarno, nawet bez białego halsztuka, a ruchy miał tak sprężyste, że Georgiana nie mogła wyjść z podziwu. Nie wątpiła, że dałby nauczkę każdemu, kto próbowałby im wejść w drogę. Krótko mówiąc, był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu.

Co więcej, promieniowała od niego złowieszcza siła.

Wcześniej Georgiana nigdy nie zwróciła na to uwagi. Ale nie bała się markiza, tylko w napięciu obserwowała, jak z twarzą ukrytą w mroku manipuluje dłońmi odzianymi w rękawiczki, by pokonać zamek. To było pasjonujące, ale w pewnej chwili zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem osoba Ashdowne'a nie zaćmi jej zainteresowania śledztwem.

Oprzytomniała. Natychmiast odwróciła głowę, uznała bowiem, że jest za blisko markiza. Jeszcze raz powtórzyła sobie, że należy zachowywać dystans.

Cichy trzask znów zwrócił jej uwagę na Ashdowne'a, który z szerokim uśmiechem otworzył drzwi. Musiała oddać sprawiedliwość jego niepospolitym talentom, bo gdyby była sama, nie obyłoby się bez użycia jakiegoś bardzo obciążającego narzędzia.

- Naucz mnie pan, jak to się robi? - spytała szeptem.

- Nie - odparł krótko Ashdowne i zanim zdążyła odpowiedzieć, wciągnął ją do środka, a potem zamknął za nimi drzwi. Natychmiast przypomniało jej się, że są w łaźni, owionęło ją bowiem ciepłe, wilgotne powietrze. W nozdrza uderzył ją zapach sławnych wód, nieco mniej przykry niż zwykle, bo basen był pod gołym niebem. W mroku zupełnie straciła orientację, za to Ashdowne zdawał się mieć kocie zdolności, bo udało mu się zapalić małą, osłoniętą latarnię.

Dawała ona zaledwie trochę więcej światła niż świeca, ale przynajmniej była niewrażliwa na podmuchy i pryskające krople. Dzięki temu mogli bezpiecznie podejść do krawędzi basenu. Kamienie stawały się coraz bardziej śliskie, aż wreszcie Georgiana poczuła ramię Ashdowne'a, który w zbędnym, lecz bardzo dla niej przyjemnym przejawie elegancji pomógł jej dojść do schodków.

Tam przystanął. Georgiana poczuła, jak osacza ją złowroga cisza. Chociaż była to najmniejsza łaźnia w mieście, w mroku wydawała się

przepastna. Nad głowami lśniły gwiazdy, a księżycowa poświata odbijała się w ciemnej wodzie. Panna Bellewether zadrżała.

- Wejść do basenu - powiedział Ashdowne i puścił jej rękę. - Niech pani tu zostanie i trzyma latarnię, bo nie chciałbym szukać tej książki po omacku. - Georgiana odwróciła się do niego i chciała coś powiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach, gdy zobaczyła, że Ashdowne zdejmuje surdut. Tuż przed nią. Widok jego szerokich ramion podziałał na nią wybitnie rozpraszająco.

Markiz, obojętny na jej oględziny, ostrożnie odłożył surdut na stopień schodków, usiadł i zaczął zdejmować buty. Georgiana usiadła obok niego, bo nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

Znowu była za blisko Ashdowne'a. Nieznacznie się odsunęła, ale chociaż starała się na niego nie patrzeć, to ciekawość przemogła. Widocznie miał czarną koszulę, bo wąty blask latarni wydobywał z ciemności tylko jasną plamę jego twarzy. Nawet pończochy musi mieć czarne, pomyślała Georgiana, przesunawszy wzrok niżej. Tłumaczyła sobie, że nie ma nic wstrząsającego w tym widoku, ale ponieważ czynność, którą obserwowała, wydawała jej się bardzo intymna, jak zwykle zaczęła tracić jasność myślenia.

W akcie obrony odwróciła głowę, usłyszała jednak stuk drugiego buta, a potem szmer. Mój Boże, czyżby Ashdowne zdejmował pończochy? Zerknęła ukradkiem i ujrzała błysk stopy. Myśli o śledztwie natychmiast poszły w zapomnienie, ogarnęło ją bowiem bardzo dziwne pragnienie, by wyciągnąć rękę i dotknąć markiza.

Cicho westchnęła, czego Ashdowne chyba na szczęście nie usłyszał, bo stanął nad nią na najwyższym stopniu schodków.

- Ma pani tutaj poczekać - powiedział, a ona machinalnie skinęła głową. Wsparła podbródek na dłoni i patrzyła, jak markiz powoli zanurza się w wodzie, a czarna toń otacza mu kostki, kolana, uda, sięga jeszcze wyżej...

Nagle pożałowała, że nie jest jaśniej, zainteresowała ją bowiem muskulatura pośladków Ashdowne'a. Nigdy przedtem nie przyglądała się mężczyźnie od tyłu, wkrótce jednak markiz zanurzył się jeszcze głębiej i zaczął od niej oddalać, aż w końcu prawie znikł w ciemności. Dokąd on idzie? Georgiana wstała i zeszła o jeden śliski stopień niżej.

- Chyba bardziej w lewo - powiedziała, wskazując ramieniem miejsce, w którym jej zdaniem znajdowała się kryjówka.

- Georgiano - surowo skarcił ją Ashdowne, naturalnie całkiem bezpodstawnie. - Powiedziałem, że ma pani poczekać i się nie ruszać.
- Prawie nie widziała go w ciemności ale taki ton głosu bardzo ją uraził.

- Próbuję pana odpowiednio nakierować - odparła, marszcząc czoło.

- Niech pani tego nie robi. Proszę usiąść i czekać. Tym razem nie było wątpliwości, że za jego rozkazem

kryje się nie wypowiedziana groźba. W Georgianie natychmiast obudziła się przekora.

- Muszę przypomnieć, Ashdowne, że to pan jest pomocnikiem, a ja prowadzę śledztwo - powiedziała.

- Poza tym sprowadza pani na siebie również wszelkie nieszczęścia. Dlatego proszę siedzieć cicho i nie ruszać się!

Georgiana nie zwykła potulnie przyjmować takich bezwzględnych rozkazów, zwłaszcza jeśli wydawał je arogancki mężczyzna, który nie miał do tego prawa. Postąpiła więc krok naprzód.

- Niech pan posłucha, Ashdowne... - zaczęła, ale urwała, bo uderzyła pantoflem w coś twardego.

Z rozpaczą usłyszała, jak jeden z butów markiza stacza się po stopniach w stronę basenu. Niżej i niżej. Dlaczego tu musi być tak ciemno? Ashdowne powinien był przynieść porządną latarnię, a nie takie maleństwo. Zresztą sam jest sobie winien. Po co zostawił swoje rzeczy rozrzucone tak, jak tylko mężczyzna potrafi? Ale but nie wpadł do wody, Georgiana zaczęła więc schodzić po schodkach, raz za razem po omacku wyciągając rękę. Wciąż jednak chwytiała tylko powietrze, aż wreszcie zawadziła o coś dłonią i wtedy usłyszała głuchy plusk.

- Co to było? - spytał Ashdowne.

- Nic - odparła, stając nad samą wodą. Czy but utonie? Zamrugła kilka razy powiekami, wyteżyła wzrok i wydało jej się, że widzi but żeglujący w pobliżu krawędzi basenu. Gdyby przesunęła się jeszcze kilka centymetrów do przodu, może udałoby się jej go dosięgnąć... Uklękła na krawędzi obmurowania, wyciągnęła ramię, ale niestety ciemny kształt kołysał się na wodzie tuż poza jej zasięgiem. Pochyliła się więc najdalej, jak umiała, a ponieważ nic nie osiągnęła, spróbowała mimo wszystko pogłębić skłon...

Jeszcze chwilę walczyła o utrzymanie równowagi, a przez głowę przemykały jej żalostne myśli, że trzeba było słuchać Ashdowne'a. A potem głową w dół dała nura w ciepłą wodę.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Początkowo Georgiana całkiem straciła orientację w czarnej wodzie, ale gdy dotknęła stopą dna, poczuła, że jest uratowana. Waśnie wynurzyła głowę nad powierzchnię, kaszląc i plując, gdy mocne ramiona ujęły ją w pasie.

- Do diabła, Georgiano! Mówiłem, żeby pani się nie ruszała! - Nie ulegało wątpliwości, że Ashdowne jest wściekły. Próbowwała się wytłumaczyć, ale był tak niepokojąco blisko, w dodatku cały mokry!

Z trudem zaczerpnęła tchu i poczuła, że nawet w wodzie uginają się pod nią kolana. Ashdowne widocznie do niej przyplynał, bo woda ściekała mu z włosów na szerokie, umięśnione ramiona okryte czarną koszulą. Zrobiło jej się duszno. Rozchyliła wargi, żeby zaczerpnąć powietrza.

- Czy dobrze się pani czuje? - spytał Ashdowne i Georgiana wróciła spojrzeniem do jego twarzy. Znowu patrzył na nią tak, jakby była uciążliwym insektem. Ale jej popłoch szybko przeradzał się w zupełnie inne uczucie. Zdażyła jeszcze raz zaczerpnąć tchu, a potem z całej siły przywarła do Ashdowne'a.

Całkiem się zapomniała. Ciepło wody mieszało się z żarem niecierpliwych dłoni. Georgiana dopiero po jakimś czasie zauważyła, że ma suknię zsuniętą aż do talii, a jej piersi napierają na twardy męski tors.

Zaraz potem Ashdowne ich dotknął. Krzyknęła i wyprężyła ciało, a tymczasem palce Ashdowne'a poznawały te dwa kobiece wzgórza. Georgiana poddała się burzy doznań, które nie miały sobie równych dopóty, dopóki Ashdowne nie pochylił się i nie musnął czubków jej piersi ustami i językiem. Delikatnie zacisnął wargi najpierw wokół jednej twardej sutki, a następnie drugiej.

Doznanie gorąca, ogarniające Georgianę, promieniowało właśnie stamtąd i zdawało się skupiać w okolicach zbiegu ud. Georgiana poruszyła się kilka razy, chcąc rozładować napięcie, ale Ashdowne wsunął udo między jej nogi i dotknął nim akurat tego miejsca, które zdawało się najbardziej potrzebować chwili ulgi. Omal nie rozpląkała się z radości. Drogi Ashdowne, dobrze wiedział, co należy zrobić!

- Cudownie! - szepnęła, obejmując go mocno, gdyż nagle straciła równowagę. Śmiało wkradła się dłońmi pod rozsunięte poły jego koszuli. Woda zdawała się jeszcze potęgować doznania, jakich

dostarczał jej dotyk. I była to ostatnia sensowna myśl, jaka przyszła jej do głowy, zanim rozum poddał się żądaniom reszty ciała.

- Cudownie... - szepnęła znowu. Poczula za plecami ścianę basenu, usłyszała cichy plusk wody, a w górze ujrzała migotanie tysięcy gwiazd. Zaraz jednak markiz znów odnalazł jej usta. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Doznania wywoływane przez nieznaczne ruchy jego uda były dla niej niepojęte, lecz poddawała im się posłusznie.

Szepcząc do niej czule, Ashdowne dźwignął ją wyżej, podniósł jej spódnice i stanął między jej nogami tak, że najbardziej intymne miejsce miała obnażone, choć znajdowało się ono pod wodą. Zanim zdążyła zaprotestować, zakłopotana tą sytuacją, Ashdowne przywarł do niej mocniej. Tym razem poczuła nie udo, lecz przód jego spodni, dziwnie twarde i sterczący.

Czegoś takiego nie umiałyby sobie wcześniej wyobrazić. To, co działo się w jej ciele, miało porywającą siłę. Instynktownie podchwyciła pierwotny rytm, dyktowany poruszeniami markiza, i cichymi okrzykami wyrażała swoje pragnienie, potrzebę... aż wreszcie wydało jej się, że otacza ją ognista kula, tak wielka była rozkosz, która wyrwała z niej głośny okrzyk.

Chwilę potem niechybnie osunęłyby się cała do wody, gdyby Ashdowne jej nie podtrzymał. Jego ruchy nabrały gorączkowej nagłości. Nigdy nie podejrzewałyby go o takie nieopanowanie. Wreszcie i on wydał chrapliwy okrzyk i zadrzał. Czyżby przeżył podobne olśnienie jak ona?

- Och - szepnęła, zupełnie niezdolna do złożenia słów w zdanie. W ciszy, która zapadła, słychać było tylko ich nierówne oddechy. Georgiana nie była jednak pewna, czy po tym, co zaszło, jeszcze kiedykolwiek będzie mogła powiedzieć o sobie, że jest normalna. Na czym polegał ten cud, który objawił jej Ashdowne?

Wreszcie podniósł głowę, a panna Bellewether spojrzała mu prosto w oczy. Wydawał się senny i zaspokojony, ale zaniepokoił ją grymas widoczny na jego wargach. Otworzyła usta, żeby się do niego odezwać, a może po prostu znów go pocałować, gdy ciszę zakłócił zgrzytliwy dźwięk.

Drzwi!

Georgiana zdrętwiała, a Ashdowne natychmiast zakrył jej usta dłonią. Potem wciągnął przerażoną dziewczynę głębiej do wody, tak

że po chwili wystawały im nad powierzchnię już tylko głowy. Georgiana z niepokojem spojrzała ku schodkom, skąd latarnia, której miała pilnować, rozsiewała światło po całym basenie.

- Milordzie?

Georgiana poczuła, jak Ashdowne się odprężyła, i sama również odczuła ulgę, poznała bowiem głos Finna. Spodziewała się, że markiz wstanie, lecz on pozostał na miejscu, gestem nakazując jej zrobić to samo. Dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że jej spódnice unoszą się wysoko na wodzie, a górna część odzienia spowija malowniczo talię. Jęknęła z przerażenia, ale Ashdowne przycisnął jej palec do warg.

- Co tam? - zawołał do Finna.

- Milordzie, zdawało mi się, że słyszę krzyk. Chciałem sprawdzić, czy wszystko w porządku, ale widzę, że przyszedłem nie w porę. Proszę sobie nie przeszkadzać - powiedział poważnie, choć w jego głosie było słychać tłumiony śmiech.

- Mamy pewien kłopot ze znalezieniem tego, po co tu przyszliśmy, ale to już nie potrwa długo - zapewnił kamerdynera Ashdowne. Dopiero gdy Finn znikł za drzwiami, markiz puścił Georgianę. Delikatnie pomógł jej stanąć na dnie i doprowadzić do porządku garderobę.

Panna Bellewether wciąż stała nieporuszona, gdy markiz odwrócił się, podszedł do obruszanego kamienia i bez trudu znalazł książkę. Dziewczyna nie mogła otrząsnąć się ze zdziwienia. Czyżby po to tutaj przyszli? Po tę książkę? W objęciach Ashdowne'a całkiem o tym zapomniała, a jeszcze teraz jej umysł pracował tak ospale, że markiz musiał ująć ją za rękę i zaprowadzić do schodków, ku światelku latarni.

- O! A to co? - spytał i Georgiana, która nie przypominała sobie, by choć zaróżowiła się ze wstydu podczas namiętych pieszczot, teraz spłoneęła rumieńcem. Ashdowne wyciągnął bowiem z basenu wysoki but, z którego strumieniem lała się woda.

- To chyba but - stwierdziła.

- No, tak. Wygląda znajomo - dodał Ashdowne. Tymczasem wyszli z wody. Mokra skóra plasnęła o stopień i Georgiana zrozumiała, że nie powinna dłużej zwlekać z rozmową na poważne tematy.

- Ja... - zaczęła.

- Mniejsza o to. Nie będę oplakiwał straty buta, skoro... - Zawiesił głos i pogłaskał ją mokrym palcem po policzku. Georgiana zamknęła oczy i zadrżała. - To było w dobrej wierze - powiedział takim tonem, że natychmiast zakręciło jej się w głowie. - Ale robi się późno i muszę odprowadzić panią do domu, zanim pani się przeziebi.

Ta możliwość wydała się Georgianie absurdalna, bo od samego widoku milorda robiło jej się gorąco, ale odruchowo skinęła głową. Ashdowne nieco się odsunął.

- Niech pani mocno wyźmie suknię, a potem zajrzemy do tej książki.

Książka! Georgiana raptownie się wyprostowała, a jej myśli natychmiast skupiły się na dowodzie, który zdobyli. Euforia wywołana pieścotami Ashdowne'a przekształciła się w podniecenie zupełnie innego rodzaju. Naturalnie chciała natychmiast sięgnąć po książkę, ale posłusznie podniosła spódnicę i zaczęła je wyżymać, a tymczasem Ashdowne włożył buty i surdut. Jej suknia była, rzecz jasna, nieodwracalnie zniszczona, ale ponieważ wybierała ją matka, strata wydawała się niewielka.

Myślała już tylko o śledztwie, a ręce trzęsły jej się z niecierpliwości, gdy znowu odwróciła się do Ashdowne'a. Markiz, elegancki jak zwykle mimo niedawnej kąpieli, wyciągnął do niej rękę z książką. Tym zasłużył sobie na jej głęboką wdzięczność. Mógł przecież najpierw sam obejrzeć tę cenną zdobycz, tymczasem zrzekł się tego honoru na jej rzecz.

Georgiana wytarła ręce w narzutkę, wzięła od niego tomik i z najwyższą ostrożnością go otworzyła. Jednak ku swemu rozczarowaniu nie znalazła żadnego wydrażenia, w którym można by ukryć naszyjnik. Natrafiła natomiast na rysunek. Pochyliwszy się nad nim, stwierdziła, że przedstawia mężczyznę z kobietą, a żadne z nich nie ma na sobie ani skrawka odzienia.

- To jest zupełnie nieistotne! - stwierdziła ze złością.

- To zależy od punktu widzenia, jak sądzę - odparł rozbawiony Ashdowne.

Georgiana wydała jęk zawodu i potrząsnęła książką, trzymając ją za grzbiet. Potem zaczęła przewracać kartkę za kartką - wszystkie wyglądały zupełnie normalnie. Nie było żadnej skrytki, tylko następne ilustracje. Rozczarowana, otworzyła książkę na chybił trafił. Zobaczyła rysunek przedstawiający mężczyznę i kobietę w intymnej

sytuacji. Mężczyzna unosił kobietę wysoko w powietrzu, a ona oplatała go nogami. Georgiana obejrzała tę ilustrację pod różnymi kątami, aż w końcu spytała:

- Czy to jest możliwe? Ashdowne odchrząknął.

- Tak. Naturalnie. - Nagle Georgiana uświadomiła sobie, że pozycja z ilustracji nie różni się zbyt od tej, w której znajdowali z Ashdowne'em przed kilkoma minutami. Gdyby uniosła nogi i... Na to wspomnienie zalała ją fala gorąca.

Gwałtownym ruchem odwróciła stronę, ale następna ilustracja nie różniła się zbyt od poprzedniej, tyle że tym razem mężczyzna stał za plecami kobiety.

- Ojej - szepnęła Georgiana. Znowu wydało jej się, że atmosfera w łaźni jest wyjątkowo duszna. Wyraźnie czuła, że Ashdowne stoi za nią i zagląda jej przez ramię. Ciekawe, co by się stało, gdyby przysunął się jeszcze trochę bliżej? Znowu odwróciła kartkę.

Tym razem kobieta klęczała przed mężczyzną. Georgiana, trochę tym wstrząśnięta, a trochę zaciekawiona, omal nie upuściła cennego dowodu rzeczowego. Policzki płonęły jej żywym ogniem, gdy przypomniała sobie, jak Ashdowne się o nią ocierał. A gdyby ukłękła przed nim i... Duszność stała się nie do zniesienia. Dziewczyna z trzaskiem zamknęła książkę.

Zapadła cisza. Georgiana czuła, jak z wolna ogarnia ją rozczarowanie. Może i treść tej książki trudno by uznać za niewinną, ale w środku nie było ani kryjówki na łupy, ani tym bardziej skradzionego naszyjnika.

- Nie rozumiem - mruknęła. - Po co pan Hawkins przyniósł coś takiego do łaźni?

- Podejrzewam, że miała pani rację. Pan Hawkins nie przyjechał tutaj dla odbycia kuracji. Po prostu lubi podglądać damy w mokrych ubraniach. A gdy ma ciało pod powierzchnią wody... hm, nie widać kierunku jego myśli.

Georgiana nagle zrozumiała, o czym mówi Ashdowne, i westchnęła cicho.

- Miejmy nadzieję, że wielebny nic innego tutaj nie robi - mruknął Ashdowne. - Bo inaczej myśl o wchodzeniu do tej śmierdzącej wody staje się dość odstręczająca, mimo że sam też dopuściłem się pewnego uchybienia.

Chociaż Georgiana nie całkiem rozumiała sens tej wypowiedzi, zwróciły jej uwagę słowa „odstręczający” i „uchybień”. Przybrała więc dumną pozę i zwróciła się ku Ashdowne'owi, na wszelki wypadek skupiwszy wzrok na jego szyi, a nie na twarzy. Ponieważ jednak milord nie miał halsztuka, również ten widok okazał się nieco rozprasający.

- Bardzo mi przykro, że sprawiłam panu tyle kłopotu w łaźni - bąknęła.

- Trudno nazwać to kłopotem - odparł Ashdowne, przyciągając ją do siebie bliżej. - Pani jest wspaniała i jej towarzystwo zawsze sprawia mi ogromną przyjemność. - Zaakcentował ostatnie słowo, więc Georgiana oblała się rumieńcem aż po korzonki włosów.

Zaczęła się zastanawiać, jak daleko jej pomocnik zamierza się posunąć w tym flircie. Ilustracje, które zobaczyła w książce, wydały jej się jednocześnie niepokojące i intrygujące, a jako osoba z natury ciekawa chciała doświadczyć, rzecz jasna, jak najwięcej. Wiedziała jednak, że taki sposób zbierania nowych doświadczeń nie zyskałby poparcia otoczenia, a tym bardziej jej matki.

Zerknęła na swe przemoczone pantofelki.

- Jeśli chodzi o tę, hm, przyjemność... - Zmieszana, natychmiast urwała.

- Przepraszam, Georgiano - powiedział i pogłaskał ją po policzku. - Nie zamierzałem posuwać się tak daleko, chociaż prawdę mówiąc, żałuję, że dziś wieczorem nie znalazła pani tego, czego pani szukała. A może jednak?

Georgiana nie była pewna, co markiz ma na myśli. Czasem mówił zagadkami, a ona nie potrafiła się skupić w jego obecności. Odsunęła się nieco, żeby opanować zamęt w głowie.

- Mogłabym panu przypomnieć, że miał pan interesować się wyłącznie śledztwem, a nie tą drugą sprawą - powiedziała dość drętwą.

- Bardzo przepraszam - odparł rozbawiony. Georgiana tego nie usłyszała. Szła wolno w stronę wyjścia, znów bez reszty pochłonięta swoim zadaniem

- Nie znaleźliśmy w książce naszyjnika, ale pan Hawkins pozostaje naszym głównym podejrzanym - stwierdziła wreszcie. Przez chwilę zastanawiała się nad wielebnym, po czym dodała stanowczo -

Prędzej czy później powinie mu się noga i wtedy go zdemaskujemy. Tymczasem musimy uważnie go obserwować.

- Warto - przyznał Ashdowne - Wszystko wskazuje na to, że bliski kontakt z duchownym dobrze by mi zrobił.

Georgiana obrzuciła go karcącym spojrzeniem, lecz mimo woli się roześmiała. A gdy ruszyli z powrotem mrocznymi ulicami, Georgiana zapomniała o rozczarowaniu, jakiego doznała, i znów poddała się urokowi nocy

Po raz pierwszy zadała sobie pytanie, czy bardziej fascynuje ją śledztwo, czy może jednak jej pomocnik.

Nie rozwiąła tych wątpliwości przed świtem. Chociaż tłumaczyła sobie, że nie wolno jej stawiać emocji ponad logicznym wnioskowaniem, to odkrycie słabości pana Hawkinsa bardzo osłabiło jej zapał do obserwowania poczynąń duchownego. Przyszło jej do głowy, że być może nie jest w stanie zdobyć się na obiektywizm, postanowiła jednak odłożyć rozważenie tej niepokojącej hipotezy na później

Zresztą w ogóle chwilowo powinna się powstrzymać od jakichkolwiek wniosków, gdyż wszystkie jej myśli krążyły wokół Ashdowne'a. Niechętnie musiała przyznać, że zaczyna widzieć swojego pomocnika w zupełnie nowym świetle. Kto jednak mógłby ją za to winić po nocnej wyprawie do łaźni? Georgiana nawet nie potrafiła nazwać tego, co między nimi zaszło, ale po tak poruszającym doznaniu czuła się odmieniona.

Gdy wreszcie udało jej się zasnąć, śniła naturalnie o markizie i zbudziła się w zmiętej pościeli, rozpalona, zmęczona i zawiedziona. To ostatnie uczucie dręczyło ją potem cały ranek.

Chociaż wmawiała sobie, że z Ashdowne'em łączy ją jedynie sprawa kradzieży naszyjnika, to fakty nieubłaganie temu przeczyły. Co gorsza, okazało się, że w świetle dziennym Ashdowne prezentuje się jeszcze lepiej, toteż Georgiana raz po raz przyłapywała się na wpatrywaniu w markiza, chociaż nie powinna spuszczać oka z podejrzanego.

Nigdy w życiu nie była tak bardzo wytrącona z równowagi. Ashdowne natomiast wydawał się jak zwykle spokojny i beztroski. Sądziłaby nawet, że wydarzenia ostatniej nocy ' tylko jej się przyśniły, gdyby nie ukradkowe, gorące spojrzenia, którymi czasem ją obrzucał.

Gdy chwyciła takie spojrzenie, zaczęła się zastanawiać, jak daleko Ashdowne zechce zabnąć w ich... eksperymenty. Następne kroki wydawały jej się bardzo kuszące, lecz wiedziała, że dobrze wychowana panna nie powinna nawet myśleć o takich sprawach. Poza tym dręczyły ją wątpliwości co do markiza.

Czy postępował w ten sposób z każdą poznaną kobietą? Wprawdzie bardzo ją interesowało, jakie jeszcze rozkosze mogłaby znaleźć w objęciach Ashdowne'a, lecz zdecydowanie nie chciała stać się jego zabawką. Nie zależało jej również na zobaczeniu markiza u swych stóp w pozie, którą często przybierali jej najbardziej żarliwi adoratorzy. Chciała tylko, żeby obdarzył ją uczuciem, choćby niewielkim, i żeby docenił jej talenty.

Z obojętnej miny Ashdowne'a trudno było cokolwiek wywnioskować, a Georgiana sama nie podjęłaby takiego tematu. To byłoby zbyt krępujące, zresztą miała na głowie poważne śledztwo. Nieważne, że podejrzany od rana nie zrobił nic ciekawego.

Dzień wielebnego był bardzo podobny do poprzedniego. Ranek pan Hawkins spędził w domu, prawdopodobnie oddając się nie zasłużonemu odpoczynkowi. Potem udał się do pijalni, gdzie rozmawiał z podstarzałymi wdowami, a Georgiana i jej pomocnik starali się nie rzucić w oczy.

Dziewczyna doszła do wniosku, że w tej sytuacji lepiej poradziłaby sobie sama. Ashdowne był zbyt przystojny i elegancki, by bez trudu wtopić się w tłum. Zażyczyła sobie nawet, żeby włożył przebranie, na to jednak markiz wybuchnął śmiechem i pogłaskał ją po policzku. Ustąpiła, bo nie chciała mu dawać więcej okazji do takiej poufałości.

Teraz jednak gorzko żałowała swej uległości, bo wprawdzie skryli się za parawanem, niedaleko miejsca dla muzyków, lecz mimo to w ich stronę zmierzała matrona z panną na wydaniu. Markiz został więc zauważony. Tłumiąc jęk. Georgiana chciała uciec, poczuła jednak na ramieniu uścisk dłoni Ashdowne'a.

- Idę za wielebnym - szepnęła, próbując się uwolnić, ale Ashdowne bez trudu przyciągnął ją do siebie.

- Nie ma mowy - odparł stanowczo. Zdaje się, że znajdował niejaka przyjemność w ograniczaniu jej wolności. Georgiana chciała zaprotestować, ale nie zdążyła.

- Jak to miło, że milord znów zaszczycił swą obecnością naszą ukochaną pijalnię! Nie spodziewałyśmy się dziś takiego wydarzenia, prawda, kochanie? - Matrona zwróciła się do córki. Panna, wysoka, smukła blondynka, posłusznie skinęła głową, na której chwiały się słomkowe loczki, i obdarzyła markiza kokieteryjnym spojrzeniem.

Georgiana najchętniej wzniosłaby oczy do góry i wydała odgłos niegodny damy, ale w porę się opamiętała, rozciągając usta w sztucznym uśmiechu. Na próżno się jednak trudziła, bo jej wysiłki uszły uwagi wszystkich obecnych.

- Milord na pewno pamięta moją córkę Forsythię, czyż nie? - ciągnęła matrona, wypychając przed siebie pannę.

Ashdowne odpowiedział zdawkową uprzejmością, a zachęcona tym matka wygłosiła pean na cześć talentów córki, które ponoć pozostawały w niezachwianej harmonii z niezrównaną urodą. Georgiana była jednak znacznie bardziej krytyczna, zwłaszcza w kwestii manier obu dam.

Matrona z córką w ogóle jej nie dostrzegały. Równie dobrze mogłaby być plamą na rękawie Ashdowne'a. Georgianie nawet to odpowiadało, nie chciała bowiem ściągać na siebie uwagi. Odczuwała jednak pewną zazdrość, gdyż markiz był, bądź co bądź, jej pomocnikiem. Nie podobało jej się, że Forsythia trzepocze zalotnie rzęsami i rzuca mu powłóczyste spojrzenia.

Najchętniej wyrwałaby tej pannicy wszystkie rzęsy po kolei. Takie uczucie nie przynosiło chluby komuś, kto był dumny ze swego obiektywizmu i pragmatycznego umysłu. Georgiana zawsze bezlitośnie wyśmiewała kobiecą zazdrość, tymczasem wyglądało na to, że nagle sama padła ofiarą tego nedorzecznego uczucia. Ostatnio w ogóle dowiadywała się o sobie wielu ciekawych rzeczy. A czyja to była wina? Ashdowne'a!

Z niechęcią spojrziała na markiza pochłoniętego rozmową ze swymi wielbicielkami i nagle przypomniała sobie o panu Hawkinsie, który w każdej chwili mógł się gdzieś wymknąć. Zaniepokojona, zaczęła powoli odsuwać się od swego pomocnika. Wnet jednak zatrzymało ją silne męskie ramię. Ashdowne zwrócił się do swoich rozmówczyń:

- Proszę wybaczyć, ale czy panie znają pannę Bellewether? - Powiedział to całkiem normalnym tonem, jakby wcale nie zamknął jej ręki w stalowym uścisku. - Panno Bellewether, chciałbym przedstawić

Forsythię i jej matkę... - Urwał i beznamiętnie spojrzął na matronę. - Obawiam się, że nie pamiętam pani nazwiska.

- Gilcrest - odpowiedziała kobieta, a jej przymilny uśmiech natychmiast zamienił się w żalony grymas. - Ale chciałabym, milordzie...

- Och, bardzo przepraszam - przerwał matronie Ashdowne, spoglądając nad jej ramieniem, jakby coś w oddali przyciągnęło jego uwagę. Zanim matrona zdążyła zareagować, markiz już odchodził, ciągnąc za sobą Georgianę. Wkrótce znaleźli nowy zaciszny kąt i ukryli się za dwoma otyłymi jegomościami, którzy drzemali rozparci na krzesłach.

- Nic z tego nie będzie! - mruknęła Georgiana, gdy Ashdowne w końcu ją puścił. - Już pana zauważono, więc będą pana nękać wszystkie panny na wydaniu i ich mamusie!

- Pst. - Ashdowne skinął głową w stronę wejścia.

Georgiana była w buntowniczym nastroju, ale powodowana ciekawością, spojrzała we wskazanym kierunku. Zobaczyła wielebnego Hawkinsa pochłoniętego rozmową z lady Culpepper. Widok wydał się jej szalenie intrygujący, zwłaszcza że pamiętała pogardę dla kobiet, którą tak często deklarował wielebny Hawkins.

- Niech pan popatrzy, jak on z nią igrza.

- Po co miałyby to robić?

- Z powodu kradzieży! Po latach studiów wiem, jak działa przestępczy umysł - odparła Georgiana. - Przypuszczam, że nasz złodziej czerpie perwersyjną przyjemność z odgrywania unижonego sługi, chociaż przez cały czas dobrze wie, że jest w posiadaniu przedmiotu, który przedstawia dla jego rozmówczynie wielką wartość.

- Co do perwersyjnych przyjemności ma pani rację - przyznał Ashdowne. - Wydaje mi się znacznie bardziej prawdopodobne, że wielebny usiłuje wkraść się w łaski lady Culpepper, być zdobyć probostwo w jej rodzinnym majątku w Sussex.

Georgiana zbyła to przypuszczenie machnięciem ręki, zbyt pochłonięta obserwacją, by się sprzeczać. Wielebny nareszcie robił coś interesującego.

- Och, moja kochana Georgiano, któregoś dnia musi mnie pani dokładnie oświecić w kwestii tego, co nazwała pani przestępczym umysłem - powiedział uwodzicielsko markiz. Jego ciepły oddech załaskotał ją w ucho.

Zignorowała tę poufalość, uważnie obserwując wydarzenia. Lady Culpepper z gracją opuszczała pijalnię. Wielebny pozostał na miejscu z wymownym grymasem na twarzy, szybko jednak zapanował nad sobą i ukrył wyraz niechęci.

- Widzi pan? - wykrzyknęła triumfalnie Georgiana.

- Co widzę? Na pewno nie lubi tej kobiety, ale nie jest wyjątkiem, większość tu obecnych podziela jego uczucia - odrzekł markiz. Musieli przerwać rozmowę, bo podejrzany ruszył z miejsca.

W pijalni nie było tłoczno, więc obserwacja pana Hawkinsa nie sprawiała im trudności. Georgianę martwiło jednak niedawne spotkanie z panią Gilcrest. Dotychczas zdołali uniknąć ataków ze strony znajomych, ale Ashdowne był bardzo znaną postacią i w każdej chwili groziły im następne wymiany uprzejmości.

Tym razem cichy, ostrzegawczy okrzyk wydał właśnie Ashdowne. Georgiana niespokojnie drgnęła, przekonana, że za chwilę dopadnie ich kolejna troskliwa i nie przebieająca w środkach matka jakiejś niewydarzonej pannicy. Ale nie. Przed nimi stanął mężczyzna. Był podobnego wzrostu co Ashdowne, miał ciemne włosy i zielone oczy, które wydawały się dziwnie chłodne. Z pewnym zaskoczeniem Georgiana poznała w nim pana Savonierre'a, człowieka, który sprowadził do Bath detektywa z Bow Street.

Przedtem widziała go tylko z daleka i nie miała okazji dokładnie mu się przyjrzeć, teraz jednak stwierdziła, że jest to postać godna uwagi. Na pierwszy rzut oka przypominał Ashdowne'a, dorównywał mu bowiem wzrostem i miał podobną karnację. Jednak rysy Savonierre'a wydawały się ostrzejsze, a bijący od niego chłód był znacznie bardziej przenikliwy niż ten, który Ashdowne roztaczał nawet w chwili największego rozdrażnienia. Georgiana poczuła ciarki na karku.

- Witam pana, milordzie. - Savonierre skłonił głowę, ale ani w jego geście, ani w tonie nie było serdeczności. Powieki miał przymknięte, jakby chciał w ten sposób ukryć wyraz oczu. Georgiana nie potrafiła określić swojego wrażenia, ale obecność Savonierre'a budziła w niej niepokój.

Ashdowne musiał mieć podobne odczucia. Pozornie był uprzejmy i pogodny, ale Georgiana wyczuwała jego nieufność. Dziwne. Kim jest ten Savonierre?

- Kuruje się pan wodami? - spytał Savonierre, a markiz odpowiedział wzruszeniem ramion. - To dziwne, że człowiek o pańskich talentach przyjechał akurat do Bath. Chociaż w świetle ostatnich wydarzeń może jednak nie należy się temu dziwić.

- Pana przyjazd jest nie mniej dziwny - odparł spokojnie Ashdowne. - Sądziłbym raczej, że woli pan Brighton.

- O, nie przyjechałem bez powodu. Tak się składa, że mam tu rodzinne obowiązki - odrzekł Savonierre. - Zapewne pan wie, że lady Culpepper jest moją krewną. - Zabrzmiało to dziwnie prowokująco. Gdy Ashdowne w odpowiedzi skinął głową tak, jakby był już śmiertelnie znudzony rozmową, Savonierre uśmiechnął się drapieżnie. Postąpił krok naprzód. Georgiana się cofnęła, ale Ashdowne ani drgnął.

- Przyjechałem natychmiast, gdy usłyszałem o kradzieży szmaragdów - wyjaśnił Savonierre. Potoczył wzrokiem po kuracjuszach i znów zwrócił się do Ashdowne'a. - Muszę przyznać, że bardzo rozczarowałem się co do detektywa z Londynu. Minęły cztery dni, a on jeszcze nie zdemaskował złodzieja.

Również Georgiana była nieco rozczarowana Jeffriesem, choć z drugiej strony jego nikłe sukcesy zwiększały jej szanse na przyszłość.

- Mam pewne podejrzenia w tej sprawie - włączyła się do rozmowy.

Zanim jednak zdążyła powiedzieć więcej, przerwał jej Ashdowne.

- Czy pan zna pannę Bellewether? Jest detektywem amatorem. Bardzo starannie obserwuje przebieg tej sprawy.

- Czyżby? - Savonierre zwrócił się w jej stronę i Georgiana przekonała się, jak badawcze jest jego spojrzenie. Zwykle po takiej zachęce rozwijała swoje teorie, tym razem jednak poczuła się bardzo niezręcznie. Przenikliwe spojrzenie Savonierre'a onieśmieliło ją. Zrezygnowała więc z obszernych wyjaśnień.

- Może uda mi się to, z czym nie poradził sobie pan Jeffries? - powiedziała po chwili, gdy przewyciężyła onieśmielenie.

Savonierre nie spojrzał na nią kpiąco jak inni mężczyźni. Przeniósł wzrok na Ashdowne'a, potem znowu zerknął na nią i na wargach pojawił mu się nikły uśmiešek.

- Może tak, panno Bellewether. Bardzo na to liczę.

W jego tonie wyczuwało się złowrogię niedopowiedzenie. Georgiana raptownie nabrała powietrza do płuc i czekała, aż Savonierre się oddali. Dopiero wtedy odetchnęła z ulgą.

- Kim on jest? - spytała szeptem Ashdowne'a. - I dlaczego tak pana nienawidzi?

Ashdowne milczał. Stał i patrzył za Savonierre'em z taką wściekłością, że Georgiana przez chwilę obawiała się, że dojdzie do bójki. Zaniepokojona położyła mu dłoń na rękawie surduta i dopiero wtedy markiz odwrócił się do niej. Był bardzo zdenerwowany.

- Rzeczywiście nie żywi do mnie przyjaznych uczuć, ale nie znam przyczyny. W każdym razie jest to bardzo wpływowy człowiek. Z nim nie ma żartów. - Ashdowne powoli odzyskiwał swoją zwykłą pewność siebie. Ujął Georgianę za ramię i delikatnie je ścisnął. W pierwszej chwili sądziła, że jest to pieszczota, po chwili zrozumiała jednak, że Ashdowne nakazuje jej ruszyć się z miejsca. Pan Hawkins, niech go diabli, zniknął.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Georgiana poczuła ulgę, gdy wkrótce zauważyli wielebnego przy wyjściu z pijalni i mogli dyskretnie za nim ruszyć. Mimo że spodziewała się powtórzenia marszruty z poprzedniego dnia, pan Hawkins wcale nie poszedł ulicą handlową, lecz skierował się ku okolicom zajęтым przez rezydencje.

Zachowując stosowną odległość, wciąż podążali za nim krętymi uliczkami, w stronę coraz biedniejszych rejonów Bath. Zabudowa nie była już nawet tak elegancka jak ta, w której mieszkał pan Hawkins, choć jeszcze nie było to miejsce, które wprowadziłoby Georgianę w popłoch. Zresztą z Ashdowne'em czuła się absolutnie bezpieczna i choć markiz proponował, żeby zawrócili, nawet nie chciała o tym słyszeć.

- Jest bardzo prawdopodobne, że właśnie w takim miejscu pan Hawkins czymś się zdradzi - upierała się Georgiana. - Być może idzie do pasera. Mamy szansę złapać go na gorącym uczynku.

- Właśnie tego się obawiam - mruknął Ashdowne, ale uległ jej życzeniu, choć niechętnie. Georgiana zbyła jego wątpliwości machnięciem ręki, spodziewała się bowiem rychłego zakończenia sprawy. Chociaż Ashdowne reagował na jej entuzjazm bardzo powściągliwie, nie zgłosił już więcej zastrzeżeń, Georgiana mogła więc skupić się na poczynaniach wielebnego.

Pan Hawkins niewątpliwie coś knuł. Gdy skręcił w boczną uliczkę i przystanął przed jakimiś drzwiami, Georgiana omal nie klasnęła w dłonie z radości, wyglądało bowiem na to, że duchowny dotarł do celu. Jakby dla potwierdzenia jej podejrzeń, dyskretnie rozejrzał się dookoła. Potem zapukał, nie zauważył bowiem, że jest obserwowany zza rogu domu stojącego naprzeciwko.

Gdy drzwi się uchylły, Hawkins natychmiast wślizgnął się do środka, a Georgiana przeszła na drugą stronę uliczki, żeby jak najszybciej zbadać to miejsce. Niestety, od frontu niczego nie można było zobaczyć. Dlatego obeszła dom i znalazła się w ogródku, bardzo zaniedbanym i zasłanym śmieciami. Od tej strony również były drzwi, a po obu ich stronach wysokie okna. Georgiana skinęła na Ashdowne'a, żeby się pośpieszył, i wspięła się na kamień, z którego mogła zajrzeć do wnętrza. Ujrzawszy ciemną, ciasną kuchenkę, jęknęła z rozczarowania.

Nie chciała jednak się poddać, więc zeskoczyła na ziemię i nie zważając na spódnicę, przedarła się przez śmieci i chwasty do drugiego okna. Ponieważ znajdowało się zbyt wysoko, zaczęła rozglądać się dookoła za kamieniami, które jej pomocnik mógłby przynieść. Właśnie wtedy usłyszała niepokojące dźwięki dochodzące z pomieszczenia, do którego zamierzała zajrzeć.

Odgłosy były wyjątkowo dziwne. Zaintrygowana Georgiana podeszła do ściany i zaczęła nasłuchiwać. Początkowo dobiegło ją pojękiwanie, przerywane cichymi trzaskami. W miarę upływu czasu trzaski stawały się głośniejsze, a jęki coraz bardziej żalosne. Georgiana spojrzała w popłochu na Ashdowne'a.

- On tam kogoś morduje! - szepnęła przerażona. Nagle krzyki wydały jej się znajome. - Nie! - poprawiła się. - Ktoś morduje pana Hawkinsa! - Z tymi słowami skoczyła do drzwi, chcąc zapobiec zbrodni. Nie szkodzi, że Hawkins jest złodziejem i nędzną istotą, nie mogła stać z założonymi rękami, gdy groził mu tak przerażający koniec.

- Nie! Niech pani poczeka! - zawołał za nią Ashdowne, ale Georgiana porzuciła wszelkie środki ostrożności. Łatwo otworzywszy drzwi, wpadła do mrocznej kuchenki, w której zapach stęchłej żywności mieszał się z intensywną wonią tanich perfum. Zatrzymała się, żeby głęboko zaczerpnąć tchu, i właśnie wtedy Hawkins krzyknął głośno. Znów zerwała się do biegu, ale wnet stanęła jak wryta na progu dość niegustownie urządzonego pokoiku.

Czcigodny pan Hawkins, podczas rozmów imponujący poczuciem własnej wartości, pochylał się nad fotelem obitym czerwonym aksamitem i wypinał w górę pośladki. Nad nim stała kobieta ubrana w dziwaczny kostium i dzierzżąca pejcz. Scena była tak niezwykła, że Georgiana zamarła w progu. Zastanowiło ją, dlaczego pan Hawkins pozostaje w tak niewygodnej pozycji, chociaż wcale nie jest związany.

Wielebny zdawał się oczekiwać kary od tej kobiety, a Georgiana zauważyła nagle, że pejcz jest wykonany z miękkiego materiału i z pewnością nie może wyrządzić krzywdy.

Kobieta, która miała na sobie wysokie buty z chwaścikami, coś w rodzaju wojskowego płaszcza i niewiele więcej, wydawała się śmiertelnie znudzona tym przedstawieniem. Trzymała również

prawdziwy pejcz, którym trzaskała o podłogę, a w przerwach między ziewnięciami chłostała jego substytutem Hawkinsa.

Cała sytuacja była tak wstrząsająca i tak absurdalna zarazem, że Georgiana nie wiedziała, czy ma się oburzyć, czy śmiać. Ponieważ jednak jeszcze nie ochłonęła z wrażenia, nadal stała nieruchomo na progu. Poczowała na plecach ciepło czyjejś dłoni. Należała ona do Ashdowne'a, ale Georgiana, która miała nerwy napięte jak postronki, podskoczyła w popłochu i tym przyciągnęła uwagę właścicielki mieszkania.

Kobieta spojrzała na nich bardziej poirytowana niż przerażona tym, że ktoś ją zastał w tak kompromitującej sytuacji.

- Ej tam, tylko jeden klient naraz - powiedziała i ze złością odwróciła się ku wielebnemu. - Pracuję sama! Jestem artystką.

- Co takiego? - Hawkins poderwał głowę. Dławiąc się ze złości, wyprostował się. - Co wy tu robicie? - krzyknął, wytrzeszczając oczy na Georgianę i Ashdowne'a. Potem zwrócił się do kobiety: - Jeśli sądzisz, że będziesz mogła mnie szantażować, to coś ci powiem! Nie dostaniesz ode mnie ani pensa!

- Spokojnie, panie! Nic nie wiem o tych tam! - powiedziała kobieta, rozkładając ręce, w których wciąż trzymała pejcz.

- Bardzo przepraszam za najście - odezwała się Georgiana, czując, że sytuacja wymaga wyjaśnień. - Prowadzę śledztwo w sprawie pewnej kradzieży i mam podstawy przypuszczać, że tu się czegoś dowiem.

- U mnie? - zapiszczała kobieta. - Nic nie wiem o żadnej kradzieży, proszę pani. Robię to, za co klienci mi płacą.

- Proszę się niczego nie obawiać, chcemy tylko porozmawiać z pani klientem - powiedział Ashdowne, występując naprzód. Pochylił się do kobiety, coś jej szepnął, a Georgiana przypuszczała, że również dał trochę pieniędzy, bo gdy się odsunął, kobieta rozpływała się w uśmiechach.

- Skoro tak, to zostawię państwa samych, żeby załatwili państwo swoje sprawy - powiedziała i bez ceregieli opuściła pokój.

Hawkins jednakże szalał ze złości.

- Co wy sobie wyobrażacie?! - zagrzemiał, chociaż trudno mu było zachować pozę pełną godności, gdyż musiał podtrzymywać spodnie.

W każdym razie na markizie jego oburzenie nie zrobiło wrażenia.

- Czy właśnie z tego powodu stracił pan swoją ostatnią posadę? - spytał cicho. Podniósł mały pejcz, który zostawiła kobieta, i obrzucił Hawkinsa pogardliwym spojrzeniem. - Za bardzo spoufalał się pan z parafiankami?

- To nieprawda! To wszystko przez lorda Fallow! Ja tylko służyłem pociechą jego żonie w czasie jego długich nieobecności, a on ni stąd, ni zowąd poczuł do mnie urazę i kazał mi się wynieść. - Hawkins próbował wykonać jakiś ruch, ale opadające spodnie bardzo mu w tym przeszkadzały. - A to, co robię prywatnie, jest wyłącznie moją sprawą!

- Dopóki nie zabawia pan cudzej żony - dodał oschle Ashdowne.

- Tak czy owak - odezwała się Georgiana - nas interesuje w tej chwili naszyjnik lady Culpepper. Jeśli zgodzi się pan go niezwłocznie zwrócić, spróbujemy przekonać właścicielkę, by zrezygnowała z wniesienia oskarżenia.

Hawkins wytrzeszczył na nią oczy. Minę miał tak zdziwioną, że Georgianę ogarnęło jak najgorsze przeczucie. Albo ten człowiek jest wybornym aktorem, albo naprawdę nic nie wie o kradzieży. Ale jeszcze nie chciała przyjąć do wiadomości tej drugiej możliwości.

- Niezaprzeczalnie żywi pan niechęć do lady Culpepper...

Hawkins przerwał jej pogardliwym parsknięciem.

- Nienawidzę wszystkich tych kłamliwych hipokrytów, którzy kłują w oczy swoim bogactwem - powiedział, dyskretnie zerkając ku Ashdowne'owi. - Nie ukradłem jej naszyjnika! Jak mógłbym to zrobić? Przez cały czas byłem na balu i nie wspinałem się po ścianach! Gdyby ktoś mnie spytał o zdanie, to naszyjnika wcale nie skradziono. Ta stara czarownica chce dostać za niego pieniądze z ubezpieczenia, a kamienie sprzedać na sztuki.

Georgiana uświadomiła sobie, że nie pierwszy raz słyszy taką teorię w ustach Hawkinsa. Jako bezstronna osoba, musiała zresztą przyznać, że jego oskarżenie może być słuszne.

Na szczęście w chwili, gdy zaczęła się nad tym zastanawiać, do rozmowy włączył się jej pomocnik.

- Może zechce nam pan dokładnie opowiedzieć, gdzie pan był w czasie kradzieży - poprosił.

Hawkins zerknął na markiza z nie ukrywaną nienawiścią.

- Dlaczego ja, milordzie? W Bath jest mnóstwo innych ludzi. Każdy z nich mógł był dokonać kradzieży. A jednak oskarża pan

właśnie mnie. Dlaczego? Czy to ma być zemsta za moje poglądy na temat arystokracji, czy może jakaś szykana ze strony lorda Fallow? - Rozwścieczony Hawkins wreszcie zdołał zapiąć spodnie. - Ale lord Fallow nie może mnie o nic oskarżyć. W czasie, w którym dokonano kradzieży, byłem z pewną damą w garderobie.

Ashdowne przyjrzał mu się niedowierzająco.

- Naprawdę?

- Naprawdę! - odburknął Hawkins. - Jeśli uważa pan, że kłamię, proszę spytać owej damy. To była pani Howard!

Georgiana otworzyła usta ze zdumienia, dobrze bowiem знаła rzezoną damę, jak również pana Howarda, jej męża. Hawkins nie czuł się jednak ani trochę zakłopotany swoim wyznaniem. Georgiana pomyślała, że wielebny zasługuje co najmniej na chłostę, uzmysłowiła sobie jednak z niesmakiem, że dla Hawkinsa nie byłaby to kara.

- Przepraszam, ale będę wdzięczny, jeśli przestaniecie mnie niepokoić! - Ująwszy się resztkami honoru, wielebny odwrócił się i sztywno ruszył do drzwi, nie zdając sobie sprawy z tego, że z tyłu spodni powiewa mu wystająca koszula.

Georgiana popatrzyła za nim i poczuła, że wzbiera w niej śmiech. Kto by pomyślał, że nadęty duchowny płaci kobietom wątpliwej reputacji za to, by go chłostały? Co za niedorzeczność, pomyślała Georgiana, coraz bardziej rozbawiona.

Jeszcze próbowała się opanować, ale gdy spojrzała na Ashdowne'a, zrozumiała, że nie uda jej się zachować powagi. Gdy tylko drzwi za Hawkinsem się zamknęły, oboje oparli się o siebie i wybuchnęli gromkim śmiechem.

Gdy wreszcie odzyskali spokój, Georgianę nagle opuścił animusz. Skuliła ramiona, jej uśmiech zgasł, a Ashdowne ze zdziwieniem pomyślał, że od razu wokół zrobiło się smutniej, jakby nagle zaszło słońce. Najchętniej czule objąłby Georgianę i przekonał, żeby zapomniała o Hawkinsie i naszyjniku, ale nawet on rozumiał, że salonik mistrzyni pejcza nie jest na to odpowiednim miejscem.

Naturalnie dżentelmen za nic nie powinien dopuścić do tego, żeby dama znalazła się w takiej okolicy, a już na pewno w takim miejscu. Na szczęście Ashdowne nigdy nie myślał o sobie jak o dżentelmenie, dlatego ani trochę nie zawstydził się tym, co zobaczyli. Zresztą prawdę mówiąc, wcale nie zobaczyli tak wiele. Jemu wydało się to przede wszystkim zabawne, tak samo jak Georgianie.

Panna Bellewether nie była damą, którą musiałby chronić przed kontaktami ze światem, tak jak swoją wątłą bratową. Większość dobrze wychowanych i straszliwie nudnych panien przeżyłaby w tej sytuacji głęboki wstrząs i zareagowała oburzeniem. Ale Georgiana lubiła przygody. Chłoneła życie we wszystkich jego przejawach, pragnęła nowych doświadczeń, była żądna wiedzy i szukała tajemnic, które mogłaby odkryć.

Ashdowne drgnął, bo jego myśli trochę zmieniły kierunek. Przypominał sobie, że Georgianie podczas jej poszukiwań przytrafiają się różne katastrofy. Właśnie po to jej towarzyszył, by ją chronić i wspierać. Wprawdzie tym razem fizycznie nic jej nie groziło, ale po przygodzie z Hawkinsem miała prawo czuć się wyczerpana. Jego obowiązkiem było ją pokrzepić.

Dlatego zaprowadził ją do kawiarni i poczęstował najwspanialszymi deserami, jakich nie dane jej było skosztować poprzedniego dnia. Ponieważ jednak zamiast jeść pyszną piankę, bawiła się srebrną łyżeczką, zaczął ją pocieszać.

- To nie była pani wina - powiedział. - Rozumowała pani słusznie. - Rzeczywiście, wielebny nie ukrywał swojej nienawiści do klas wyższych. Wprawdzie zdaniem Ashdowne'a był całkowicie niezdolny do dokonania tak zuchwałej i finezyjnej kradzieży, ale nie dyskredytowało to Georgiany, która prawdopodobnie nie zdawała sobie sprawy z tego, ile talentu, precyzji i umiejętności musiał mieć sprawca.

- Skąd mogła pani wiedzieć, że był wtedy w garderobie? Przecież trzymał to w tajemnicy - dodał.

- To prawda - ponuro przyznała Georgiana, wbijając łyżeczkę w smakowity deser. Zatrzymała jednak rękę i zerknęła z ukosa na Ashdowne'a. - Czy myśli pan, że on skłamał? Czy pani Howard potwierdzi jego wersję?

Chociaż wspomniana dama mogła mieć duże opory przed przyznaniem się do romansu, to Ashdowne uważał za mało prawdopodobne, by Hawkins opowiedział im bajkę.

- Nie sądzę, by wielebny próbował kłamać w taki sposób - powiedział ostrożnie, nie chcąc pogłębić rozczarowania Georgiany. I tak jednak westchnęła wyraźnie zniechęcona, po czym dmuchnięciem odsunęła z czoła kosmyk włosów. Ashdowne z zachwytem przyglądał się ruchowi jej warg.

Złapawszy się na tym, zaczerpnął tchu i zaczął sobie przypominać, co miał powiedzieć. Romans w garderobie? Ach, tak.

- Porozmawiam o tym z panem Jeffriesem, ale podejrzewam, że Hawkins jest po prostu złym duchownym, a nie zuchwałym złodziejem.

A jednak Hawkins ma coś na sumieniu, podobnie jak Whalsey, pomyślał Ashdowne. Naturalnie to nie mogło pocieszyć Georgiany. Dlatego w milczeniu patrzył, jak jego towarzyszka wreszcie doniosła łyżeczkę do ust i skosztowała deseru. Natychmiast zrobiła rozmarzoną minę.

Pomyślał zazdrośnie, że chciałby nastrajać Georgianę podobnie pogodnie jak ten krem. Zresztą z takiego deseru też mógłby mieć pożytek. Gdyby rozsmarował go na jej ciele i... Przełknąwszy ślinę, zobaczył, jak Georgiana oblizuje łyżeczkę. Hm, to też dobry pomysł. Przecież i jego można by tu i ówdzie pokryć kremem...

Raptownie nabrał tchu. Dobrze wiedział, że jego fascynacja panną Bellewether przekroczyła wszelkie granice, nawet te, które sam wytyczył. Nigdy nie zamierzał pozwolić sobie na więcej niż niewinny pocałunek, a już na pewno nie na takie pieszczoty jak w łaźni.

Skrzywił usta na wspomnienie epizodu, którego wcale nie żałował. To było niezwykle przyjemne doświadczenie, choć uczące pokory. W każdym razie chętnie by je powtórzył, bo ilekroć patrzył na Georgianę, odzywało się w nim pożądanie. Jej piersi widział tylko przez chwilę, reszty ciała wcale i dlatego tak bardzo chciał zobaczyć ją całą. Pieszczoty tylko wzmogły jego apetyt.

Gdy Georgianą zlizywała z wargi kropelkę deseru, która spłynęła jej z łyżeczki, Ashdowne'owi zrobiło się gorąco. Uważał się za doświadczonego mężczyznę, znającego tajniki uwodzenia, a jednak niewinna zmysłowość Georgiany całkiem go obezwładniała. Wyrwało mu się nawet ciche jęknięcie.

- Całkowicie się z panem zgadzam. Tego po prostu jest za dużo - powiedziała Georgiana, odsuwając czarkę. Zerknęła na niego i szeroko otworzyła oczy. - Ale pan nawet nie skosztował swojej porcji! No, nie, musi pan to zrobić. - Ku jego rozpaczy wzięła łyżeczkę, zanurzyła ją w kremie i podsunęła mu pod same usta.

To był następny trudny sprawdzian jego wytrzymałości, ale nie potrafił się oprzeć pokusie. Skrzyżował z Georgianą spojrzenia, żeby widziała jego pożądanie, i wolno wyssał smakołyk z łyżeczki. Gdy

Georgianie zadrżała ręka, chwycił ją za nadgarstek i z powrotem zbliżył łyżeczkę do ust, by bezwstydnie zlizać słodkie resztki do ostatniej kropelki. Przez cały czas patrzył prosto w jej niebieskie oczy i widział, jak zasnuwa je mgiełka namiętności.

Nagle wydało mu się, że kawiarnia znika i zostają sami. Wyobraził sobie, że pomaga Georgianie wstać i kosztuje smakołyku słodszy niż krem: jej ust, a potem, centymetr po centymetrze, przesuwając wargi po jej gładkiej, białej skórze... W tej chwili uświadomił sobie, dokąd dryfują jego myśli, i raptownie cofnął rękę.

Łyżeczka z brzękiem upadła na blat stolika i ten dźwięk wyrwał ich z rozmarzenia. Ashdowne przeklinał się w myśli za fatalny błąd. A gdyby ktoś ich zobaczył? Co go naszło, żeby tak się zachowywać w publicznym miejscu? I tak już poważnie przekroczył granice przyzwoitości, zbyt często pokazując się z Georgianą na ulicach Bath.

Niestety, nie mógł wymyślić dla siebie żadnego wytłumaczenia, ponieważ trudno było mu się skupić, gdy znajdował się w towarzystwie Georgiany. Miała w sobie coś takiego, co budziło w nim niefrasobliwość, kazało mu lekceważyć instynkt, ulegać odruchom i pozwalać sobie na znacznie więcej niż wolno.

- Myślę, że już wystarczy - powiedziała, odwracając wzrok, czym piekielnie go zirytowała. Wbrew rozsądkowi nie mógł pogodzić się z jej rejteradą. Chciał wziąć ją do siebie na Camden Place, dać służbie wolne i kochać się z nią na wszystkich możliwych meblach, jakie miał do dyspozycji.

- I co teraz zrobimy? - westchnęła smutno Georgiana. Ashdowne drgnął. Panowanie nad siłami, które pchały ich ku sobie, należało do jego obowiązków. Stanowczo zamknął więc uszy na podszepty wyobraźni i przybrał pozę uważnego słuchacza, mężczyzny honoru, który jest gotów...

- Teraz pan Jeffries już zupełnie nie będzie chciał mi wierzyć - powiedziała Georgiana.

Zaskoczony Ashdowne uświadomił sobie, że Georgiana wcale nie niepokoi ich wzajemny pociąg, lecz to przeklęte śledztwo. Omal nie wybuchnął śmiechem, udało mu się jednak zachować wyraz uprzejmego zainteresowania.

- Jako mężczyzna nie ma pan pojęcia o piętrzących się przede mną przeszkodach - poskarżyła się Georgiana. - Płeć gwarantuje panu minimum szacunku, choćby miał pan najdziwniejsze pomysły.

Tymczasem poważniej niż mnie traktuje się nawet Bertranda, który nie skorzystał z żadnej możliwości zdobycia edukacji, jakie mu się nadarzały!

Chociaż Ashdowne nie wierzył, by ktokolwiek żywił szacunek dla jej ospałego brata, musiał przyznać, że Georgiana ma rację. Źle to świadczyło o całym męskim rodzaju, ale Ashdowne nigdy nie miał wysokiego mniemania o arystokracji.

- Wystarczy jedno spojrzenie i wszyscy, może z kilkoma chlubnymi wyjątkami, widzą we mnie lalkę, płytką istotę, którą podziwia się za wygląd, czyli coś, na co nie mam najmniejszego wpływu. W gruncie rzeczy moja tak zwana uroda jest przekleństwem, a nie darem losu - żaliła się Georgiana.

Ashdowne poczuł, że i on ma swój udział w jej strapieniu. Ogarnęły go wyrzuty sumienia, więc spróbował je zagłuszyć,

- Widzi pani swoją urodę w niewłaściwym świetle, Georgiano - powiedział. - Zawsze buntowała się pani przeciwko niej, zamiast nauczyć się, jak ją wykorzystywać dla swojego dobra.

- A jak? - spytała niepewnie.

Jego wyrzuty sumienia odezwały się ponownie, zostały jednak bezlitośnie zdławione.

- Oddana w ręce dobrej krawcowej, nie miałyby pani konkurentek. W odpowiednich strojach mogłaby pani pokazać się w najlepszym towarzystwie. A gdy wszyscy zaczęliby panią zauważać, dowiodłaby pani swojego rozumu. Niech uroda otworzy przed panią drzwi wielkiego świata, a umysł pomoże jej tam pozostać!

- Co to za drzwi, za którymi są sami dandysi i artretyczne staruchy! - wybuchnęła Georgiana.

- Nie w tej dziurze, tylko w Londynie - odparł Ashdowne, coraz bardziej zapalony do własnego pomysłu. - Tam byłaby pani ozdobą najbardziej elitarnych salonów, gdzie tematy konwersacji nie ograniczają się do ostatnich plotek, lecz obejmują również politykę, sztukę, literaturę. - Wiedział, że miałby wstęp do tych salonów, jeśli nie ze względu na swe dawne zasługi, to na pewno z uwagi na tytuł, a myśl o Georgianie czyniącej zamęt wśród elity intelektualnej bardzo go ożywiła.

Zerknął na nią wyczekująco. Przez chwilę Georgiana przyglądała mu się w skupieniu, prawdopodobnie porwana tą nagłą, płomienną przemową. Mimo woli zatęsknił za jej niepowtarzalnym, niezwykłym

spojrzeniem. Tym razem zasłużył na nie, mógłby przecież się postarać, by zaczęto ją przyjmować w najlepszych kręgach. Ale Georgiana wcale nie patrzyła na niego jak na Boga, przeciwnie, była wyraźnie rozdrażniona.

- Wszystko dobrze, tylko jak, u licha, mam się dostać do Londynu? - spytała. - Taty nie da się namówić na taki wyjazd. On nawet w Bath bez ustanku narzeka, bo brakuje mu tego, do czego jest przyzwyczajony na co dzień. Jest niewolnikiem swoich przyzwyczajeń i nie znosi zmian, nawet na lepsze.

Ashdowne dopiero teraz pojął, jak głupio musiały zabrzmieć jego słowa. Bez wahania założył, że osobiście patronowałby pobytowi Georgiany w Londynie, a przecież naturalnie nie mógłby tego zrobić, ponieważ nie był jej krewnym. Jego entuzjazm raptownie przygasł.

- Bardzo panią przepraszam - bąknął. Poczul się głupio. Gdyby pokazała się w jego towarzystwie, tak jak sobie to wymarzył, byłaby skompromitowana. Niestety, nie umiał sobie wyobrazić, by mógł jej towarzyszyć ktokolwiek inny.

- Czy nie ma pani krewnych w Londynie? - spytał.

- Nie - odparła.

- Zupełnie nikogo, kto mógłby udzielić pani gościny? - I nie jest mną, dokończył w myśli.

Zrobiła jedną ze swoich uroczych min i głęboko się nad czymś zastanawiała. Jak miał nie ulec jej czarowi?

- No, mieszka w Londynie mój wuj Silas Morcombe - przyznała w końcu.

Ashdowne poczuł ulgę.

- Może wuj zgodziłby się zaprosić panią w odwiedziny?

- podsunął jej myśl.

Georgiana znów się zadumała.

- Może - potwierdziła w końcu. - Wątpię, czy mama by się na to zgodziła, bo ona uważa go za niedołęznego starca i obawiałaby się, że wuj nie zachowa niezbędnych form. Stary kawaler, pan rozumie. Nie interesuje go nic oprócz jego badań. Nie sędzę, żeby chciał chodzić ze mną po salonach, nawet gdyby miał na to czas.

Wsparłszy podbródek na dłoni, ciężko westchnęła. Ashdowne poczuł, że kraje mu się serce.

- Nie - uznała. - Lepiej byłoby, gdybym zdobyła sławę. Wtedy inni szukaliby mojego towarzystwa. Gdybym na przykład wyjaśniła

sprawę kradzieży u lady Culpepper, wreszcie zyskałabym zasłużony szacunek. Przyznano by, że jednak miewam rację, a przede wszystkim mogłabym wreszcie zacząć robić użytek ze swoich zdolności.

Oczy Georgiany przybrały rozmarzony wyraz.

- Bo widzi pan, chciałabym zostać kimś w rodzaju doradcy, do którego ludzie z całego kraju przyjeżdżają z trudnymi, zagadkowymi sprawami - powiedziała cicho i nastrój Ashdowne'a prysł.

Początkowo starania Georgiany, by wyjaśnić kradzież naszyjnika lady Culpepper bardzo go śmieszyły, potem stały się dla niego źródłem świetnej zabawy, a nawet urzeczenia. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że panna Bellewether pragnie czegoś więcej niż tylko uznania, jakie dałoby jej schwytanie sprawcy. Dopiero teraz zrozumiał, że chodzi jej o urzeczywistnienie największego życiowego marzenia.

Tym razem nie potrafił zagłuszyć wyrzutów sumienia. Gorączkowo szukał drogi wyjścia z galimatiasu, który był o wiele bardziej skomplikowany niż wszystkie dotychczasowe zagadki Georgiany razem wzięte. Próbował sobie tłumaczyć, że spełnienie jej marzeń wcale nie zależy od znalezienia sprawcy kradzieży u lady Culpepper. Wiedział, że będą jeszcze inne sprawy, choć pewnie nie tak głośne, zwłaszcza że była mowa o prowincjonalnym Bath.

Ale w Londynie? Może jednak udałoby mu się skłonić tego wuja lub kogokolwiek innego do zaproszenia Georgiany?

Wprowadzeniem jej do towarzystwa mógłby obarczyć bratową, lecz niestety nie miał przekonania do tej nudnej istoty. A myśl o zagubionej Georgianie, zdanej na łaskę salonowych bywalców, była zbyt okropna, by w ogóle ją rozważać. Nie mógłby też z czystym sumieniem oddać jej bezpieczeństwa w ręce jakiegoś uczonego staruszka, który za nic ma towarzyskie konwenanse.

W gruncie rzeczy opiekę nad Georgianą mógł powierzyć z pełnym zaufaniem wyłącznie sobie samemu. Gdy to sobie uświadomił, zaczął snuć najbardziej fantastyczne projekty, jeden bardziej szalony od drugiego, chociaż z zachowaniem reszty zdrowego rozsądku.

Wkrótce Georgiana zwróciła uwagę na przedłużające się milczenie i spojrzawszy na markiza, drgnęła zaskoczona.

- Ojej, pan też się martwi! Zupełnie nie pomyślałam, że powinnam wziąć pod uwagę również pańskie rozczarowanie. - Współczująco poklepała go po przedramieniu.

Ponieważ zaś Ashdowne nie mógł sformułować ani jednej spójnej myśli, po prostu niedbale przytaknął, byle tylko jak najszybciej wrócić do domu i trochę uporządkować ten chaos, który miał w głowie. Jedno wiedział na pewno: potrzebował samotności, bo nie był w stanie jasno myśleć, gdy patrzył w pewne niewyobrażalnie błękitne i przejrzyste oczy.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ashdowne wciąż był lekko oszołomiony, gdy po odprowadzeniu przygnębionej Georgiany do rodziców dotarł do swego domu na Camden Place. Mimo że dziarsko maszerował, a powietrze było rześkie, nie udało mu się uporządkować myśli. Czuł się tak, jakby poraził go piorun. Albo tak jak człowiek, który musi wybrać między zdrowym rozsądkiem a kłębowiskiem obłądnych pomysłów, pomyślał kwaśno.

- Muszę się czegoś napić - zawołał do Finna, gdy przestąpił próg gabinetu. Potem opadł na jeden z twardych foteli, tym razem jednak wyjątkowo nie zwrócił uwagi na niewygodę mebla.

- Służę, milordzie. - Finn, który zjawił się w pokoju tuż za nim, zamknął drzwi i podszedł do kredensu, zerkając przez ramię na chlebodawcę. - A co z panienką? Czyżby milord zostawił ją sam na sam z jej niezwyklejmi pomysłami?

Ashdowne zmarszczył czoło. Do tego stopnia był pochłonięty własnymi myślami, że zapomniał o irytującym zwyczaju Georgiany, która natychmiast ściągająca na siebie kłopoty, gdy tylko zostawiał ją bez opieki.

- Tymczasem zabrakło jej podejrzanych - mruknął, bardziej dla uspokojenia samego siebie niż zaspokojenia ciekawości kamerdynera.

Finn bez słowa przeszedł przez pokój i podał markizowi kryształowy kieliszek. Ashdowne burknął słowa podziękowania, wziął naczynie i zapatrzył się w trunek, jakby szukał tam odpowiedzi na swoje pytania. Nie znalazł jej jednak, więc po prostu zrelacjonował rozbawionemu Finnowi popołudniowe spotkanie z mistrzynią pejcza.

Gromki śmiech Irlandczyka był odprężający, ale zmieszanie Ashdowne'a musiało się rzucać w oczy, bo kamerdyner szybko się opanował i zmierzył chlebodawcę przenikliwym wzrokiem.

- Milord powinien był pozwolić wielebnemu wziąć na siebie winę - powiedział.

- Jaka? Kradzież? - spytał Ashdowne. - Wielebny nie ma na sumieniu nic poza niepopularnymi poglądami. Nawiasem mówiąc, nie myli się, że większość eleganckiego towarzystwa to banda hipokrytów. - Zatrzymał wzrok na Finnie. - Czy wiesz, jakie przypuszczenie wyraził? Że naszyjnika lady Culpepper w ogóle nie skradziono, tylko pocięto go na kamienie, żeby zainkasować ubezpieczenie.

- Naprawdę powiedział coś takiego? - zamyślił się Finn. wymienili znaczące spojrzenia. - Ale co z panią, milordzie? Ona na pewno wkrótce znajdzie sobie nowego podejrzanego.

- Może wreszcie straci zainteresowanie dla tej sprawy - wyraził nadzieję Ashdowne.

Finn podrapał się po brodzie.

- Nie sądzę, milordzie. Ona bardzo się upiera przy prowadzeniu tego śledztwa.

- To prawda - przyznał Ashdowne. Pomyślał z żalem, że Georgiana zrobiłaby lepiej, gdyby darzyła namiętnością jego, a nie jakieś przekłete zagadki kryminalne. Złapawszy się jednak na tej myśli, przeżył prawdziwy wstrząs. A więc upadł już tak nisko, że jest zazdrosny o zainteresowania panny Bellewether! Ile jeszcze brakuje mu do dna?

- Chyba że milord zajmie ją czymś ciekawszym - podsunął myśl Finn,

- Tak, ale... - zaczął Ashdowne i aż drgnął, bo kamerdyner serdecznie klepnął go po plecach.

- Oto potrzebna odpowiedź, milordzie - powiedział radośnie. - Ufam w zdolności milorda.

Ashdowne uśmiechnął się blado. Było mu przyjemnie, że Finn pokłada w nim zaufanie, ale prawdę mówiąc, nie był pewien, czy cokolwiek może zająć Georgianę na dłużej. Mężczyzna, który podjąłby się tego trudnego zadania, musiałby mieć niespożyte siły...

- Czy mam ją obserwować, póki milord nie będzie mógł osobiście dopilnować, by zajęła się ciekawszymi sprawami? - spytał Finn.

- Tak, dziękuję - mruknął Ashdowne, znów poważnie zakłopotany. Zawsze uważał się za światowca, miał za sobą niejednego romans, dlatego więc myśl o wynajdywaniu zajęć Georgianie tak bardzo go podniecała? Westchnął i skierował myśli ku innym problemom, które dręczyły go w równym stopniu.

Ledwie zauważył odejście Finna. Rozmowa z kamerdynerem i kieliszek porto też nie pomogły mu uporządkować pogmatwanych myśli. Nie kończące się wątpliwości bardzo go przygnębiały, zawsze bowiem miał zwyczaj myśleć precyzyjnie i metodycznie. Dawniej staranne planowanie stanowiło jego rację istnienia, teraz miał takie

wrażenie, jakby pewna drobna jasnowłosa panna jednym potrząśnięciem loków zamieniła jego życie w chaos.

Owszem, dyszał głos zdrowego rozsądku, który nawoływał go do opamiętania się, lecz wiedział, że już na to za późno.

Noc spędzona na rozważaniach przywróciła Ashdowne'owi równowagę, choć niekoniecznie zdrowy rozsądek. Rankiem wiedział już, czego chce, ale całe jego ciało buntowało się przeciwko tej decyzji. No, może nie całe, i to sprawiało, że wciąż się wahał. A nawet gdyby nie miał wątpliwości, to i tak nie należał do ludzi, którzy łatwo decydują się na ryzykowny krok. Część jego osobowości nie była na to gotowa, jeszcze inna zaś przestrzegała przed ujawnianiem wszystkich sekretów.

Naturalnie dostrzegął ironię sytuacji, ale wiedział też, że sprawy zaczynają się toczyć swoją drogą. Mimo że protestowała przed tym jego wyrachowana natura, poszedł do domu Georgiany i namówił załamana pannę detektyw na przejażdżkę powozem. Jednocześnie mężnie odparł ataki młodszych sióstr, które chciały skorzystać z okazji.

Zwolennicy ścisłego przestrzegania etykiety zapewne nie pochwalaliby tego, że Ashdowne wybiera się na przejażdżkę kariolką sam na sam z dobrze wychowaną młodą damą, ale oboje z Georgianą ostatnio tak bardzo przywykli do łamania wszelkich konwencji, że Ashdowne nawet nie pomyślał o przyzwoitce. Zresztą trudno byłoby im omawiać ulubiony temat panny Bellewether, czyli śledztwo, gdyby jeszcze ktoś z nimi pojechał. Tak przynajmniej Ashdowne próbował opanować swój niepokój, na cel przejażdżki wybrał bowiem pewien zaciszny, podmiejski lasek.

W dodatku ojciec Georgiany, czy to przez brak zdrowego rozsądku, czy z powodu optymistycznego przeświadczenia, że córka jest bliska arystokratycznego tytułu, okazał się dostatecznie naiwny, by powierzyć Georgianę opiece markiza. Chociaż jowialna dobroduszość Bellewethera była Ashdowne'owi na rękę, mimo wszystko irytowało go, że squire nie troszczy się dostatecznie o dobro córki.

Przysiągł sobie, że gdy sam będzie miał córkę, zapewni jej o niebo lepszą opiekę. O dziwo, wizja poczęcia dziecka nie wydawała mu się już tak obca jak dawniej. Wyobraził sobie gromadkę dziewczynek ze złocistymi puklami, siedzącą na trawniku przed

rodową rezydencją Ashdowne'ów, i uśmiechnął się, nie zwracając uwagi na wewnętrzny głos, który go ostrzegał przed takimi zgubnymi marzeniami.

Pomógł Georgianie wsiąść do kariolki, potem zajął miejsce obok niej i odetchnął z ulgą, że nie będzie musiał spędzić całego ranka przed domem Hawkinsa w oczekiwaniu na wyjście wielebnego. Co więcej, mimo że starał się panować nad swoimi uczuciami, pozwalał coraz wyraźniej dochodzić do głosu radosnej nadziei na miłe przedpołudnie tylko z Georgianą.

Wkrótce jednak zrozumiał, że sprawa kradzieży naszyjnika wciąż ich dzieli, dziewczyna siedziała bowiem obok niego w ponurym milczeniu, minę miała kwaśną, a ramiona skulone. Gdy wsparła podbródek na dłoni, Ashdowne uznał, że jeszcze nigdy nie widział kobiety tak głęboko rozczarowanej jego towarzystwem. Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Jak zwykle, gdy chodziło o Georgianę.

Taka czy inna, ale zawsze interesująca, pomyślał z uśmiechem, chociaż przykro było mu patrzeć na jej przygnębienie. Chociaż próbował zwracać jej uwagę na ciekawe budynki w Bath i starał się prowadzić lekką konwersację, w żaden sposób nie mógł jej pocieszyć. Wreszcie zaczął się zastanawiać, czy nie powinien podsunąć Georgianie nowego podejrzanego. Pomysł był naturalnie niedorzeczny, ale tylko lęk przed trafieniem do zakładu dla obłąkanych powstrzymał Ashdowne'a przed jego urzeczywistnieniem.

Ku jego zachwytowi, Georgiana znacznie się ożywiła, gdy droga zaczęła wic się wśród wzgórz otaczających miasto. Zresztą i jemu spodobały się świeża zieleń i wysokie dęby. Wreszcie zatrzymał kariolkę, przywiązał konie do drzewa, zdjął rękawiczki i rozłożył płaszcz na trawie. Zaprosił Georgianę, by usiadła, ją jednak urzekł widok miasta w dole.

- Pięknie, prawda? - powiedział cicho, gdy stanął za nią. Georgiana mruknęła coś na znak potwierdzenia, a potem wskazała jasne, kamienne budynki w oddali.

- Niech pan spojrzy, jak dobrze widać domy! - Pochyliła się do przodu i zmrużyła powieki, jakby chciała skupić wzrok na wybranym budynku. Nagle odwróciła się do niego bardzo podekscytowana. - Ciekawa jestem, ile z tego, co robią tam ludzie, można zobaczyć przez lunetę.

Ashdowne na chwilę osłupiał, a potem wybuchnął szczerym śmiechem. Tylko Georgiana mogła zupełnie nie zwrócić uwagi na romantyczny nastrój tego miejsca i skupić myśli na tak praktycznym zagadnieniu. Gdyby nie była taka zabawna, chyba by się obraził. Żadna inna kobieta nie pomyślałaby o tym, co dzieje się w mieście, zostawszy z nim sam na sam w leśnym ustroniu. Ale prawdę mówiąc, żadna inna kobieta nie szukała wszędzie podejrzanych.

Niezwykłe zainteresowania Georgiany były zarazem fascynujące i denerwujące. Ashdowne bardzo chciał, żeby przynajmniej raz pomyślała o nim, a nie o swoim śledztwie.

- W Bath, oprócz tej kradzieży, musi być chyba jeszcze coś, co może panią zainteresować - powiedział kwaśnym tonem.

- Owszem, ale ta kradzież nie daje mi spokoju. Mam wrażenie, że na coś nie zwróciłam uwagi - odrzekła w zadumie.

Markiz musiał skupić całą uwagę na okiełznaniu palącego pożądanego. Wprawdzie od dawna pokazywał światu maskę obojętności, lecz zawsze bardzo dobrze wiedział, co się dzieje dookoła niego. Musiał wiedzieć. Gdyby nie planował wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, skończyłoby to się dla niego klęską. Nigdy dotąd nie pozwolił, by cokolwiek oderwało go od jego planów, a tymczasem odkąd poznał pannę Bellewether, rzeczywistość coraz bardziej wymykała mu się z rąk.

Tak jak teraz.

Czuł się jak Achilles, któremu skradziono sandały, albo Samson proszący Dalilę, by go ostrzygła. Złowrogie przeczucie, że Georgiana przyniesie mu zgubę, kłóciło się jednak z nadzieją, że jest wręcz przeciwnie, że Georgiana stanie się jego zbawieniem. Naprawdę już nie wiedział, co jest dla niego dobre. Kusilo go, żeby poddać się nieznannej sile i pozwolić jej się unieść.

Stanąwszy za Georgiana, natychmiast wyczuł delikatny aromat jej włosów. Położył jej ręce na ramionach i przez chwilę czuł nawet, jak ich ciała się stykają, zaraz jednak Georgiana raptownie się odsunęła i spojrzała na niego z wyrzutem.

- O ile pamiętam, mieliśmy zająć się śledztwem - powiedziała, nieco zaróżowiona na twarzy.

- Prawdę mówiąc, myślałem raczej o czymś bardziej trwałym - odparł Ashdowne, wyciągając ku niej ramiona.

Puściła mimo uszu to stwierdzenie i cofnąwszy się kilka kroków, wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała go zatrzymać w przyzwoitej odległości. Ashdowne radośnie się uśmiechnął na widok jej spłoszonej miny. Jeszcze żadna kobieta nie odrzuciła jego zalotów, a tym bardziej nie broniła się przed nimi, ale opór Georgiany tylko podsycał jego pragnienie. Naturalnie nie zamierzał stosować siły, dobrze jednak wiedział, że Georgianę do niejednego łatwo jest namówić.

- Nie! Niech pan nie podchodzi bliżej - sprzeciwiła się, jakby przejrzała jego plan. - Płaczą mi się myśli, kiedy pan jest za blisko, - Ashdowne najchętniej pocałowałby ją w uroczą, nadąsaną buzię, ale gdy chciał dotknąć jej policzka, przeszkodziła mu. - I niech pan mnie nie dotyka! - dodała.

Musiał bardzo się starać, by przybrać niewinny wyraz twarzy.

- A gdybym wziął panią za rękę? Tylko tyle.

- No, może...

Zanim zdążyła odpowiedzieć, wykorzystał jej wahanie i postawił ją przed faktem dokonanym. Jednocześnie spojrzał na nią zdziwiony, tak jakby nie wiedział, skąd się wzięła jej nagła nieufność. Ale Georgiana pozostała czujna i cały czas miała minę, która mówiła mu, że przejrzała jego zamiary.

- Zgoda, ale tylko za rękę - powiedziała bez entuzjazmu. Ashdowne wesoło się roześmiał. Nigdy nie był uwodzicielem szukającym szczęścia z młodymi, niewinnymi pannami, ale ta gra z Georgianą była doprawdy pasjonująca. Raz już udało mu się ją zachęcić do bardzo intymnych pieścizot i był przekonany, że uda mu się to ponownie. Spojrzał w jej błękitne oczy i zobaczył, że dziewczyna zdaje sobie sprawę z jego mocy.

Nie zamierzał się śpieszyć. Mógłby ją wtedy spłoszyć, więc po prostu stał i całkiem niewinnie trzymał ją za rękę. Po chwili zaczął przesuwając kciukiem po miękkiej skórcie rękawiczek, choć nie mógł się doczekać, by poczuć pod palcami dotyk gładkiej dłoni.

Przypomniał mu się ich wieczór w łaźni. Pod wpływem tego wspomnienia uniósł rękę Georgiany do ust i pocałował nadgarstek tak, jakby wargami chciał wyczuć puls. Gdy potem spojrzał jej w twarz, panna Bellewether miała zaróżowione policzki i błyszczące oczy.

Pochylając głowę, ujął zębami koniuszek rękawiczki i lekko za niego pociągnął. Georgianą gwałtownie nabrała tchu, a on tymczasem

obnażył jej dłoń. Potem zaczął zdejmować drugą rękawiczkę. Robił to wolno i dokładnie, jakby odprawiał rytuał.

Gdy rękawiczka spadła na ziemię, westchnął i wtulił usta w dłoń Georgiany. Owionął go jej delikatny zapach. Przesunął koniuszkiem języka po wnętrzu dłoni, rysując na nim kółeczka. Potem zaczął obwodzić językiem palce, nie omijając ani jednego zagłębienia.

Wreszcie podniósł głowę, pochwycił spojrzenie Georgiany i objął wargami najmniejszy palec. Wessał go do ust, przyglądając się, jak błękitne oczy Georgiany zasnuwają się zmysłową mgiełką. W zaciszu lasu było teraz słycać tylko ich płytkie oddechy. Dotarłszy do końca palca, delikatnie ujął zębami paznokieć. Georgiana cicho westchnęła i nagle się zachwiała.

Podtrzymał ją i ułożył na rozpostartym płaszczu. W głowie mu szumiało, pragnienie oładnęło nim bez reszty, choć przecież nie zrobił nic takiego, tylko pieścił jej dłoń. Z cichym pomrukiem znalazł się nad nią, chcąc jak najszybciej nacieszyć się również resztą jej ciała.

Coś jednak go powstrzymało.

Zawisł nad nią, oparty na łokciach, spojrzał jej w twarz i znieruchomiał. Policzki miała ślicznie zarumienione, wargi rozchylone, głowę odchyłoną do tyłu. Nie ulegało wątpliwości, że pożąda go tak samo jak on jej. Ale oczy miała zamknięte.

- Georgiano, popatrz na mnie - zażądał.

Zatrzepotała rzesami i przez chwilę widział piękny, zamglony błękit, zaraz jednak powieki znowu opadły. Ashdowne czekał zawieszony o centymetry nad nią, pragnął jej, wiedział, że wystarczy mu tylko nieco ugiąć ramiona i...

Nie zrobił tego. Z jękiem przesunął się w bok, zasłaniając twarz ramieniem. Łatwo mógłby ją wziąć, mógłby nawet dać spełnienie im obojgu, nie naruszając dziewictwa Georgiany. Czułby się wtedy oszustem, bo przecież pozbawiłby ją możliwości wyboru. To było niedorzeczne, ale chciał, żeby Georgiana kochała się z nim, mając szeroko otwarte oczy, żeby radośnie witała go w sobie i chciała być jego bez względu na wszystko. Bez względu na to, co ich dzieliło.

Gdy to wszystko sobie uzmysłowił, znowu jęknął, myślał bowiem już prawie tak samo pokrętnie jak Georgiana! Najpierw zaczął ją rozumieć, co powinno być dla niego poważnym ostrzeżeniem. Teraz na domiar złego udzielił mu się jej sposób myślenia - dziwny,

zawikłany i pozbawiony sensu dla każdego, kto ma choć trochę zdrowego rozsądku. Cicho zaklął pod nosem, usiadł na ziemi, a potem wstał i wbił wzrok w panoramę Bath.

- Ashdowne? - Georgiana dotknęła ręką jego ramienia, ale nie ufał sobie na tyle, by na nią spojrzeć. Co zobaczyłby w jej oczach? Namiętność czy sprzeciw?

- Miałem tylko wziąć panią za rękę, pamięta pani? - powiedział tak lekko, jak tylko był w stanie. - Nic więcej. - Teraz mógł się już do niej odwrócić. Jego twarz przybrała dawno wyćwiczony obojętny wyraz.

- Ashdowne? - Chciała coś powiedzieć, ale jej słowa zagłuszył podmuch wiatru. Zaraz potem usłyszeli odgłos zbliżających się koni. Oboje odwrócili się ku ścieżce i zobaczyli dwa niewielkie koniki pociągowe, zaprzęgnięte do czegoś, co wyglądało jak wózek przerobiony na bryczkę.

- O, jesteś!

Ashdowne poznał te głosy, ale trudno mu było uwierzyć w to, co słyszą jego uszy i widzą oczy. Zaprzęgiem domowej roboty powożonym przez Bertranda zbliżały się ku nim obie siostry Georgiany.

Znieruchomiał na chwilę, by podziękować niebiosom za to, że nie robią z Georgiana nic zdrożnego, a tymczasem wózek stanął. Siostry Georgiany w falbaniastych sukniach, pod dopasowanymi kolorystycznie parasolkami, każda z obowiązkowym wachlarzem zbliżały się ku nim, popiskując i chichocząc.

- Długo cię szukaliśmy! - zaszczębiotała z wyrzutem Araminta. - Na szczęście panna Simms powiedziała nam, że pojechałaś w tę stronę.

- Mama nas przysłała, żebyśmy cię zabrały! - dodała Eustacja, zerkając kątem oka na Ashdowne'a. Miało to być bardzo oskarżycielskie spojrzenie, ale wypadło dość komicznie.

Bertrand, jak zwykle, nie odezwał się ani słowem. Niewątpliwie roztrwonił na poszukiwania swoje skąpe zapasy energii, które ocaliłby, gdyby spokojnie siedział w pijalni.

Georgiana naprawdę nie wydawała się z nimi spokrewniona. Zerknęła ku rodzeństwu, potem przeniosła wzrok na Ashdowne'a, jakby się wahała, aż wreszcie skinęła głową w stronę wózka.

- Wyraźnie jest pani pożądana - powiedział Ashdowne i zauważył, że rumieniec Georgiany jeszcze się pogłębił. Naturalnie przeżył zawód, ale musiał przyznać, że pani Bellewether ma więcej zdrowego rozsądku niż jej mąż. Georgiana zaś była dostatecznie rozsądna, by wycofać się w porę.

- Chyba musimy się rozstać - powiedziała, chociaż wcale nie wydawała się zachwycona wizją powrotu z rodzeństwem. Gdy pochyliła się ku niemu, jakby chciała się z nim czule pożegnać, Ashdowne wstrzymał oddech.

- Szkoda. Myślałam, że może znajdziemy pana Jeffriesa i sprawdzimy, czy nie dowiedział się czegoś, co rzuca nowe światło na sprawę.

Ostłupiał. Po tym, co wydawało mu się niezapomnianym przeżyciem, Georgiana nadal myślała tylko o swoim piekielnym śledztwie. To była dla niego poważna plama na honorze. Jeszcze raz zrozumiał, jakie miejsce wyznaczyła mu Georgiana w swoim świecie. Ponieważ spoglądała na niego znacząco, spróbował się dostosować do jej oczekiwań.

- Spotkajmy się po lunchu w pijalni i wtedy zobaczymy, co się da zrobić - powiedział. Skinęła głową, a on przesłał jej uśmiech. - Niech pani postara się unikać kłopotów, kiedy mnie nie ma w pobliżu - powiedział i czule dotknął jej nosa. Na tyle mógł sobie pozwolić.

Jeszcze raz skinęła głową i po kilku minutach pożegnań Ashdowne patrzył śladem wózka Bellewetherów, znikającego na stoku wzgórza. Wkrótce zapadła cisza. Markiz westchnął i rozejrzał się dookoła, ale widok jakoś przestał go cieszyć. Wziął więc płaszcz z ziemi i wtedy zauważył obok zgubioną rękawiczkę z kozłej skórki. Podniósł ją i w zadumie przesunął między palcami.

Rękawiczka Georgiany. Schował ją do kieszeni i wsiadł do kariolki. Powiedział sobie, że odda zgubę tego popołudnia, wiedział jednak, że się okłamuje. Nigdy nie był sentymentalny, lecz mimo to za nic nie oddałby tej rękawiczki. Zmarszczył czoło, bo nie potrafił zrozumieć swego postępowania.

Wciąż wisiała nad nim klątwa, która musiała przywieść go do zguby.

Już, już wydawało się Ashdowne'owi, że w końcu zdołał się skupić na treści listu od rządcy, gdy do drzwi zapukał Finn, mimo że miał surowo przykazane, by nie przeszkadzać. Znając niechęć

Irlandczyka do nużących obowiązków markiza, Ashdowne podejrzał, że kamerdyner wymyślił jakąś ważną sprawę.

- Lepiej, żeby tak istotnie było - mruknął, gdy pozwolił Finnowi wejść.

- Dama z wizytą, milordzie - oznajmił beznamiętnie kamerdyner.
- Zgodnie z pouczeniem, wprowadziłem ją do salonu.

Ashdowne, który ostatnio spędzał bardzo dużo czasu na rozmyślaniach o Georgianie, zerwał się na równe nogi. Przecież ją ostrzegał, by nie przychodziła do jego rezydencji. Ale ona nigdy go nie słuchała. Nigdy. A ponieważ nie mógł jej darować zawodu, jaki przeżył tego ranka, postanowił dać jej nauczkę. Zaciśnął zęby i z chmurną miną ruszył wielkimi krokami do salonu. Na progu przystanął, żeby zapobiec ucieczce winowajczyni w razie, gdyby przestraszyła się groźby.

- Lepiej, żeby był z panią Bertrand, bo jeśli nie, to już pani nie żyje - syknął. Nigdy nie krzyczał i rzadko okazywał gwałtowne uczucia, ale Georgiana wyprowadziłaby z równowagi świętego.

Dopiero wypowiedziawszy te słowa, zauważył nieład panujący w salonie. Na podłodze piętrzyły się kutry i pudła, pod ścianą przycupnęła służąca, a kobieta, stojąca plecami do niego, nerwowo odwróciła się w jego stronę. Ku swemu przerażeniu zorientował się, że to wcale nie jest Georgiana. Była wyższa, smuklejsza i miała ciemne włosy.

Zły na cały świat, rozpoznał Anne, żonę swego zmarłego brata. Wpatrywała się w niego wielkimi, piwnymi oczami, wargi jej drżały, krótko mówiąc, wyglądała tak, jakby w każdej chwili miała zemdleć. Znał Anne i wiedział, że jest to bardzo realna możliwość, dlatego musiał szybko temu przeciwdziałać.

- Anne! Bardzo panią przepraszam - powiedział, ale gdy zrobił krok w jej stronę, niezręcznie się cofnęła, jakby markiz budził w niej lęk. Niestety, świat zawsze wydawał jej się dość przerażający. Ashdowne'owi nigdy nie udało się jej przekonać, że powinna nieco zmienić swe zapatrywania w tej kwestii.

- Co pani tu robi? - spytał zdumiony, że zdecydowała się na długą samodzielną podróż. Anne nigdy nigdzie nie jeździła, dopóki markiz, znużony jej przedłużającym się pobytem w rodowej siedzibie Ashdowne'ów, nie wysłał jej do krewnych w Londynie, co zresztą doprowadziło do katastrofy. Po powrocie Anne przysięgła, że nigdy

więcej nie ruszy się na krok z domu. Mimo to ponad wszelką wątpliwość stała w jego salonie i nawet nie zapowiedziała wcześniej swego przyjazdu.

Widać jednak było, że już gorzko żałuje swojej decyzji.

- Och, wiedziałam, że nie powinnam przyjeżdżać - szepnęła swym ledwie słyszalnym głosem. Zanim Ashdowne zdołał ją skłonić do dalszych wyjaśnień, załapała się łzami i wybiegła z pokoju, zostawiwszy tam pokojówkę, która przesłała mu gniewne spojrzenie.

Rzecz jasna odkąd Ashdowne odziedziczył tytuł markiza, przestał być beztroskim, czarującym młodzieńcem, lecz mimo to nigdy nie zdarzyło mu się, by na jego widok kobiety z płaczem uciekały z pokoju. Natomiast Anne robiła to często. Początkowo składał jej nadmierną wrażliwość na karb żałoby. W końcu jednak znużył się tymi waporami i wysłał ją do Londynu, czego później nie mógł sobie darować.

Teraz wiedział już, że po Anne nie można się spodziewać niczego innego oprócz lęku przed wszystkim i wszystkimi, dlatego ciężko westchnął, widząc pokojówkę opuszczającą pokój śladem swej pani. Wyglądało na to, że zamiast załatwić korespondencję, będzie musiał poświęcić resztę przedpołudnia na pocieszenie swej wątlej, acz irytującej bratowej. Był to jeden z bardziej uciążliwych obowiązków głowy rodziny.

- I co? - spytał Finn, wtykając głowę do salonu.

Ashdowne wzruszył ramionami i spiorunował Irlandczyka wzrokiem.

- Mogłeś mnie ostrzec - burknął. Zerknął na zegar i skierował się ku schodom. Wkrótce miał spotkać się z Georgianą w pijalni i choćby się waliło, nie zamierzał tam przyjść spóźniony. Musiał z nią poważnie porozmawiać, niestety również na temat nieszczęsnego śledztwa w sprawie kradzieży u lady Culpepper.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Georgiana drżała. Chodziła po pokoju z kąta w kąt i usiłowała skupić myśli, lecz na próżno. Od powrotu do domu wciąż wpatrywała się w swoje drżące palce, jakby nie należały już do niej.

Należały do Ashdowne'a.

Wydawało się nie mieć najmniejszego znaczenia, że nigdy nie wierzyła w takie romantyczne porywy. I chociaż nie chciała się do tego przyznać, czuła się głęboko poruszona, rozpalona, oszołomiona. Krótko mówiąc, miała wszystkie objawy kobiety, która uległa fali uczuć, na jakie podatna jest płeć piękna. Georgiana nie potrzebowała talentów detektywa, by zrozumieć, że markiz pożąda nie tylko jej rąk.

Był niebezpiecznie blisko od zawładnięcia jej sercem.

W sprawie takiej kradzieży Georgiana stanowczo nie życzyła sobie prowadzić śledztwa. Była praktyczną, młodą kobietą, którą interesuje analizowanie istotnych faktów, a fakty w tej sytuacji wskazywały na jedno: Ashdowne jest markizem, a zatem znajduje się poza jej zasięgiem. Ten absurdalny pociąg między nimi mógł tylko przywieść ją do zguby, dlatego musiała położyć mu kres.

Ale co innego wiedzieć, co innego móc, dlatego Georgiana biła się z myślami i chodziła w kolko, niezdecydowana, co ma robić dalej. W jednej chwili postanawiała nie iść na spotkanie w pijalni, zaraz potem ze smutkiem dumiała o tym, że nie zobaczy Ashdowne'a. Prawdę mówiąc, wcale nie chciała go zobaczyć, ale - o, ironio! - nie mogła się doczekać, kiedy to się stanie. Nie potrzebowała go... ale musiała dalej żyć i oddychać. A co najgorsze, nigdy przedtem nie przeżywała takich wahań! Ashdowne zrobił z niej kobietę, obdarzoną najbardziej żalonymi atrybutami swojej płci: brakiem logiki, rozbuchaną uczuciowością i romantyzmem.

Dla Georgiany wytworne damy były w zasadzie nierozumnymi istotami, które poruszają wachlarzami i zamartwiają się o falbanki, suknie i podobnie nieistotne rzeczy. Zawsze bardziej interesował ją świat celnych myśli, chciała rozumować właśnie tak jak mężczyźni. Gdy przemykało jej przez głowę, że mogłaby w czymś przypominać swoje siostry, wzdrygała się z przerażenia.

Mimo to nie mogła opanować euforii. Prawda była bowiem taka, że uwielbiała towarzystwo Ashdowne'a. On jej słuchał. Przy nim się śmiała. On grał na jej ciele jak na idealnie nastrojonych skrzypcach. Georgiana smutno zmarszczyła czoło, opadła na krzesło i wsparłszy

głowę na dłoniach, zaczęła dumać, jak bardzo mimo wszystko pociąga ją bycie kobietą.

Twarz i krągłości, na które zawsze narzekała, teraz wydawały jej się błogosławieństwem, markiz bowiem potrafił zamienić je w narzędzie rozkoszy. A jej serce, ta najbardziej kobieca część ciała, wyczyniało przy nim dziwne harce. Tak więc długie chwile nerwowego chodzenia po pokoju i gorączkowych rozmyślań okazały się na nic. Rozum ją zawiódł. Ciężko westchnąwszy, Georgiana poddała się fali uczuć i pozwoliła sercu zaprowadzić się do pijalni na spotkanie z mężczyzną, który tak bardzo ją odmienił.

Nie musiała długo szukać Ashdowne'a, bo usłyszała o jego obecności natychmiast, gdy przekroczyła próg. Przeżyła chwilę irytacji, że nie zachował więcej ostrożności. Gdyby włożył przebranie, tak jak proponowała, gdyby nie był bogatym, przystojnym arystokratą... no, ale wtedy nie byłby Ashdowne'em i jej zainteresowania na pewno skierowałyby się w inną stronę. Och, zdradliwe serce, ty zgubo kobiet!

Rozdrażniona swoimi kobiecymi słabościami, zaczęła przeciskać się przez tłum, często jednak przystawała, by posłuchać rozmów, tak jak miała w zwyczaju. Tym razem jednak nie była zadowolona z tego, co wpadało jej w ucho. Rozmawiano przede wszystkim o markizie. O nim i jego bratowej.

Jego bratowej? Rano, gdy Ashdowne bawił się jej dłonią, słowem nie wspominał o rychłym przyjeździe krewnej! Georgiana ze złością skubnęła rękawiczkę, ale doszła do wniosku, że może nie było okazji o tym porozmawiać. Mimo wszystko nie rozumiała jednak, dlaczego Ashdowne się z nią umówił, skoro miał obowiązki wobec bratowej.

Plotki szalejące dookoła nie uśmierzyły bynajmniej jej niepokoju. Raz po raz słyszała matrony zachwycające się, jak dobrana jest nowa para: Ashdowne i wdowa po bracie! Wiele domysłów snuto też na temat, tego, jak Ashdowne pocieszał bratową w rodowej posiadłości, gdzie oboje mieszkali.

Georgiana powtarzała sobie, że to wszystko są tylko insynuacje i pomówienia rozczarowanych mamus i ich córek. Z pewnością zaś nie była to jej sprawa. Gdy jednak spostrzegła tamtych dwoje, serce, którego istnienie niedawno u siebie odkryła, głośnym biciem wyraziło jej lęk i rozpacz, bo bratowa Ashdowne'a okazała się piękna! Wysoka, smukła, z ciemnymi, modnie upiętymi, puszystymi włosami,

poruszała się z elegancją i wdziękiem, wobec których Georgiana poczuła się jak kukielka. Niespodziewane uzmysłowienie sobie własnych mankamentów sprawiło, że natychmiast wpadła na krzesło, omal nie zdzierając peruki mężczyźnie, który na nim siedział.

Rozpaczliwie starała się uratować fryzurę mężczyzny, nie zwracając uwagi Ashdowne'a. Na szczęście dla niej markiz wydawał się całkowicie pochłonięty swą uroczą krewną. Georgiana widziała, jak nachyla się do bratowej i szepcze jej coś, co wywołuje u niej wstydlivy uśmiech. Georgianie niebezpiecznie zadrżały wargi. Nie rozumiała powodu, dla którego nagle łzy zaczęły cisnąć jej się do oczu. To było niedorzeczne. Przecież nigdy nie płakała!

Nigdy jednak nie dręczyła jej taka okropna zazdrość. Odkąd przyjęła pomocnika, stała się wobec niego tak zaborcza, że trudno jej było znieść dzielenie się nim z kimś innym. Co innego jej chichoczące siostry i plotkujące matrony, a co innego elegancka bratowa.

Ta kobieta z pewnością nie polowała na jego tytuł, no i nie chichotała. Przeciwnie, roztaczała aurę pogody i godności, toteż Georgiana poczuła się nagle hałaśliwa, zapalczywa, zbyt krzykliwie ubrana. W kobiecym ciele było jej jeszcze gorzej niż zwykle. A ta dama nie tylko zdawała się mieć wszystko, czego jej samej brakowało, lecz również była spokrewniona z Ashdowne'em! Mieli wspólną przeszłość, do której Georgiana nie mogła się odwołać; łączył ich nierozzerwalny węzeł zależności rodzinnej.

Wprawdzie wiedziała, że powinna współczuć biednej wdowie i cieszyć się, że dwoje ostatnich członków rodu może służyć sobie pocieszeniem po stracie bliskiego człowieka, a jednak nie mogła się uwolnić od małostkowej niechęci do markizy. Przez to znów odczuła pogardę dla swojej kobiecości. Ten wybuch gwałtownych, lecz jakże niepożądanych uczuć był dla niej gorszy niż największe upokorzenie. Był nie do zniesienia!

Zamiast więc podejść do markiza i jego uroczej bratowej, odwróciła się i wyszła z pijalni. Nie chciała, żeby Ashdowne zobaczył, jak okropną, nielogiczną istotą się stała. Nie chciała też wymieniać serdeczności z jego bratową, do której czuła żywiołową antypatię.

Postanowiła poszukać pana Jeffriesa. Musiała w końcu obalić władzę serca i skupić uwagę na istotnych sprawach, czyli na śledztwie. Bardzo potrzebowała trudnego wyzwania dla umysłu, żeby

pokonać tę nieszczęsną kobietą słabość, a detektyw mógł zdobyć jakieś nowe informacje. Połączonymi siłami mieli szansę wyjaśnić sprawę kradzieży. I to bez udziału jej pomocnika! Tak przynajmniej sobie wmawiała.

Wysłała więc liścik do domu pana Jeffriesa. Przecież rozpoczęła śledztwo zupełnie sama. Na początku nawet nie chciała przyjąć pomocy markiza, bo był jednym z jej podejrzanych!

I teraz nagle uświadomiła sobie, że po skreśleniu Whalseya i Hawkinsa pozostało jej na liście już tylko jedno nazwisko: Ashdowne.

Trochę ją to zaniepokoiło. Naturalnie myśl o markizie złodzieju wydawała jej się teraz absurdalna, ale to oznaczało, że musi spojrzeć na sprawę świeżym okiem. Ponieważ chwilowo brakowało jej pomysłów, liczyła na pana Jeffriesa, który, choć z pozoru mało lotny, mógł podpowiedzieć jej coś godnego uwagi.

Nie musiała długo czekać, bo detektyw z Bow Street odpowiedział na jej wezwanie osobiście i znalazł ją przed pijalnią. Widok niechlujnie ubranego Jeffriesa sprawił jej szczerą radość. Wesóło skinęła mu dłonią, a on odwzajemnił pozdrowienie i podszedł bliżej. W jego piwnych oczach malowało się zaciekawienie.

- Czy pani po mnie posłała? - spytał.

- Tak - odrzekła Georgiana. Ruszyła w stronę Royal Crescent i gestem zaprosiła go do spaceru. - Obawiam się, że mam dla pana bardzo zniechęcające nowiny.

- Czyżby? - spytał Jeffries ze zdziwieniem.

- Tak. - Georgiana ciężko westchnęła. - Doszłam do wniosku, że pan Hawkins może być niewinny, a w każdym razie nie popełnił kradzieży - uściśliła natychmiast. Zważywszy na dziwne skłonności wielebnego, trudno było go nazwać zupełnie niewinnym.

- Cóż, sądzę, że co do tego ma pani rację - powiedział pan Jeffries, w zamyśleniu trąc podbródek. - Kazałem swojemu człowiekowi dowiedzieć się o nim czegoś w ostatniej parafii. Nie sądzę jednak, żeby wyszły na jaw gorsze rzeczy niż trochę... hm, niedyskrecji.

Georgiana ponuro skinęła głową.

- Pan Hawkins utrzymuje, że w czasie kradzieży był w garderobie z panią Howard, ale na wszelki wypadek może pan to sprawdzić.

W spojrzeniu, które przesłał jej detektyw, było trochę zdziwienia, a trochę mimowolnego podziwu.

- Zrobię to, proszę pani. I polecę komuś mieć go na oku, chociaż szczerze mówiąc, to raczej nie on ma naszyjnik. On jest dziwakiem, owszem, ale nie tego rodzaju, żeby zaplanować zuchwałą kradzież.

- Jest za bardzo zajęty - dodała Georgiana. - Nie wiem, jak mógłby na to znaleźć czas, skoro nieustannie nagabuje potencjalne ofiarodawczynie i ma jeszcze... inne sprawy.

Jeffries wybuchnął śmiechem.

- Widzę, że znalazła pani winnych, tylko akurat nie tej kradzieży. Georgiana zmarszczyła czoło.

- Ale jeśli nie zrobił tego wielebny, to kto? Jeffries pokręcił głową.

- Tego nie mogę pani powiedzieć. Nie waham się przyznać, że jak dotąd sprawca wodzi mnie za nos. Rozmawiałem z całą służbą i nikt nic nie wie. Wszyscy zgodnie twierdzą, że służący, który stał na posterunku przed sypialnią, nie opuścił swojego miejsca ani na chwilę i na pewno się nie zdrzemnął. Mam listę wszystkich gości, ale większość potrafi udowodnić, że była gdzie indziej, a część fizycznie nie podołałaby takiemu zadaniu.

- Chyba że przyszedł ktoś nie zaproszony - zastanawiała się głośno Georgiana.

Jeffries skinął głową.

- I nie zauważony. - Znów potarł podbródek. - Ten zamknięty pokój wydaje mi się dość zagadkowy. Przypomina mi trochę... - Urwał i pokręcił głową. - Nie, to było zbyt dawno i Bath jest za daleko.

Georgiana już miała spytać detektywa, nad czym tak się zastanawia, gdy dostrzegła pana Savonierre'a wchodzącego do jednego z eleganckich domów przy Royal Crescent, najbardziej elitarnej ulicy Bath. Mimo że dzień był ciepły, na widok czarno odzianego dżentelmena zadrżała, bo było w nim coś onieśmiałającego. Przypomniawszy sobie rozmowę, jaką odbyła poprzedniego dnia w pijalni, zwróciła się znów do Jeffriesa.

- Przypuszczam, że pan Savonierre się niecierpliwi - stwierdziła. - Ashdowne twierdzi, że on wiele może. Mam nadzieję, że nie dozna pan z jego strony przykrości w związku z tą sprawą. - Wprawdzie Georgiana mieszkała na prowincji, wiedziała jednak, że bogaci ludzie

często nadużywają swoich wpływów ze szkodą dla innych. I byłoby jej bardzo przykro, gdyby detektyw z Bow Street stracił swoje zlecenie albo został zastąpiony przez kogoś innego.

Jeffries uśmiechnął się ponuro.

- Trochę ucierpiałem z powodu jego ciętego języka, ale nie sądzę, żeby mnie odesłał tylko dlatego, że próbuję wykonywać swoją pracę. To jest dziwny człowiek, ale zdaje mi się, że uczciwy.

Georgiana zerknęła na elegancki dom, do którego Savonierre wszedł. Podobno zamierzał go kupić.

- Jeśli jest taki oddany lady Culpepper, to dziwię się, że u niej nie mieszka - powiedziała w zamyśleniu.

- Och, zdaje się, że początkowo mieszkał, ale po kradzieży wynajął dom tutaj - powiedział pan Jeffries i wskazał ruchem głowy wysoką, kamienną fasadę.

Georgiana zamrużyła powiekami, przez chwilę nie była bowiem pewna, czy się nie przesłyszała.

- Przecież wczoraj pan Savonierre powiedział przy mnie, że ściągnęła go tutaj wiadomość o kradzieży. Myślałam, że przyjechał po fakcie i przywiózł pana z sobą - powiedziała.

Jeffries pokręcił głową.

- Nie, proszę pani. Pan Savonierre był już w Bath tamtego wieczoru. Potwierdza to służba. To on zamknął pokój po kradzieży i wszystkiego dopilnował.

Georgiana wbiła wzrok w detektywa, tętno jej gwałtownie przyspieszyło.

- Ale ja go wcale nie widziałam! Na balu w ogóle się nie pokazał. Jestem tego pewna. Zastanawiałam się nawet, w jaki sposób tak szybko dowiedział się o kradzieży. A jeśli był na miejscu, to dlaczego nie pojawił się na balu? I dlaczego rozповідаł potem, że przyjechał dopiero po kradzieży?

Jeffries wyraźnie odkrył kierunek, w jakim podążały jej myśli, bo zrobił bardzo spłoszoną minę.

- No, nie, proszę pani! Chyba nie chce pani oskarżyć o pospolitą kradzież jednego z najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w kraju?

- Dlaczego nie? - odparła Georgiana, coraz bardziej podniecona.
- Wydaje mi się bardzo dziwne, że przed kradzieżą pan Savonierre starał się trzymać w cieniu.

Jeffries głośno parsknął.

- On zawsze trzyma się w cieniu, proszę pani. To jest cały Savonierre. Mówią, że rząd reaguje na każde jego słówko.

Georgiana zbyła obiekcje detektywa machnięciem ręki, bo nie miały one znaczenia dla sprawy. Dużo bardziej zainteresowała się tym, co sama spostrzegła: w czasie gdy wydarzyła się kradzież, Savonierre był w Bath, ale nie w sali balowej, tak samo jak Ashdowne! Nagle poczuła ulgę, bo markiz przestał być jedynym podejrzanym na liście. Savonierre'a dopisała do niej z radością. Bądź co bądź, ten człowiek znakomicie pasował na przestępcę: był ponury, nieprzystępny, tajemniczy i niezbyt sympatyczny.

Niestety, musiała jeszcze przekonać o tym Jeffriesa.

- Po co takiemu człowiekowi naszyjnik? Pieniędzy ma więcej niż sam książę Walii! Prawdopodobnie stać by go było na kupno stu szmaragdów wielkości pięści, a i tak jego majątek nie poniósłby uszczerbku - natychmiast odrzucił jej teorię detektyw.

Georgiana spojrzała zamyślona na elegancki dom pana Savonierre'a, ale nie mogła nazwać dziwnego uczucia, które ją ogarnęło. Chociaż nigdy nie przywiązywała wagi do tak zwanej kobiecej intuicji, to przecież wiedziała, że Savonierre był we właściwym miejscu i czasie, a towarzyszyły temu bardzo dziwne okoliczności. Taki człowiek traktowałby przestępstwo jak grę, w której tylko on może zostać zwycięzcą. Śmiałyby się z żalonych wysiłków tych, którzy próbowaliby go ująć.

Jej rozmyślania przerwał Jeffries, który znów głośno parsknął.

- I po co miałby mnie zatrudnić? Żebym go złapał?

- Doskonały kamuflaż - odparła Georgiana. - Może bawi go, jak po omacku szukamy prawdy, podczas gdy on wciąż jest nieuchwytny i pozostaje poza podejrzeniami.

- Ale po co? - nie dawał za wygraną Jeffries.

- Nie wiem - odparła szczerze Georgiana. - Lecz coś mi mówi, że w tej kradzieży chodzi nie tylko o pieniądze.

Jeffries pozostał jednak sceptyczny wobec jej teorii i bardzo wyraźnie ostrzegł ją, żeby trzymała się z dala od Savonierre'a.

- Nikt się przeciwko niemu nie zwróci, proszę pani. Savonierre jest niebezpieczny - powtórzył raz jeszcze.

- To prawda! - przyznała, ale w duchu już podjęła decyzję. Postanowiła pokazać panu Jeffriesowi i całemu światu, że pan

Savonierre jest nie tylko niebezpieczny, lecz również winny kradzieży. Rozstała się z detektywem, który wciąż jeszcze kręcił głową, i ruszywszy przed siebie, zaczęła się zastanawiać nad swoim następnym posunięciem.

Chociaż postanowiła, że nie pozwoli się zastraszyć reputacją jej nowego podejrzanego, to naturalnie zdawała sobie sprawę z tego, że nie chodzi o człowieka pokroju Whalseya czy Hawkinsa. Savonierre był o wiele za sprytny, by do czegokolwiek się przyznać, a poza tym z pewnością nie było można niepostrzeżenie go śledzić. Był dużo ciekawszym przeciwnikiem niż poprzednicy, lecz również znacznie trudniejszym.

Poczuła nagły smutek z powodu braku asystenta, ale wytłumaczyła sobie, że powinna jednak pracować sama, zwłaszcza wobec wrogości, jaka dzieliła Ashdowne'a i Savonierre'a. Bardzo dobrze pamiętała ich spotkanie, gdy patrzyli na siebie jak drapieżne zwierzęta i wymieniając grzecznościowe uwagi, starali się trafić przeciwnika w czuły punkt. Gładczy, eleganccy i śmiertelnie niebezpieczni, przypominali jej dwa dzikie koty z dżungli.

Nagle Georgiana zachnęła się i stanęła na chodniku, obojętna na przechodniów, którzy musieli ją omijać.

- Kot! Naturalnie! - mruknęła zaskoczona zwrotem swoich myśli. Przez cały czas zdawało jej się, że czegoś w tej sprawie nie dopatrzyła, że umknęło jej istotne powiązanie. Teraz już wiedziała. Kradzież u lady Culpepper kojarzyła jej się z serią kradzieży popełnionych nie w Bath, lecz w Londynie.

Jako uważna obserwatorka poczynań stróży prawa z Bow Street i innych detektywów, Georgiana wiele czytała o przestępczości w stolicy i ludziach, którzy ją zwalczali. W ostatnich latach jednym z włamywaczy cieszących się najgorszą sławą był Kot.

Naturalnie nikt nie wiedział, kim jest, bo nigdy nie udało się go złapać. Nazwano go Kotem, ponieważ bez trudu dostawał się do domów swych ofiar i znikał bez śladu przez zamknięte drzwi i... otwarte okna! Takie kradzieże, jakiej dokonano u lady Culpepper, pozornie niemożliwe, kiedyś przypisywano właśnie Kotu.

I jeszcze otwarta szkatułka! To również było typowe dla Kota. Jednym z powodów popularności tego złodzieja w prasie był jego wybredny gust. Zwykle zabierał tylko jedną sztukę biżuterii, naturalnie bardzo kosztowną, i nieraz zostawiał na widocznym

miejscu szkatułkę czy puzderko z nietkniętą resztą zawartości, zupełnie jakby chciał rozdrażnić policję i ofiarę.

Okradał wyłącznie bogatych, dla których takie straty nie miały znaczenia, nigdy też nie zabierał zbyt wiele. Obraz wyzutego z chciwości, tajemniczego i zuchwałego złodzieja bardzo przemawiał do wyobraźni londyńczyków. Snuto domysły, że kradzieże popełnia ktoś z elity towarzyskiej, co samo się nasuwało, bo jak inaczej zapewniłby sobie wstęp do tyłu eleganckich domów i na tyle ekskluzywnych balów. Zresztą jego łupem padały tylko najwspanialsze okazy klejnotów i zwykle stawało się to właśnie podczas przyjęcia bądź innego zgromadzenia towarzyskiego. Sprawca znikał bez śladu, a w parę dni, tygodni lub miesięcy później uderzał znowu. Nawet członkowie towarzystwa zdawali się dobrze bawić jego śmiałymi wyczynami, naturalnie dopóki sami nie padali ich ofiarą.

Georgiana chciwie czytała o szczegółach różnych kradzieży i była przekonana, że potrafiłaby znaleźć tego złodzieja, gdyby tylko miała wstęp do salonów elity. Ale los skazał ją na siedzenie na wsi, gdzie mogła jedynie czytać gazety zachowane dla niej przez wuja, często pochodzące sprzed wielu tygodni. Nigdy nie była w Londynie i nigdy nie obracała się w eleganckich kręgach. W każdym razie Kota nie złapano.

Georgiana próbowała sobie przypomnieć, kiedy wiadomości o Kocie przestały się ukazywać, i doszła do wniosku, że od ostatniej kradzieży minął już ponad rok. Od tej pory złodziej nie dał o sobie znać i zainteresowanie ludzi stopniowo przeniosło się na inne sprawy. W gazetach pojawiły się domysły, że Kota zatrzymano za inne przestępstwo i bez hałasu stracono, przypuszczano także, że zginął, być może z ręki swojego kompana.

A może Kot po prostu zmienił miejsce działania? - pomyślała Georgiana. Wiedziała, że poza najbliższymi okolicami Londynu bezpieczeństwo obywateli znajdowało się w niezbyt pewnych rękach szeryfów i sędziów pokoju, z których wielu zupełnie nie nadawało się do pełnienia swoich funkcji. Niektórzy byli nieuczciwi, inni nieprzygotowani, większości przeszkadzał brak funduszy i pomocników. Poza tym między różnymi ogniwami władz brakowało kontaktu.

Może Kot spędził ostatni rok na prowincji, kradnąc klejnoty z rodowych siedzib arystokracji? Jeśli tak, to każdy z tych wypadków

pozostawał zdarzeniem na miarę lokalną, chyba że ktoś wpadłby na pomysł wezwania detektywa z Bow Street, co zdarzało się rzadko. Londyńscy dziennikarze, podstawowe źródło informacji Georgiany, prawdopodobnie także nie wiedzieliby o niczym.

Może po tylu głośnych kradzieżach stolica stała się dla Kota zbyt niebezpieczna, więc złodziej przeniósł się gdzie indziej. Jeździł po przyjęciach w wiejskich dworach, odwiedzał takie miejsca jak Brighton, gdzie elita odpoczywała. Ale dlaczego Bath? Tu szanse na tłuścą zdobycz z pewnością nie były wielkie. Z drugiej strony szmaragdy Culpepperów były dosyć znane. Może Kot zapragnął ich, bo miały dla niego jakąś ukrytą wartość?

Georgiana usiadła na niskim murku i zaczęła analizować dane. Chociaż przypuszczała, że dziennikarze nieraz przesadzają w opisach, to i tak Kot musiał być niesłychanie sprawnym i bystrym człowiekiem. Pan Cheever i wielebny z pewnością nie mieli na to dość rozumu. Poza tym nie obracali się w kręgach, w których zdarzały się kradzieże przypisywane Kotu.

Co innego jej trzeci podejrzany, Savonierre.

Georgiana zamrugała powiekami, policzki ją zapiekły. Savonierre należał do najelegantszego towarzystwa, był nieprzeciętnie bogaty i nikt nie podejrzewałby go o tak niecne występki! Po co miałyby kraść? Bo uwielbia niebezpieczeństwa i w skrytości gardzi swymi koneksjami, uznała. A jaki byłby lepszy sposób okazania pogardy tym ludziom bez zrywania z nimi stosunków?

Zerwała się na równe nogi, zrozumiała bowiem, że tym razem odkryła prawdziwego winowajcę. Tylko jak miała tego dowieść? Doszła do wniosku, że należy sprawdzić, czy Savonierre mógł popełnić również inne kradzieże. W tym celu musiała się dowiedzieć, co robił w szczytowym okresie aktywności Kota.

Mogła naturalnie spytać o to jego służących, ale na razie nie chciała wzbudzać niepotrzebnych podejrzeń. Woląa też, żeby ten złowieszczy dżentelmen nie odkrył jej zainteresowania swoją osobą. Nie, musiała zdobyć potrzebne informacje, nie zwracając uwagi podejrzanego. To zaś oznaczało, że należy wrócić do gazet, z których dowiedziała się o kradzieżach Kota.

Z triumfalnym uśmiechem ruszyła dziarskim krokiem do domu. Doskonale wiedziała, gdzie znajdzie potrzebne źródła!

Musiała dość długo przekonywać rodziców, ale w końcu udało jej się uzyskać od nich pozwolenie na złożenie wizyty wujowi. Podejrzewała, że niechęć matki do Silasa Morcombe'a okazała się słabsza niż chęć rozłączenia najstarszej córki z pewnym markizem, który ostatnio się z nią zaprzyjaźnił. W tej sytuacji wystarczyło jej przekupić Bertranda, żeby z nią pojechał, czego dokonała, poświęcając swoje kieszonkowe. I tak nigdy nie wydawała go na błahostki, więc uznała, że lepiej zainwestować w śledztwo niż w wizytę u modystki.

Wynajęto powóz i chociaż resztę dnia Georgiana spędziła w dusznej budzie, to podróż z Bach do Londynu i tak trwała o wiele krócej niż z ich majątku na wsi. Jeszcze przed zmrokiem podróżników entuzjastycznie powitał wuj Silas.

Dopiero po późnej kolacji, gdy Bertrand, na wzór ojca, zasiadł w wygodnym fotelu, a głowa zaczęła mu się kiwać, Georgiana mogła odkryć cel swojej wizyty.

- Muszę przejrzeć twoje gazety - oznajmiła starszemu panu, który, zręcznie wymijając sterty książek i papierów, chodził po przytulnym pokoju w poszukiwaniu okularów. - Masz je na czole, wuju - odpowiedziała.

- Ach, tak, naturalnie. - Zsunął okulary na oczy i usiadł na zniszczonym, ale miękkim fotelu. - Zaraz, zaraz, o czym to my...?

- O twoich gazetach - przypomniała.

- Ach, naturalnie, naturalnie - powiedział z uśmiechem - Mam je tam, na stryżku, roczniki „Morning Post”, „Timesa” i „Gazette”, ale lepiej poczekaj z tym do rana. Szukasz czegoś konkretnego? - spytał, przesyłając jej chytre spojrzenie.

- Owszem - odrzekła Georgiana. - Pracuję nad nową sprawą.

- Tak myślałem - przyznał wuj.

- Może nawet pisano coś na ten temat w gazetach. Skradziono sławny szmaragdowy naszyjnik lady Culpepper, a ja akurat byłam tego świadkiem! Jeszcze nie prowadziłam tak poważnego śledztwa. Liczę na to, że przysporzy mi sławy.

Morcombe zmarszczył czoło, mrużąc do siebie pod nosem:

- Culpepper, Culpepper. Ano tak, słyszałem o niej. Nie najlepsze towarzystwo, jak powiedziałyby o niej twoja matka. - Chociaż wuj nie obracał się w eleganckich kręgach, wiedział to i owo prawie o każdym.

- Przyznaję, że jest dość wyniosła, ale to raczej typowe dla arystokracji - powiedziała Georgiana.

- Nie o to chodzi, moja panno. Kłopot w tym, że lady Culpepper lubi hazard, który przecież zrujnował bogatszych niż ona.

- Och, chcesz powiedzieć, że lady Culpepper przepuszcza swoją fortunę przy zielonym stoliku? - spytała zaskoczona. Przypomniała sobie oskarżenie wielebnego, że szmaragdów wcale nie skradziono, bo właścicielka sama pocięła naszyjnik i sprzedała kamienie na sztuki. Chociaż wówczas Georgiana odrzuciła tę możliwość, wracała ona raz po raz jak zły szeląg.

- Nie wydaje mi się, żeby kiedykolwiek miało grozić jej więzienie za długi, ale bez wątpienia jest starą hazardzistką, a o jej grze krążą jak najgorsze opinie - wyjaśnił Silas.

Georgiana spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Chcesz powiedzieć, że... że ona oszukuje? Silas zachichotał, widząc jej przerażoną minę.

- Nie mogę ręczyć za prawdziwość plotek, ale tak słyszałem. Faktem jest, że często zdarza jej się wygrywać duże sumy, zwłaszcza od niedoświadczonych, młodych dam, które nie potrafią zauważyć, czy ich przeciwniczka nie schowała przypadkiem jakiejś karty.

- Och! To bardzo nieładnie z jej strony! - Georgiana zastanawiała się, czy ta informacja może mieć związek ze sprawą. Najwyraźniej lady Culpepper była kobietą bez skrupułów, przynajmniej w odniesieniu do gier hazardowych. Czy posunęłaby się tak daleko, żeby ukraść własny naszyjnik? Ale co z Savonierre'em? Jaką odegrał rolę? A Kot? Dopiero co odkryty związek między kradzieżą w Bath a wyczynami Kota wydawał się Georgianie bardzo obiecujący, więc nie była skłonna łatwo z niego zrezygnować.

- Może któraś z młodych dam postanowiła odzyskać swoje pieniądze, kradnąc naszyjnik - podsunął jej myśl Silas.

- Może - niechętnie zgodziła się Georgiana, ale nie mogła wyobrazić sobie żadnej z eleganckich dam w roli sprawczyni tak zuchwałej kradzieży, zwłaszcza jeśli ta dama miałaby nie zdawać sobie sprawy z oszustw przeciwniczki przy grze w karty.

Niecierpliwym ruchem odsunęła zabłąkany pukiel z oczu.

- Ta sprawa na pewno okaże się bardziej skomplikowana, niż mi się zdawało na początku - wyznała posepnie.

Silas uśmiechnął się.

- Tym poważniejsze wyzwanie dla ciebie, moja droga - odrzekł i sięgnął po fajkę.

- To prawda. - Wuj miał rację. Od dawna potrzebowała sprawdzianu bystrości dla swojego umysłu i wreszcie go znalazła, choć wolałaby mieć do czynienia z innym przeciwnikiem, nie tak złowrogim jak Savonierre. Prawdę mówiąc, czuła dość niezrozumiałe pokrewieństwo dusz ze złodziejem, nawet go podziwiała, i to nie pasowało jej do żadnego z podejrzanych.

Trudno jej było się z tym pogodzić, ale z drugiej strony nie ma innego wyboru, gdy ściga się przestępców. Przez całą długą jazdę do Londynu wyobrażała sobie swój sukces i nagrodę, jaka może ją spotkać. Jeśli czasem nachodziły ją inne myśli, na przykład o pewnym markizie, odpychała je od siebie. Przede wszystkim musiała doprowadzić śledztwo do zwycięskiego końca. Byłoby wspaniale, gdyby udało jej się zdemaskować Kota.

Postanowiła od samego rana wziąć się do przeglądania gazet, żeby zdobyć więcej informacji. Miała nadzieję dociec w ten sposób, kim jest sławny włamywacz. Tymczasem jednak ogarniało ją znużenie po długiej podróży, wszystko jej się mieszało. Takiego chaosu w głowie jeszcze nigdy nie miała.

- To wszystko jest bardzo dziwne - szepnęła. - Bardzo, bardzo dziwne.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Georgiana, mimo iż znalazła się w nowym otoczeniu, rychło przekonała się, że nie tak łatwo jest przestać myśleć o markizie. Nawet we śnie nie mogła przed nim uciec, pojawiał się bowiem raz po raz w nocnych wizjach, to w gorących, namiętnych scenach, to w dziwnych koszmarach, w których obaj z Savonierre'em zamieniali się w dzikie bestie. Trudno więc było jej odpocząć.

Wreszcie porzuciwszy wszelką nadzieję na odpoczynek, dziewczyna udała się na stryszek i przez cały, bardzo owocny dzień siedziała nad stertami starych gazet. Naturalnie jej uwagę zwracały wszystkie interesujące informacje, próbowała jednak ograniczyć się do danych o miejscach pobytu Savonierre'a. Nie było to trudne, bo wzmiankowano o nim często.

- "Pan Savonierre wydał wczoraj wieczorem eleganckie, wysoko ocenione przyjęcie - .." - przeczytała Georgiana. Zanotowała datę, natomiast zlekceważyła szczegóły jadłospisu i wykaz ważnych gości. Potem wzięła do ręki następną gazetę.

„Bogaty i powszechnie znany pan S. był wczoraj widziany w drodze do opery z lady B., skądinąd zameżną..” - zaczynał się artykuł, w którym użyto wyłącznie inicjałów. Okazało się, że większość wzmianek dotyczy nie domniemanych wpływów Savonierre'a w kręgach rządowych, lecz jego słabości do atrakcyjnych kobiet. Rozczarowana Georgiana zrobiła kwaśną minę.

Ale gazety interesowały się romansami nie tylko Savonierre'a. „Młodszy brat markiza A. chętnie udziela się towarzysko. Tylko wczorajszego wieczoru widziano go na czterech różnych balach i przyjęciach...” - głosił jeden z artykułów. I chociaż Georgiana powtarzała sobie, że nic jej to nie obchodzi, poczuła ukłucie w sercu.

„Johnathon Everett Saxton, młodszy brat markiza Ashdowne'a, zwrócił na siebie uwagę podczas balu u lorda Grahama, otaczał go bowiem wianuszek pięknych dam. Jego dowcip i urok osobisty są dobrze znane, nic więc dziwnego, że jest powszechnie lubiany...” - przeczytała gdzie indziej. Chociaż starała się nie zwracać uwagi na częste wzmianki o markizie z czasów, gdy żył jeszcze jego starszy brat, mimo woli natykała się na nie raz po raz. Niestety, wyglądało na to, że szlaki Savonierre'a i Ashdowne'a przebiegały podobnie, co szczególnie nie dziwiło, bo obaj obracali się w najelegantszych kręgach.

A jednak ciągle powracające nazwisko Ashdowne'a wzbudziło w niej złe przeczucia. Gdyby nie miała wyrobionego poglądu, mogłaby pomyśleć, że to właśnie on jest Kotem. Zaśmiała się niepewnie. Chociaż swoje uczucia do markiza głęboko ukryła, żeby nie musieć się nad nimi zastanawiać, to nie mogła nie zwracać uwagi na wzmianki o nim.

Tymczasem sporządziła wykres, który obrazował ruchy Savonierre'a. Dzięki temu mogła łatwiej śledzić jego obecność w różnych miejscach i dopasowywać je do szlaku Kota. Ciekawe było, że złodziej nigdy nie ukradł niczego samemu Savonierre'owi. Ta informacja zdawała się potwierdzać jej podejrzenia.

Początkowo zamierzała przejrzeć jedynie gazety z lat, gdy zła sława Kota sięgała szczytów, okazało się jednak, że jej szperanie przeciągnęło się na drugi, a następnie również trzeci dzień. W nowszych wydaniach gazet szukała wzmianek o przestępstwach popełnionych metodami, które przypominałyby metody Kota, nie znalazła jednak niczego. Zupełnie jakby król złodziei zapadł się pod ziemię.

Niestety, często odrywał ją od pracy znudzony Bertrand, który chciał już wrócić do Bath. Nie zwracała jednak uwagi na jego nalegania.

- Uciekaj stąd! - strofowała go i dalej przeglądała roczniki. Nie chciała się do tego przyznać przed sobą, ale grzebanie w starych gazetach działało na nią bardzo kojąco. Fakty były jej mocną stroną. Było o wiele łatwiej je porządkować, niż rozmawiać z ludźmi.

Jednakże Bertrand musiał w końcu znaleźć sprzymierzeńca w wuju, bo trzeciego dnia jej zmagani z gazetami starszy pan osobiście przyniósł jej lunch na tacy. Odsunął wielki stos papierów, usiadł przed nią i zmusił tym do przerwania pracy.

- Znalazłaś to, czego szukałaś? - Zdjął okulary, żeby przeczyścić soczewki połą surduta.

- Tak - odrzekła Georgiana. - Mam różne spisy i wykresy i przynajmniej z pobieżnego oglądu wynika, że moje podejrzenia się potwierdzają. Muszę powiedzieć, że twoje gazety były dla mnie nieocenioną pomocą - dodała, szczerze wdzięczna wujowi.

- Cieszę się, że komuś się przydają - odparł z bladym uśmiechem i znów włożył okulary. Jego oczy spoglądały bardzo bystro, więc gdy

skupił na niej wzrok, poczuła się nieswojo, zupełnie jak uczeń, który zawiódł nauczyciela.

Wreszcie Silas, który chyba zobaczył już to, co chciał, oparł się o deski za plecami i omiół wzrokiem swój zagracony stryżek.

- Bertrand zaczyna się niecierpliwić - powiedział.

- Zauważyłam, bo co godzina łomocze mi do drzwi! - poskarżyła się. - Początkowo chciałam obejrzeć tylko stare gazety, ale teraz szukam również wzmianek o złodzieju w nowszych wydaniach, a to naturalnie oznacza dłuższą pracę - wyjaśniła.

- Naprawdę? - spytał wuj i Georgiana spłonęła rumieńcem. - Jeśli dalej badasz swoją sprawę, to chętnie udzielię ci gościny tak długo, jak trzeba, moja droga. Ale jeśli po prostu ukrywasz się na moim stryżku przed innymi sprawami, które nie tak łatwo zbadać...

- Co ci naopowiadał Bertrand? - Georgiana zarumieniła się jeszcze bardziej. Kto mógł mieć do niej pretensje o to, że woli siedzieć na strychu, niż wrócić do Bath i panującego tam chaosu? Od pewnego czasu nie czuła już tak silnej potrzeby zakończenia sprawy jak przedtem. Pierwotny, jasny cel przesłaniały jej teraz myśli o człowieku, który zaczął stawać się dla niej ważniejszy niż śledztwo.

- Wspomniał pewnego markiza - powiedział łagodnie Silas.

- Mojego pomocnika! - sprostowała. - Ashdowne jest moim pomocnikiem, nikim więcej. - Uciekając przed przenikliwym spojrzeniem wuja, wzięła do ręki gazetę i udała, że czyta. Kto by się spodziewał, że Silas nagle wyjdzie z roli roztargnionego naukowca i zacznie ją wypytywać? Wcale nie spodziewała się po nim takiej troski o siebie ani tym bardziej jej nie pragnęła!

- Niech ci będzie. Może jednak przyjmiesz radę od starego człowieka?

- Naturalnie. - Czuła się straszliwą niewdzięcznicą. Przecież wuj tyle dla niej zrobił.

- To dobrze. - Łagodnie się uśmiechnął. - Nie popełnij tego samego błędu co ja. Nie pozwól twoim pomysłom i badaniom pochłonać cię do tego stopnia, żebyś zapomniała o innych ludziach.

Gdy Georgiana spojrzała na niego tak, jakby me rozumiała, cicho się roześmiał.

- Mam bardzo udane życie i cieszę się nim, ale twój dziadek dokonał lepszego wyboru. Miał Lucindę i twoją matkę, i wnuczeta... - Wyraz twarzy Silasa złagodniał, co bardzo zdziwiło Georgianę.

- Ależ oni wszyscy są strasznie głupi! - powiedziała. Silas znów się roześmiał.

- Mimo wszystko nawet głupia rodzina jest jednak rodziną. Staremu człowiekowi zawsze sprawia radość. Jeśli schowasz nos w książkach, gazetach, stracisz kawał życia - ostrzegł. - Jesteś piękną panną, Georgiano. Nie chciałbym, żebyś skończyła tak jak ja, w samotności. - Z tymi słowami wstał i skierował się do drzwi. - Wystarczy tych morałów. Zostawiam cię z twoimi poszukiwaniami.

Georgiana popatrzyła za nim oszołomiona. Nigdy by nie przypuściła, że Silas zazdrościł jej dziadkowi, zwłaszcza że ten zawsze narzekał na dzieci płaczące się pod nogami. Pokręciła głową tak gwałtownie, że aż zaszeleściła jej gazeta na kolanach. Trudno jest zrozumieć ludzi. Nic dziwnego, że wołała mieć do czynienia z faktami.

Ta zabłąkana myśl zaprowadziła ją określną drogą do Ashdowne'a i wtedy zrobiło jej się wstyd, że nie była z wujem całkiem szczerą. Ashdowne był dla niej kimś więcej niż tylko pomocnikiem, ale kim? Tego pytania starała się wcześniej uniknąć, ale ponieważ teraz sama je postawiła, skupiła wzrok na gazecie, którą trzymała na kolanach, tam bowiem właśnie wspomniano o markizie.

„Na balu u lady Somerset, który odbył się ostatniego wieczoru, lady C, dobrze znana ze swego doświadczenia przy karcianym stoliku, wygrała olbrzymią sumę pieniędzy od markizy Ashdowne. Długi będzie musiał najprawdopodobniej uregulować szwagier markizy, tymczasem młoda dama, nauczona tym doświadczeniem, opuściła Londyn”.

- Wuju! Posłuchaj! - zawołała, a gdy Silas stanął na progu, przeczytała mu całą informację.

- Hmm. Wygląda na to, że twój pomocnik dobrze wie o wątpliwej reputacji lady Culpepper.

- To dziwne. Nigdy nie wspomniał o tym ani słowem. - Georgiana zamyśliła się. O swojej bratowej również nigdy nie wspomniał. Czy Ashdowne uznałby za obrazę to, że musi spłacić dług, którego nie zaciągnął, zwłaszcza jeśli wierzycielem była kobieta nazywana przez plotkarzy oszustką? Przecież takie przegrane nie były niczym niezwykłym, a markiz mógł nawet nie zauważyć straty „olbrzymiej sumy pieniędzy”.

Georgiana walczyła z coraz silniejszym niepokojem. Podejrzała, że między nią a Ashdowne'em jest do wyjaśnienia znacznie więcej kwestii, niż jej się zdawało. Wiedziała, że chce usłyszeć, co jej pomocnik ma na ten temat do powiedzenia. Studiowanie gazet wcale nie doprowadziło jej do satysfakcjonującego wyjaśnienia sprawy, miała teraz takie poczucie, jakby czegoś nie dokończyła. Ale dalsze otaczanie się starymi gazetami nie mogło jej przybliżyć do końca śledztwa. Wreszcie musiała przestać się ukrywać przed sobą.

- Poczekaj, wuju! Ja też idę - zawołała przez ramię, zbierając swoje spisy i wykresy. Bardzo potrzebowała tych materiałów do przekonania Jeffriesa, że Savonierre nie tylko ukradł naszyjnik lady Culpepper, lecz jest nie kim innym jak Kotem. Rozpaczliwie uchwyciła się tej teorii. To musiał być Savonierre!

Każdy, byle nie Ashdowne...

Pamiętając o ostrzeżeniu wuja, Georgiana powitała rodzinę ze świeżym entuzjazmem, mimo że chichoty sióstr irytowały ją, a dobroduszne przytyki ojca były nie do zniesienia. Według niego od czasu jej wyjazdu z Bath pewien markiz był zupełnie załamany i złożył im kilka wizyt. Georgiana nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy nie dowierzać, bo przecież Ashdowne był zbyt zajęty swoją piękną bratową, by odczuć brak pewnej postrzelonej pannicy.

A jednak odczuł, bo wkrótce po tym jak wróciła, pojawił się i zaproponował jej spacer. Chociaż pozornie był tak samo elegancki i opanowany jak zawsze, Georgiana wyczuwała, że pod maską uprzejmości kryje się niezwykle dla niego wzburzenie. Czyżby podczas jej nieobecności odkrył jakąś ważną poszlakę? A może miał to być ich pożegnalny spacer przed powrotem markiza do domu w towarzystwie bratowej?

Georgiana patrzyła na niego dość niespokojnie i podczas nic nie znaczącej konwersacji z rodziną nie wiedziała, czy ma się spodziewać czegoś ciekawego, czy raczej żywić obawy. Gdy wreszcie dzięki pomocy ojca uciekli przez młodszymi pannami Bellewether, Georgiana wcale nie była przekonana, czy chce zostać sam na sam ze swym byłym pomocnikiem.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Georgianę coraz bardziej zastanawiało, po co Ashdowne zaprosił ją na przechadzkę. Próbowwała

zebrać myśli, żeby coś powiedzieć, cokolwiek, ale w końcu odezwał się on:

- Mogła mnie pani uprzedzić o swoim wyjeździe z Bath. - Szorstkie słowa zabrzmiały jak oskarżenie. Zdziwiona Georgiana zamrużyła powiekami.

- Chciałam coś sprawdzić u mojego wuja - powiedziała.

- U tego, któremu nie można zaufać, że wprowadzi panią do londyńskiego towarzystwa? - spytał groźnie Ashdowne.

- Owszem, nawiasem mówiąc, nawet nie wyszliśmy z domu. Cały czas spędziłam na czytaniu starych gazet.

- Starych gazet? - W głosie Ashdowne'a było słychać niedowierzanie, więc Georgiana zatrzymała się i stanęła z nim twarzą w twarz.

- Tak, starych gazet. Co, u licha, pana opętało? Ashdowne bynajmniej nie przejął się swoim zachowaniem lecz zmierzył ją groźnym spojrzeniem.

- Miałem nadzieję, że będzie mnie pani informować o swoich zamiarach. O ile pamiętam, mieliśmy się spotkać w pijalni cztery dni temu, ale pani nie przyszła. Czy przemknęło pani przez myśl, że mogę się o nią martwić?

Georgiana spłonęła rumieńcem, bo przypomniało jej się, jak stchórzyła, widząc go ze śliczną krewną.

- Prawdę mówiąc, nie sądziłam, że pan zwróci uwagę na moją nieobecność.

- Nie sądziła pani, że zwrócę uwagę? - powtórzył jej słowa bardzo cicho, podejrzewała jednak, że musi być zły, a może nawet wściekły. To było nawet zabawne. Kiedyś się zastanawiała, co może wyprowadzić go z równowagi. Nigdy by się nie spodziewała, jaki wybuch spowoduje tym, że nie przyszła na umówione spotkanie.

- Bardzo pana przepraszam. Powinam była powiedzieć, że wyjeżdżam, ale to wypadło tak nagle - wyjaśniła zgodnie z prawdą. - Miałam niezwykle olśnienie w związku ze śledztwem.

Nie sądziłaby, że jest to możliwe, ale twarz Ashdowne'a jeszcze bardziej spochmurniała.

- Powiada pani: ze śledztwem?!

- Tak. Wprost oszałamiające olśnienie. Powinam była od razu pana zawiadomić, skoro jest pan moim pomocnikiem...

- Pani pomocnikiem - powtórzył znowu, a w oczach skrzyła mu się złość, zupełnie dla niej niezrozumiała.

- No, tak. - Nie była przygotowana na tak gwałtowną reakcję. Umiała rozważać fakty i logicznie rozumować, ostatnio zaczęła trochę pojmować swoje uczucia, ale nagła irytacja Ashdowne'a stanowiła dla niej niezgłębioną tajemnicę.

- A może chcę być kimś więcej niż tylko tym przeklętym pomocnikiem? Może chcę być dla odmiany mężczyzną. Może... - Ashdowne odwrócił się i rozłożył ręce. - Do diabła, sam nie wiem, czego chcę. Odkąd panią spotkałem, nie umiem jasno myśleć!

Georgiana zamrugła powiekami, bardzo zdziwiona, chociaż sama mogłaby mu powiedzieć to samo. Co miał na myśli Ashdowne, mówiąc o byciu mężczyzną? Przyszło jej do głowy pewne przypuszczenie.

- Czy to znaczy, że pan już nie chce być moim pomocnikiem? - spytała z niepokojem.

Ashdowne spojrział na nią tak, jakby miała dwie głowy, a potem wybuchnął śmiechem.

- To świetne, Georgiano. Nie wiem, czy mam panią udusić, czy zaciągnąć do łóżka, ale tęskniłem za panią.

Zrobiło jej się ciepło na sercu. Zwróciła uwagę zwłaszcza na tę wzmiankę o zaciąganiu do łóżka. Ashdowne zbliżył się o krok, więc zerknęła na niego nieufnie, pamiętała bowiem, że stoją w publicznym miejscu.

- Och, Ashdowne, nie powinien pan mówić takich rzeczy - powiedziała cicho.

- Dlaczego nie? - spytał, położył sobie jej drżącą dłoń na ramieniu i ruszyli dalej.

Bo budzi się we mnie pragnienie czegoś, co jest nieosiągalne, pomyślała smutno.

- Bo nie mogę wtedy jasno myśleć - powiedziała.

- A ja mogę? - spytał Ashdowne, unosząc ciemną brew.

- Naturalnie, że tak. Nie robię ani nie mówię niczego, co by zakłóciło pański spokój.

- Nie musi pani - mruknął. - Wystarczy, że staje pani obok mnie.

- No, to jesteśmy w kłopotcie - powiedziała. Chociaż wyznanie Ashdowne'a zrobiło na niej wrażenie, to nie miała pojęcia, co markiz

chciał w ten sposób osiągnąć. Wydawało się jednak, że podobnie jak ona ma problemy ze swoimi uczuciami.

- Widzę tylko jedno rozwiązanie - powiedział Ashdowne takim tonem, jakby zastanawiał się nad czymś nieprzyjemnym. - Jeden sposób na to, żeby w przyszłości nie uciekała mi pani do wuja.

- Chwileczkę - przerwała mu Georgiana. - Wcale nie uciekłam. Prowadzę sprawę i pojechałam zbadać fakty. - Nie podobała jej się ani marsowa mina Ashdowne'a, ani jego gniewne słowa. Nagle zorientowała się, że w ogóle nie zapytał jej o postępy w śledztwie. Dumnie uniosła głowę. - Dla pańskiej wiadomości dodam, że zrobiłam wielki krok naprzód!

- Czyżby? - spytał oschle, bardziej rozczarowany niż rozentuzjasmowany.

- Tak. Naturalnie jeśli już pana ta sprawa nie interesuje... - Urwała, bo Ashdowne gwałtownie ją zatrzymał.

- Niech będzie. Proszę bardzo, słucham. Może pani podzielić się ze mną tym zadziwiającym odkryciem, zanim дума rozsadzi panią na kawałeczki.

Georgiana uśmiechnęła się i oświadczyła:

- Sądzę, że kradzieży w Bath dokonał nie kto inny tylko Kot! - szepnęła i aż cofnęła się ze zdumienia.

Ashdowne, który rzadko zdradzał swoje uczucia, przesłał jej spojrzenie, w którym malowała się niemal trwoga.

- Słyszał pan o Kocie? - spytała jeszcze bardziej zdumiona.

- Naturalnie - odparł szorstko. - Ale...

- Wobec tego musi pan przyznać, że jego metody są dokładnie takie jak w przypadku kradzieży u lady Culpepper.

- Nie sądzą...

Georgiana, spragniona podzielenia się z kimś swoimi odkryciami, jeszcze raz mu przerwała.

- Jak pan wie, Kota nigdy nie złapano. Jestem przekonana, że po serii kradzieży złodziej osiadł gdzieś na wsi, żeby zaplanować następne włamania w innym miejscu. A tym miejscem jest Bath! - zakończyła, robiąc zamaszysty gest. Z zapartym tchem czekała, by Ashdowne pochwalił jej bystrość lub przynajmniej wyraził uznanie.

Wbrew jej oczekiwaniom, markiz wydawał się całkiem obojętny na to osiągnięcie. Nawet gorzej. Wytworny arystokrata zaczął rozcierać podbródek tak, jakby chciał się obudzić z koszmarnego snu.

- Georgiano, chyba nie wyobraża sobie pani, że pan Hawkins mógłby być Kotem? - spytał, wyraźnie zirytowany.

- O, nie! - odparła. - Znalazłam lepszego podejrzanego. Pana Savonierre'a! - oznajmiła triumfująco.

Niestety, Ashdowne nie podzielił jej entuzjazmu. Przeszył ją badawczym spojrzeniem.

- Nie. - Pokręcił głową. - Nie, Georgiano. Posunęła się pani zbyt daleko.

- Co pan ma na myśli? - spytała rozczarowana brakiem uznania dla swoich wniosków. Bądź co bądź, nawet pan Jeffries nie zauważył podobieństwa tej kradzieży do włamań Kota. Sama na to wpadła, więc byłoby jej doprawdy miło, gdyby usłyszała pochwałę. Tymczasem Ashdowne patrzył na nią tak, jakby rzeczywiście zamierzał ją udusić.

- Dość było zamieszania, gdy śledziła pani Whalseya i Cheevera, a potem tego obłudnego wielebnego. Savonierre jest niebezpieczny. Musi pani natychmiast skończyć z tymi niedorzecznościami. - Zacisnął usta.

- Niedorzecznościami? - Czy Ashdowne nazwał jej śledztwo "niedorzecznościami"? Czy właśnie tak o nim naprawdę myśli? - Co pan chciał przez to powiedzieć?! - spytała groźnie. - Sam pan poprosił, żebym przyjęła go na pomocnika i dlatego wydało mi się, że różni się pan od innych mężczyzn. Proszę nie pokazywać, że jest pan takim samym zarozumiałym, despotycznym osobnikiem jak reszta!

- Nie jestem. Podziwiam panią, Georgiano. Uważam jednak, że w tym przypadku bystrość może pani zaszkodzić. Nie może pani oskarżyć jednego z najbardziej wpływowych ludzi w kraju o kradzież biżuterii! - powiedział z zaciętą miną, która tylko jeszcze bardziej ją zdenerwowała.

- A dlaczego nie? Spędziłam kilka dni na sprawdzaniu w starych gazetach, gdzie przebywał pan Savonierre w dniach kradzieży Kota, i zawsze przypadkowo był we właściwym czasie na właściwym miejscu.

- Georgiano, to nic nie znaczy - upierał się Ashdowne. - Na pewno dziesiątki osób z towarzystwa chodzą na te same bale i przyjęcia.

- Otóż nie - odparła Georgiana, niebezpiecznie bliska wybuchu. Czyżby Ashdowne uważał ją za głupią? - Znalazłam tylko dwie

osoby, które zawsze były tam, gdzie Kot popełniał kradzieże. Jedną jest Savonierre, a drugą pan!

Ashdowne długo przyglądał jej się bez słowa, wreszcie wzruszył ramionami.

- Jestem dumny, że gazety tak sumiennie odnotowują moje poczynania. Jednakże nie powinna pani bezkrytycznie wierzyć we wszystko, co tam się wypisuje - ciągnął bagatelizującym tonem. Nagle stał się znowu tym Ashdowne'em, którego kiedyś poznała, chłodnym i nieprzystępnym. - Moja miła panno, jesteś bystra, ale nie znasz życia - dodał kpiąco.

W jednej chwili przekreślił tym wszystkie swoje zasługi. „Miła panna”? A gdzie się podziała "moja kochana Georgiana"? - zastanawiała się zmieszana, przypominały jej się bowiem czułości, które kiedyś je szeptał.

- Naprawdę nie przywiązywałbym wielkiej wagi do przypadkowej zbieżności miejsc, zwłaszcza że źródłem informacji są nie sprawdzone plotki - oświadczył arogancko.

Georgiana miała ochotę wymierzyć mu policzek. - Co zaś do Kota, to już od dawna go nie ma. Prawdopodobnie ktoś złapał go na kradzieży jakiejś błyskotki, zabił i w tajemnicy pogrzebał. - Urwał i uniósł brew. - Chyba że ma pani na ten temat inne zdanie.

- Naturalnie. Nie mogę dowieść, że Kot jeszcze żyje, ale pan mnie nie przekona, że jest inaczej - odparła. Nagle nabrała dziwnego przekonania, że wiedziałyby, gdyby taki godny przeciwnik już nie żył, dlatego odrzuciła teorię Ashdowne'a równie łatwo, jak on rozprawił się z jej pomysłem. Przez chwilę próbowała uporządkować myśli, wreszcie wlepiła wzrok w Ashdowne'a, całkiem zdezorientowana.

- Co się z panem dzieje?

- Widocznie nie lubię, kiedy oskarża się mnie o bycie zwykłym złodziejem - odparł gładko.

- Po pierwsze, Kot nie jest zwykłym złodziejem, a po drugie, wcale pana nie oskarżam - powiedziała Georgiana. - Moim zdaniem Kotem jest Savonierre.

Ashdowne zrobił jeszcze bardziej zaciętą minę.

- Mówiłem, żeby nie mieszać do tego Savonierre'a. — Ścisnął ją za ramię z taką siłą, że aż syknęła. - Jeśli upiera się pani przy prowadzeniu śledztwa, to niech pani znajdzie sobie kogoś

nieszkodliwego, z kim można bezpiecznie się bawić w takie wymysły. Od Savonierre'a niech pani trzyma się z dala.

Wymysły? Odrąciwszy rękę, której dotyk jeszcze niedawno tak ją cieszył, Georgiana potrząsnęła głową.

- Nie ma pan prawa mi rozkazywać!

- Nie? - Chociaż Ashdowne wciąż zachowywał pozory chłodu, Georgiana skrzyżowała z nim spojrzenia i zobaczyła w jego pięknych, niebieskich oczach całkowity zamęt. Nie mogła zrozumieć nagłej zmiany w jego zachowaniu. Oboje zastygli w bezruchu tak pochłonięci sobą, że nie usłyszeli w porę kroków.

- Ho, ho, Ashdowne. Czy pan pamięta, że tu jest publiczne miejsce? Nie wiem, co pan zamierza, ale postronny obserwator mógłby sądzić, że chce pan zastraszyć tę damę. Może nie powinienem się wtrącać, ale honor dżentelmena nakazuje mi interweniować. Czy mogę w czymś pomóc, panno Bellewether?

Georgiana była tak wytrącona z równowagi, że dopiero po chwili zauważyła swego głównego podejrzanego, który stanął przed nią i w dodatku zaproponował jej pomoc.

- Pan Savonierre! Z nieba mi pan spadł. Właśnie chciałam pana zobaczyć.

Nieznacznie uniósł kąciki ust.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Może wobec tego pójdziemy na spacer? - Podał jej ramię.

Georgiana była tak wściekła na swojego pomocnika, że skinęła głową, zachwycona gniewną miną Ashdowne'a, który zresztą szybko przybrał maskę obojętności. A niech się złości! Nie miał prawa dyktować jej, co powinna robić, ani tak nieuprzejmie jej potraktować. Bardzo się na nim zawiodła.

- Mieliśmy właśnie prywatną rozmowę z panną Bellewether - oświadczył Ashdowne i zrobił krok naprzód, jakby chciał zagrozić im drogę,

Savonierre spojrzał na niego zdziwiony. Wyraźnie dał mu do zrozumienia, że takie maniery są niegodne dżentelmena.

- Zdaje mi się, że ta rozmowa dobiegła już końca. Czy mam rację, panno Bellewether?

- Tak - cicho odrzekła Georgiana. Nie miała markizowi nic więcej do powiedzenia, póki nie ochłonie i nie zacznie się

zachowywać poprawnie. Duninie uniosła głowę i odwróciła się do Savonierre'a.

- Przepraszamy, Ashdowne, może zechce nas pan przepuścić. - Przez długą chwilę Georgiana sądziła, że markiz jednak nie ustąpi, i obawiała się nawet, że wybuchnie scysja. Zdażyła pożałować swojej decyzji, w końcu jednak Ashdowne wolno odsunął się na bok i z oskarżycielskim spojrzeniem nieznacznie skłonił przed nią głowę.

Chociaż nie ulegało wątpliwości, że przed chwilą to on zachował się bardzo niewłaściwie, Georgianie zebrało się na płacz. Opanowała się jednak i wyminęła markiza. Nie oglądając się za siebie, odeszła z Savonierre'em, zdecydowana skupić się z powrotem na śledztwie, a nie na roztrząsaniu swych uczuć do Ashdowne'a,

- Prawdę mówiąc, nie mogę przypisać naszego spotkania przypadkowi, ponieważ szukałem pani. - Georgiana drgnęła, zaskoczona jedwabistym tonem głosu Savonierre'a. Kątem oka spojrzała na tego człowieka, z którym lekkomyślnie zgodziła się iść na spacer. W jego słowach było coś niepokojącego.

- Zastanawiałem się właśnie, czy dowiedziała się pani czegoś nowego w sprawie kradzieży u lady Culpepper - wyjaśnił, a na ustach pojawił mu się lekki grymas, jakby zniecierpliwiła go jej nieufność.

Tylko tyle, że to pana sprawka, pomyślała. Wezbrał w niej nerwowy chichot, ale stłumiła go i tylko pokręciła głową, żeby nie kłamać w żywe oczy.

Savonierre pod wieloma względami przypominał Ashdowne'a. Był wysoki, poważny, przystojny i roztaczał władczą aurę, która zdawała się towarzyszyć bogactwu i wysokiej pozycji w społeczeństwie. Ale różniło go wyrachowanie. Ashdowne nie sprawiał wrażenia wyrachowanego nawet w najmniej korzystnych dla siebie chwilach. Owszem, bywał niebezpieczny, Georgiana czuła to zawsze, ilekroć coś go rozgniewało. Wydawało jej się wtedy, że spręży się do skoku. Od Savonierre'a sączyły się złowieszcze fluidy nawet w najbardziej niewinnych sytuacjach, zupełnie jakby za maską cywilizowanego człowieka krył się bezwzględny drapieżnik czyhający na zdobycz.

Może to właśnie ta drapieżność sprawiała, że Georgiana czuła się w jego obecności niepewnie, zanim jeszcze zaczęła podejrzewać go o kradzież. Może winna było jego mroczna powaga? Chociaż Savonierre nigdy nie zatrzymał wzroku na jej kobiecych wdziękach,

to nie mogła pozbyć się wrażenia, że ten człowiek widzi przez ubranie. Miał po prostu zbyt przenikliwe i posępne spojrzenie. A może rzecz polegała na jego poczuciu wyższości? Owszem, Savonierre zawsze imponował ogłębłą, obracał się w najlepszym towarzystwie, ale Georgiana miała nieodparte wrażenie, że nic to dla niego nie znaczy. Zresztą, dlaczego miałyby znaczyć?

Savonierre powoli odwrócił się do niej i lekko uśmiechnął, jakby nie tylko wiedział, że jest obserwowany, lecz również znał każdą jej myśl. Poczwała, jak pod rękawiczkami zaczynają jej się pocić dłonie. Z mocno bijącym sercem zaczęła manipulować przy wachlarzu. Zawsze myślała o włamywaczach z pewną obawą, ale teraz obudził się w niej lęk, jakiego wcale nie czuła, gdy śledziła Whalseya i potem Hawkinsa. W końcu udało jej się rozłożyć wachlarz, a chociaż nigdy nie opanowała zawilej sztuki kokietowania za jego pomocą, to przynajmniej mogła trochę ochłodzić rozpalone policzki.

- Rozumiem, że śledztwo utknęło w martwym punkcie - odezwał się znowu Savonierre.

Wybąkała coś w odpowiedzi. Niestety, nie mogła się skupić na swoim zadaniu, bo myślami wciąż wracała do kłótni z Ashdowne'em. Zła na siebie, że roztkliwia się nad nim jak głupia, zauroczona panna, wreszcie zdołała zmusić umysł do pracy. Gdyby w jakiś sposób udało jej się przejąć inicjatywę...

- Chyba że pan wie o czymś, o czym ja nie wiem - powiedziała z nadzieją, że Savonierre nie zauważy drżenia jej głosu. Skręcili w stronę kamiennego mostu nad rzeką.

Savonierre zerknął na nią pytająco, ale Georgiana nie powiedziała już ani słowa więcej.

- Może pomogłoby pani obejrzenie miejsca przestępstwa - podsunął. - Prawdę mówiąc, właśnie chciałem paną zaprosić na małe spotkanie towarzyskie u lady Culpepper dziś wieczorem. Liczyłem na to, że przyjmie pani zaproszenie i będziemy wtedy mogli dłużej porozmawiać o kradzieży.

Zachowywał się tak, jakby ulica była nie dość dyskretnym miejscem do rozmowy, i to wyostrzyło jej czujność. Ale pokusa zobaczenia jeszcze raz domu lady Culpepper od środka była silna, zwłaszcza że Savonierre oferował jej wolny wstęp. Może nawet udałoby mi się porozmawiać ze służbą? - pomyślała, gdy wchodzili na most.

- Bardzo chętnie, dziękuję.

- Doskonale. Cieszę się, że panią tam zobaczę. - Wykorzystując swą niemałą, jak się okazało, siłę, przyciągnął ją do siebie. Byli prawie na środku mostu. Georgiana, zakłopotana ich nagłą bliskością, próbowała się odsunąć, ale Savonierre trzymał ją mocno. Wreszcie wyszarpnęła rękę, ale gwałtowny ruch zakłócił jej równowagę. Szeroko rozrzuciła ręce, starając się odzyskać pion, niechybnie jednak przekościółkowałyby przez barierkę, gdyby Savonierre w ostatniej chwili jej nie złapał.

- Niech pani nie zbliża się zanedo do balustrady - ostrzegł szorstko. Georgiana nieprzytomnie pokręciła głową. Czy ten człowiek próbował ją przed chwilą zepchnąć w dół, czy tylko groził jej, że coś takiego może się stać? Nie wiedziała, co robić. Czuła się jak zwierzę zapędzone do rogu.

Gdy jednak w końcu odważyła się spojrzeć na swojego towarzysza, zorientowała się, że jest nie mniej wstrząśnięty niż ona, a może nawet bardziej. Twarz miał białą jak kreda, ustami chciwie chwycił powietrze. Georgiana patrzyła na to zdumiona.

- Obawiam się, że odkryła pani moją słabość - powiedział, gdy już się opanował i jego twarz odzyskała zwykły chłodny wyraz. - Nie lubię dużych wysokości - wyznał krótko, znowu podał jej ramię i ruszył ku drugiemu przyczółkowi mostu.

Georgiana wlokła się za nim, a w głowie miała kompletny chaos. Kot miałby lęk wysokości? To niemożliwe! Przecież znano go z zuchwałości i zręczności! Musiała zdradzić się ze swym zmieszaniem, bo Savonierre zwrócił się do niej i złowieszczo przeszył ją wzrokiem.

- Ufam, że mogę liczyć na pani dyskrecję w tej sprawie - powiedział uprzejmym tonem, w którym pobrzmiwała jednak nie wypowiedziana groźba. - Nie chciałbym żywić urazy do tak pięknej młodej damy.

Georgiana drętwą skinięła głową, niepewną, czy dać wiarę wyznaniu Savonierre'a. Ten człowiek był dostatecznie sprytny, by podsunąć jej fałszywy trop, to jednak znaczyłoby, że wie o jej podejrzeniach. A skąd mógłby wiedzieć? Georgiana bardzo żałowała, że Ashdowne zachował się tak dziwnie, bo teraz mogłaby wykorzystać jego wiedzę o towarzystwie.

Nagle przystanęła strwożona, dotarła bowiem do niej straszna prawda. Jeśli Savonierre naprawdę cierpiał na lęk wysokości, to został jej już tylko jeden, jedyny podejrzany: Ashdowne!

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Georgiana stała w pijalni i nerwowo bawiła się wachlarzem, podczas gdy Bertrand siedział w pobliżu. W innych okolicznościach gorliwie podsłuchiwałyby toczony wokół rozmowy, ale tego wieczoru myślami była przy czekającym ją spotkaniu z Savonierre'em.

Przez kilka godzin po ich rozstaniu intensywnie rozmyślała nad pytaniami, jakie mogłaby postawić swojemu głównemu oskarżonemu, ale było to bardzo trudne zadanie. Może najlepiej byłoby zacząć od ustalenia prawdziwych powodów jego przyjazdu do Bath i sprawdzenia alibi na czas kradzieży. Tylko jak to zrobić, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń? Georgiana w skupieniu zmarszczyła czoło, niespodziewanie jednak zobaczyła Ashdowne'a zmierzającego prosto w jej stronę.

Rozejrzała się bezradnie, szukając sposobu na uniknięcie tego spotkania, ale jedyną osobą w pobliżu był Bertrand, na którego pomoc nie mogła liczyć. Wprawdzie zazwyczaj nie była tchórzem, nie mogła jednak ścierpieć myśli o następnej kłótni ze swoim pomocnikiem. Jeśli w ogóle kiedykolwiek nim był. Po przykrym incydencie, kiedy Ashdowne zabronił jej dalej prowadzić śledztwo, dziewczyna uznała, że markiz nie jest godzien być jej pomocnikiem. O tym, jak boli ją z tego powodu serce, wołała nawet nie myśleć.

Jej niepokój jeszcze się nasilił, gdy dostrzegła posępną twarz Ashdowne'a. Nie chcąc, żeby markiz po raz kolejny wyładował na niej swą niepojętą złość, odwróciła się do Bertranda, ale nie zdążyła zająć brata rozmową.

- Przepraszam, ale chciałbym porozmawiać z pana siostrą - powiedział Ashdowne szybko, jakby przejrzał zamiary Georgiany. Dziewczyna przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie odmówić mu audiencji, lecz jedno spojrzenie w jego pochmurne oczy wystarczyło, by zrezygnowała z tego zamiaru.

- Słucham - powiedziała, gdy prawie przycisnął ją do ściany. Naprawdę potrafił być groźny. Georgiana musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby skrzyżować z nim spojrzenia. Ale gdy to zrobiła, natychmiast pomyślała, że Ashdowne nie wygląda dobrze. Wydał jej się... nieobecny duchem. Udręczony. Nieszczęśliwy. Jej wcześniejsza niechęć szybko topniała. Już nie miała ochoty się z nim kłócić. Najchętniej pogłaskałaby go po policzku, by wygładzić zdradzające zatroskanie bruzdy.

- Przepraszam - powiedział tak cicho, że Georgiana ledwie go zrozumiała.

- Słucham?

- Przepraszam - powtórzył, tym razem głośniej. - Zdaję sobie sprawę z tego, że po południu zachowałem się dość bezceremonialnie, ale po prostu próbuję panią chronić, Georgiano. Takie mam zadanie, pamięta pani? - Zabrzmiało to tak szczerze, że aż się uśmiechnęła. Nie znosił sprzeciwu i lubił komenderować innymi, to prawda, ale i tak nigdy nie znała wspanialszego mężczyzny.

- Co ze śledztwem? - spytała trochę napastliwie. Ashdowne nabrał powietrza do płuc, jakby starał się uspokoić.

- Coś wymyślimy - powiedział.

Georgiana wpadła w euforie i trwała w tym stanie pełną minutę, póki nie zobaczyła bratowej Ashdowne'a, z wdziękiem torującej sobie drogę przez tłum.

- A pana krewna? - spytała, mierząc kobietę nieprzychylnym spojrzeniem. - Nie dość, że jest pan bez przerwy atakowany przez wszystkie matki panien na wydaniu, to jeszcze osaczyła pana ta rozpieszczona...

Ashdowne osłupiał, a Georgiana gwałtownie urwała i zarumieniła się,

- Dobrze, przyznaję - podjęła po chwili - jestem zazdrosna. Nienawidzę tej typowo kobiecej cechy, ale jeśli mam być pod pana opieką, to powinnam mieć prawo do pańskiej niepodzielnej uwagi. Tymczasem ludzie mówią... no, mówią, że jesteście o krok od ślubu!

- Z moją bratową? - Ashdowne spojrział na Georgianę z niedowierzaniem i wybuchnął śmiechem. - Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej przerażającej perspektywy! - wydusił z siebie po chwili. I chociaż Georgiana wołałaby, żeby mniej zwracali na siebie uwagę, to tak ucieszyła ją jego odpowiedź i tak uszczęśliwił jego śmiech, że nie miała serca winić go za hałaśliwe zachowanie.

- Anne jest najnudniejszą z nudnych istot i chociaż jako głowa rodziny mam wobec niej zobowiązania, to prawdę mówiąc, na jej widok dostaję gęsiej skórki. Zresztą nie pojmuję, jak ona zdobyła się na tę podróż, bo w życiu nie widziałem bardziej lękliwej osoby. No, ale widocznie miała powód. Tylko że ile razy ją o to pytam, albo wybucha płaczem, albo ucieka jak spłoszony zając. Może pani

mogłaby się czegoś od niej dowiedzieć? - zaproponował. - To jest właśnie taka zagadka, jakie pani uwielbia.

Pochwała zrobiła swoje. Georgiana poczuła, że do oczu napływają jej łzy. Nie z żalu, lecz z radości. Nagle doszła do wniosku, że bycie kobietą ma czasami dobre strony. Widocznie to uczucie odmalowało się na jej twarzy, bo Ashdowne'owi złagodniały rysy i przez jedną straszną chwilę Georgiana obawiała się, że chce ją pocałować na oczach wszystkich obecnych.

Ale tylko dotknął czubka jej nosa.

- Pani jest po prostu niezrównana. Dlatego bardzo chciałbym z panią porozmawiać na osobności o przedłużeniu naszego związku.

Georgiana zdobyła się na wąty uśmiech, ulżyło jej bowiem, że znów zapanowała między nimi zgoda.

- Czy chce pan nadal być moim pomocnikiem? - spytała. Ashdowne jęknął.

- Niewątpliwie, ale myślałem o czymś bardziej...

- O, panna Bellewether. - Dźwięk jedwabistego głosu Savonierre'a położył kres krótkiej idylli. Georgianę tak bardzo pochłonęło godzenie się z markizem, że zupełnie zapomniała o obietnicy danej panu Savonierre'owi. Markiz wzdrygnął się, jakby zadano mu cios prosto w serce, i spojrzał na nią pytająco.

- Musi pan nam wybaczyć, markizie, ale jesteśmy umówieni - powiedział Savonierre i stanowczym gestem podał ramię Georgianie. Zaczerwieniła się, bo zakłopotało ją spojrzenie Ashdowne'a, nie mogła jednak zdradzić mu swoich planów na ten wieczór w obecności Savonierre'a.

Przez krótką chwilę Georgiana rozważała myśl o rezygnacji z pójścia na przyjęcie, ale za nic nie mogła stracić okazji do przesłuchania Savonierre'a. Przecież mógł przed nią tylko udawać lęk wysokości. Poza tym bardzo chciała dostać się do domu lady Culpepper. Przesłała więc Ashdowne'owi przepraszające spojrzenie, wiedziała bowiem, że nie wolno jej zrezygnować z możliwości obejrzenia miejsca kradzieży. Gdy Savonierre przypomniał jej, że muszą się pośpieszyć, Georgiana pomyślała o Bertrandzie, który czasem bywał jej przyzwoitką, acz zawsze bardzo niechętnie.

- Przyproceedziłam mojego brata - bąknęła. Po tym dziwnym zdarzeniu na moście postanowiła unikać przebywania sam na sam z panem Savonierre'em. Zaczęła gorączkowo rozglądać się po pijalni.

- Jestem - odezwał się Bertrand, który nagle pojawił się obok nich. Savonierre przesłał mu kwaśne spojrzenie, ale powstrzymał się od komentarza. Natomiast Ashdowne był tak milczący i nieruchomy, że Georgiane ogarnął obezwładniający lęk, tym gorszy, że pamiętała dobrze, co ostatnio między nimi zaszło.

- Do widzenia, milordzie - powiedziała, ale on tylko bacznie się w nią wpatrywał i jeszcze przez chwilę śledził ją wzrokiem, gdy wychodziła z pijalni.

Mimo nadziei na postęp w śledztwie, Georgiana wpadła w melancholijny nastrój. Bertrand, idący obok niej, był całkiem obojętny na wszelkie uczuciowe subtelności, nie mógł więc służyć jej pociechą. Natomiast pan Savonierre był chłodny i złowieszczy jak zwykle. Po raz pierwszy Georgiana zaczęła się zastanawiać, czy jej śledztwo rzeczywiście jest takie ważne, jak sądziła.

Czuła się okropnie. W gardle ją ścisnęło, w sercu kłuło, jakby właśnie zdradziła Ashdowne'a. Wmawiała sobie, że markiz jest tylko jej pomocnikiem, ale nie mogła dłużej w ten sposób się oszukiwać. Przecież ten mężczyzna tyle dla niej znaczy! Nagle uświadomiła sobie z bólem, jak wiele. Po prostu zakochała się w wytwornym markizie, we wszystkich jego wcieleniach.

Ta świadomość, choć pod pewnymi względami przyjemna, bardziej budziła jej obawy, niż skłaniała ku euforii. Jeśli o to chodziło stryjowi Silasowi, gdy wspominał o braku uczuć w swoim życiu, to Georgiana nie była skłonna poprzeć go bez zastrzeżeń. Miłość, wbrew temu co twierdziły jej matka i siostry, niosła ze sobą również cierpienie i niepokój. Georgiana najchętniej obróciłaby się na pięcie i pobiegła do Ashdowne'a, by wyznać mu prawdę, nie miała jednak pojęcia, jak zareagowałby na taką deklarację. Przerażeniem? Rozbawieniem? Zakłopotaniem? To złamałoby jej serce.

Na domiar złego musiała teraz zdwoić uwagę wobec pana Savonierre'a. Zaniechała więc rozmyślań o swych sercowych kłopotach i skupiła się na człowieku, który szedł obok niej. Musiała jak najszybciej uporać się ze śledztwem, wyglądało bowiem na to, że stanęło ono na jej drodze do szczęścia.

Wprawdzie brakowało jej opieki pomocnika, przynajmniej jednak wykazała dość przezorności, by wziąć ze sobą Bertranda. U lady Culpepper obecność brata dodawała jej otuchy, bo ten wieczór wcale nie przypominał brzemiennego w skutki balu. Grupka gości była

bardzo mała, a nastrój tak kameralny, jak to tylko możliwe w wielkim, przestronnym salonie.

Dopiero gdy Bertrand gdzieś zniknął, zostawiając siostrę pod opieką pana Savonierre'a, Georgiana znowu pożałowała, że zdecydowała się tu przyjść. Savonierre rzekomo przyjechał do Bath, by pomóc lady Culpepper, ale nie wydawał się szczególnie zainteresowany jej osobą. Traktował ją z tą samą chłodną uprzejmością jak innych. A gdy zatrzymał swe przenikliwe spojrzenie na Georgianie, ta skuliła się niemal pod jego wzrokiem.

- Miałem nadzieję, że będziemy mieli okazję porozmawiać na osobności... o kradzieży - powiedział. Ujął ją za ramię i zaprowadził do saloniku, w którym kiedyś Georgiana przesłuchiwała lady Culpepper. Pokój był teraz pusty, więc zawahała się na progu. Do tej pory zawsze skutecznie gasiła zapędy nadmiernie gorliwych adoratorów, zresztą nie potrafiła sobie wyobrazić Savonierre'a zamieniającego się nagle w jednego z tych bełkotliwych, sapiących osobników. Mimo to dobrze wiedziała, że takie sam na sam z dżentelmenem nie jest rozsądnym krokiem.

Na wspomnienie Ashdowne'a i tego, co razem robili, spłonęła rumieńcem. Savonierre z pewnością nie będzie próbował takich poufałości, pomyślała, gdy towarzysz popchnął ją do środka, lecz kiedy zamknął starannie drzwi, wpadła w popłoch.

- Niech pani usiądzie - powiedział, wskazując eleganckie krzesło. Georgiana sztywno zajęła miejsce i bardzo się ucieszyła, gdy Savonierre wybrał krzesło naprzeciwko, a nie jedną z sof. Chociaż nie wyglądało to na wstęp do flirtu, w skąpo oświetlonym wnętrzu czuła się dość nieswojo.

- Teraz możemy porozmawiać o tej kradzieży bardziej otwarcie. Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że w obecności... innych osób czuje pani pewne skrepowanie - gładko zaczął Savonierre.

- W zasadzie nie mam nic do dodania - powiedziała Georgiana, unikając jego spojrzenia. Starła się sformułować w myślach pytanie, które chciała mu zadać.

- Naprawdę? - spytał z tak powątpiewającą miną, że Georgiana znowu się zarumieniła. - Myślałem, że pani jest sprytniejsza, panno Bellewether.

Natychmiast się najeżyła, słysząc nutę rozbawienia w jego głosie. Czyżby stroił sobie z niej żarty? Nie potrafiła jednak ocenić, czy Savonierre mówi szczerze, tyle rezerwy było w jego zachowaniu.

- Wciąż jeszcze próbuję ustalić następstwo faktów - powiedziała lekko zniecierpliwiona. - Na przykład kiedy dokładnie przyjechał pan do Bath, panie Savonierre? - Czyżby dostrzegła w jego ciemnych oczach błysk rozbawienia?

- No, teraz potwierdza się moja opinia o pani zdolnościach, panno Bellewether. Chyba nie sądzi pani, że mam cokolwiek wspólnego z kradzieżą?

Gdy Georgiana bez słowa potrząsnęła głową, wybuchnął głośnym śmiechem.

- Jest pani bardzo interesującą osobą. Już rozumiem, dlaczego Ashdowne tak krótko panią trzyma - stwierdził.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - Zaskoczona wzmianką o markizie, który przez cały czas zajmował jej myśli, pochwyciła spojrzenie Savonierre'a. Było tak skupione i przenikliwe, że poczuła się prawie naga. Miała przykre uczucie, że ten mężczyzna pozbawia ją woli. Nie grał na jej zmysłach tak jak Ashdowne, lecz po prostu przytłaczał ją siłą mrocznej osobowości.

Dreszcz, który ją przeszył, był objawem strachu. Czyżby ten człowiek był demonem? Jako miłośniczka faktów, Georgiana rzadko miała takie myśli, ale spojrzenie Savonierre'a ją onieśmiało. Gdy wreszcie wydało jej się, że dłużej go nie zniesie, Savonierre odwrócił głowę i nagle odczuła niewysłowioną ulgę.

- Och, nie miałem nic konkretnego na myśli - odparł, niefrasobliwie rozglądając się po salonie, jakby wcale nie próbował sparaliżować jej woli. Gdy znów na nią spojrzął, nie podjęła wyzwania. - Z drugiej strony na pewno jest pani dostatecznie bystra, by pojąć, co chciałem jej dać do zrozumienia. Proszę się nad tym zastanowić. Sama.

Zamrugła powiekami. Słowa tego człowieka zdawały się zawierać tajne przesłanie, którego nie umiała odczytać. Gorączkowo próbowała skupić myśli, ale przyszło jej do głowy tylko jedno. Ashdowne miał rację. Savonierre okazał się zbyt niebezpiecznym przeciwnikiem.

- No cóż, panno Bellewether, znalazłem się w trudnym położeniu, ponieważ detektyw z Bow Street również nie doszedł do

żadnych godnych uwagi wniosków. - Znów beztrąsko skierował rozmowę na śledztwo, jakby bagatelizując swe poprzednie, dwuznaczne wypowiedzi.

- Przypuszczam, że pewne sprawy sprawiają trudności nawet profesjonalistom - zauważyła Georgiana, starając się z całych sił nie tracić wątku rozmowy.

- Możliwe - zgodził się Savonierre. - Pani, panno Bellewether, bardzo mnie rozczarowuje. Sądziłem, że kto jak kto, ale pani szybko rozwiąże tę zagadkę.

Georgiana nie wiedziała, czy wziąć to za obrazę, czy za pochlebstwo.

- Osobie z zewnątrz, takiej jak ja, trudno jest uzyskać dostęp do wszystkich niezbędnych informacji. Na przykład nie mogę wypytać służby ani obejrzeć miejsca kradzieży - broniła się.

Nieruchome dotąd rysy Savonierre'a wreszcie drgnęły.

- Czy chce pani zobaczyć pokój, z którego skradziono szmaragdy? - spytał obojętnym tonem.

- Naturalnie! Niczego bardziej nie pragnę! - wykrzyknęła bez zastanowienia.

Savonierre uśmiechnął się nieznacznie, choć nie było w tym uśmiechu ciepła.

- Moja droga panno Bellewether, gdybym tylko wiedział o pani gorącym pragnieniu, zaspokoiłbym je natychmiast - oświadczył.

Georgiana zmieszała się mocno, chociaż wyraz twarzy Savonierre'a nie zmienił się ani na jotę. Wyczuwała, czy to instynktem detektywa, czy jeszcze nie w pełni rozwiniętą kobiecą intuicją, że Savonierre nie jest nią naprawdę zainteresowany. Być może należał do tych hultajów, którzy czyhali na kobiety, gdyż ekscytował ich sam podbój. A może igrał z nią tylko z powodu Ashdowne'a.

Ależ tak! Tknięta tym podejrzeniem, nagle odzyskała jasność myślenia. Podniosła więc głowę, parodiując dumną pozę Savonierre'a.

- Kiedy mogę go obejrzeć?

- Nawet teraz - odrzekł. - Kazałem zamknąć drzwi i trzymać pokój pod strażą. Znajdzie go pani w takim stanie jak w wieczór kradzieży.

Georgiana drgnęła, gdy pan Savonierre wstał i podał jej ramię. Po chwili pokręciła przecząco głową.

- Myślę, że zajmę się tym jutro. Mogę tu przyjść z samego rana, proszę tylko zostawić służbie niezbędne wskazówki.

Czując na sobie jego spojrzenie, starała się nie okazywać prawdziwych uczuć, ale i tak usłyszała cichy chichot.

- Moja droga panno Bellewether, czyżbym miał rozumieć, że nie ufa mi pani?

Georgiana nie odpowiedziała, więc zaśmiał się dość ponuro.

- Trudno, przejrano moje zamiary. Może jednak jest pani wystarczająco sprytna, żeby znaleźć złodzieja. - Jego uśmiezek bardzo ją zirytował. - Wobec tego do jutra, ale umówimy się o jedenastej. Polecę panu Jeffriesowi, żeby zaprowadził panią na miejsce kradzieży. Z nim chyba będzie się pani czuła bezpieczna, prawda? - Na chwilę zamilkł i przesłał jej taksujące spojrzenie. Gdy przytaknęła, nieznacznie skłonił głowę. - Doskonale. Może ten głupiec będzie się mógł czegoś od pani nauczyć.

- Dziękuję - zdołała wybąkać, ale Savonierre nie odpowiedział. Otworzył drzwi, zaprowadził ją z powrotem do salonu i zostawił pod opieką Bertranda, Odetchnęła z ulgą, ale Savonierre jeszcze raz się do niej odwrócił.

Spojrzał jej prosto w oczy.

- Wierzę w panią, panno Bellewether - powiedział tonem, w którym zdawały się pobrzmiwać groźne nuty. A potem skinął jej głową i już go nie było.

Pod Georgiana ugięły się kolana. Musiała wesprzeć się na ramieniu brata, żeby nie upaść. Dopiero gdy ochłonęła po tym wyczerpującym spotkaniu, zaczęła się zastanawiać, na czym polega gra Savonierre'a. Co zamierzał uzyskać, pokazując jej sypialnię lady Culpepper? Pokręciła głową. Nie wiedziała tego, lecz była zbyt podniecona oczekiwaniem na następny dzień, by przejmować się motywami Savonierre'a.

Wreszcie będzie mogła zobaczyć miejsce kradzieży.

Omów nie powiedziała o wszystkim Ashdowne'owi. Miała nawet taki pomysł, żeby wziąć go z sobą do lady Culpepper. Powstrzymała się przed tym z kilku powodów. Przede wszystkim nie wiedziała, o której markiz zwykł wstawać, a nie chciała zrywać go z łóżka, tym bardziej że byłaby to nieco kłopotliwa sytuacja. Naturalnie Ashdowne zabronił jej odwiedzać go w domu, ale tego zakazu Georgiana nie traktowała poważnie.

Ważniejszą sprawą było to, by dotrzeć do lady Culpepper na czas, bo nie wypadało się spóźnić. Co gorsza, Savonierre, który nie był w przyjaznych stosunkach z Ashdowne'em, mógłby wycofać zaproszenie, gdyby Georgiana zjawiała się ze swym pomocnikiem.

Może kierowało nią wyrachowanie, lecz Georgiana była przekonana, że musi zakończyć śledztwo, by wreszcie bez przeszkód zająć się swymi sercowymi kłopotami. A chociaż zwykle nie miewała kaprysów, musiała przyznać, że najchętniej obejrzałaby miejsce kradzieży sama, bez jakichkolwiek założeń i uprzedzeń. Wytłumaczyła sobie, że Ashdowne czasem nie traktuje spraw dostatecznie serio, chociaż wiedziała, że jej ostrożność ma również inne źródło.

Dlatego Georgiana stawiała się sama u lady Culpepper, dokładnie o godzinie jedenastej. Niezwłocznie wprowadzono ją do salonu, gdzie był już pan Jeffries. Wyglądał tak jak zawsze: miał zmięte, choć porządne ubranie. W każdym razie jego obecność wydała się Georgianie znacznie bardziej krzepiąca, niż można by przypuszczać.

- Dzień dobry, panno Bellewether - powiedział, skłaniając przed nią głowę. - Rozumiem, że chciałaby pani obejrzeć sypialnię naszej gospodyni? - Georgiana już otworzyła usta, ale zamknęła je bez słowa, gdy dostrzegła błysk w oku detektywa. Pan Jeffries doskonale wiedział, jak bardzo jej na tym zależy.

- Tak, naturalnie - powiedziała po chwili.

Pan Jeffries odwzajemnił jej uśmiech i chociaż spodziewała się, że może być zazdrosny o wkraczanie na jego terytorium, zachowywał się tak samo uprzejmie i życzliwie jak zawsze. Bez ociągania zaprowadził ją na górę.

- Dlaczego pana zdaniem pan Savonierre nie pozwolił niczego ruszać w tym pokoju? - spytała szeptem pana Jeffriesa, zerkając ku milczącemu służącemu, stojącemu na straży.

Jeffries odczekał, aż znajdą się w środku, zamknął drzwi i dopiero wtedy odpowiedział:

- Bardzo zależy mu na złapaniu złodzieja. Może ma nadzieję, że ktoś spojrzy na wszystko świeżym okiem i dostrzeże jakiś nowy trop.

Georgiana skinęła głową i skupiła się na obserwacji pokoju. Ciężkie draperie przy oknach rozsunięto, więc gruby dywan i białe, złożone meble w stylu francuskim skąpane były w jasnym świetle dnia. Na wielkim łóżu leżała słynna szkatułka, wciąż otwarta.

Georgianę ogarnęło podniecenie. Nareszcie mogła przystąpić do prawdziwego śledztwa. Głęboko odetchnęła i zajęła się szczegółowymi oględzinami całego pokoju. Bardzo uważała, żeby niczego nie ruszyć, a Jeffries, wyraźnie z tego zadowolony, podeszedł do okien i zapatrzył się w zalany słońcem krajobraz.

Przed każdym krokiem Georgiana uważnie badała dywan, stopniowo zbliżając się w ten sposób do gęsto zastawionej toaletki. Zanotowała w myślach wszystkie przedmioty stojące na wierzchu i przyklękała, by zajrzeć pod spód. Szybko doszła jednak do wniosku, że jest tam zbyt mało miejsca, by urządzić kryjówkę. Wkrótce doszła do wąskich drzwi.

- Dokąd one prowadzą? - spytała.

- Do garderoby - wyjaśnił Jeffries, zerkając przez ramię. - Stamtąd nie ma innego wyjścia.

Georgiana w zadumie przyjrzała się drzwiom.

- Czy ktoś mógł się ukryć w garderobie przed rozpoczęciem balu?

Jeffries przecząco pokręcił głową, ale nie skwitował pytania pogardliwym uśmiechem.

- Nie. Wciąż zaglądały tam służące, a lady Culpepper była w garderobie całe popołudnie - mruknął lekceważąco, z czego można było wnosić, że nie ma zrozumienia dla tak długotrwałych przygotowań.

Georgiana uśmiechnęła się i podeszła do miejsca, z którego detektyw wyglądał na dwór.

- Czy okna były otwarte? Skinął głową.

- O ile wiem, tak samo jak teraz.

Oparłszy się o parapet, Georgiana wychyliła się na zewnątrz. Tak jak jej się zdawało, dość szeroki gzyms, utworzony przez szczyt frontonu, był stosunkowo blisko. Odwróciła głowę i ujrzała drugi, podobny gzyms po prawej stronie. Odległość między nimi była tak mała, że można było bez trudu przejść z jednego na drugi. Zaczerpnęła tchu i odważyła się spojrzeć w dół. Aż zadrżała, ziemia bowiem była daleko w dole.

Tak, niewątpliwie było możliwe przejście do tego pokoju po szczytach frontonów, tylko kto ryzykowałby skreślenie karku? Natychmiast przypomniał jej się Savonierre, niebezpieczny i wyzywający człowiek prowadzący własną grę. On na pewno nie boi

się żadnego niebezpieczeństwa, ale być może lęk wysokości uniemożliwiłby mu podjęcie się tak karkołomnej wspinaczki.

Georgiana cofnęła głowę i ruszyła dalej na obchód pokoju, wkrótce jednak zatrzymał ją odgłos przekleństwa. Zerknęła ku oknu i zobaczyła detektywa powtarzającego jej poprzednią ewolucję i pomrukującego coś o głupcach, którzy łażą po ścianach dla głupich paru kamyków.

- Teoretycznie mógł się posłużyć liną z hakiem, ale nie ma śladów zaczepiania - powiedział bardziej do siebie niż do dziewczyny. Georgiana pokręciła głową, ale się nie odezwała, jeszcze bowiem nie była gotowa, by podzielić się z kimś swoją teorią. Powoli zbliżyła się do łoża, przez cały czas wypatrując czegoś niezwykłego. Pochylona nad podłogą, dokładnie zbadała dywan między oknem a łożem.

Słyszała za plecami ciche mamrotanie Jeffriesa, przestała jednak zwracać na nie uwagę, bo zanadto pochłonęło ją śledztwo. Dywan miał kolor złocisty, z plamami czerwieni i zieleni, więc musiała wpatrywać się weń w dużym skupieniu, żeby zobaczyć cokolwiek na tle wzoru. Może gdyby barwy były ciemniejsze, nie zwróciłaby uwagi na czarne drobiny. Natychmiast przyklękła, podniosła trochę pyłu i zbadała palcami.

To nie był kurz, który osiadł na przedmiotach przez ostatnie dni. Nie była to również ziemia z ogrodu, którą ktoś mógł tu przynieść na podeszwie buta. Ta ziemia wydawała się ciemniejsza, bardziej żyzna. I nagle Georgiana z przerażeniem uświadomiła sobie, że wie, co to jest.

Chociaż w tej chwili klęczała, to omal nie upadła, bo świat zawirował jej przed oczami. Nagle zabrakło jej powietrza. Z tyłu nadal dolatywał ją monotony pomruk głosu Jeffriesa. Ręce jej drżały, bała się, że zaraz zemdleje. W końcu przeszył ją straszny ból, który pokonał jej oszołomienie i wyostrzył zmysły.

Znalazła siłę, żeby wstać z podłogi. Wciąż trzymała w palcach czarną drobinę. Dobrze wiedziała, co to jest. Ta ziemia pochodziła z doniczki, którą Georgiana przewróciła podczas balu. Ta sama ziemia zabrudziła jej suknię i obsypała elegancką kamizelkę jednego z gości.

Ashdowne'a.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Powstrzymując napływające do oczu łzy, Georgiana usiłowała zmierzyć się ze straszną prawdą. Oto mężczyzna, którego pokochała, okazał się złodziejem, prawdopodobnie sławnym włamywaczem o przydomku Kot. Z trudem zmusiła się do dalszego przeszukiwania pokoju. Na szczęście nie było tam wielu przedmiotów mogących przykuć uwagę detektywa. Dziewczyna i tak niczego by nie zauważyła, bo przez cały czas myślała o zdradzie Ashdowne'a.

Była zrozpaczona i głęboko urażona, lecz nie zamierzała podzielić się swoim odkryciem z detektywem. Musiała najpierw wszystko sama przemyśleć, tymczasem więc nie pozostawało jej nic innego, jak zachowywać pozorną obojętność. Było to najtrudniejsze zadanie, przed jakim stanęła w życiu. Wiedziała dobrze, że Jeffries nie jest głupcem i jeśli dobrze jej się przyjrzy, zacznie podejrzewać, że coś jest nie w porządku.

Gdy detektyw wreszcie przestał sarkać na akrobatyczne umiejętności złodzieja, Georgiana oznajmiła mu, że już obejrzała pokój. Ponieważ obawiała się, że bardzo zbladła, na wszelki wypadek stawała w zacienionych miejscach. Nauczyła się przecież od samego Kota, jak ukrywać się w ciemności. Ale nie odebrała kompletnej edukacji, nie umiała bowiem kłamać, oszukiwać i kraść. I zdradzać.

Siłą woli odsunęła od siebie te myśli, bo Jeffries, zwykle enigmatyczny, tym razem chciał z nią porozmawiać o sprawie. Georgiana wytłumaczyła, że spieszy się do domu i nie może już dłużej zostać. Miała nadzieję, że jeśli nawet detektyw wyczuł jej wzburzenie, to złożył je na karb rozczarowania, jakiego doznała po oględzinach pokoju.

Na ironię losu zakrawało, że jej strapienie miało wręcz przeciwny powód, wszak udało jej się osiągnąć cel. Wreszcie zdobyła dowód, który jednoznacznie wskazywał złodzieja, lecz mimo to nie powiedziała o tym ani słowa detektywowi, który uprzejmie zaproponował, że odprowadzi ją do domu.

Odpowiedziała przeczącym gestem, nie miała bowiem zamiaru iść tam, gdzie mógłby znaleźć ją Ashdowne. Zresztą nawet gdyby się nie zjawił, jej chichotliwe siostry zaczęłyby o niego wypytywać. Ojciec i matka też nie byłiby dla niej pociechą, nie mogła bowiem im powiedzieć prawdy ani o markizie, ani o swoich uczuciach do niego. Skierowała się więc w stronę Orange Grove i tam znalazła cichy kącik

wśród wiązów, żeby porozmyślać o człowieku, co do którego tak bardzo się pomyliła.

O markizie Ashdowne. O Kocie.

O arystokracie, który obejmował ją, całował, dotykał jej i śmiał się z nią, a okazał się zwykłym złodziejem. Niczym nie różnił się od pierwszego lepszego przestępcy z ulicy. Ta świadomość była dla Georgiany wyjątkowo przykra.

Czyżby przez cały czas Ashdowne po prostu z nią igrał? To było zbyt straszne, żeby nawet o tym myśleć. Ale z jakiego innego powodu Kot miałby ofiarować się, że pomoże rozwikłać kradzież, którą sam popełnił? Georgiana uświadomiła sobie, że ilekroć Ashdowne słuchał jej z uwagą, tak jakby wierzył w jej teorie, to po prostu udawał. Ależ musiał się z niej śmiać! Wzbudziło to prawdziwą rozpacz Georgiany. A ona uwielbiała jego śmiech i nigdy się nie zorientowała, że Ashdowne okrutnie z niej kpi.

To było przykre, ale do kpin ze swych talentów detektywistycznych Georgiana już się przyzwyczała. Znacznie bardziej przejmowała się czym innym. Serce jej krwawiło, gdy myślała o tym, że Ashdowne całował ją i pieścił tak, jakby budziła jego zachwyty, a tymczasem była to tylko gra. Postanowiła jednak, że nie będzie płakać. Przynajmniej czegoś ją to doświadczenie nauczyło. Dowiedziała się prawie wszystkiego o intymnych sytuacjach między kobietą a mężczyzną, więc ta lekcja nie poszła na marne.

Nigdy więcej nie pozwoli sobie obdarzyć nikogo tak głębokim uczuciem. Stryj Silas był w Wędzie. Kluczem do szczęścia nie są ludzie. Ich nie sposób zrozumieć. Ludzie oszukują i posługują się innymi dla własnych celów. Georgiana sądziła, że jest dobrym sędzią charakterów, a jednak zakochała się w znanym włamywaczu. Trudno nazwać to mądrą decyzją! Lepiej poświęcić się książkom, gazetom i zbieraniu faktów, bo one nie kłamią. W ten sposób uniknie się cierpienia.

W końcu jednak optymistyczna natura Georgiany zaczęła brać górę. Panna Bellewether postanowiła pokazać Ashdowne'owi, że jest silniejsza, niż sądził. Po prostu nie docenił jej tak samo jak inni, uznał ją za głupią, choć nie pozbawioną urody gęś. Grubo się pomylił! Georgiana spojrzała na drobiny ziemi, wciąż przyklejone do jej palców i przypomniała sobie, że początkowo Ashdowne patrzył na nią jak na insekta.

W końcu jednak to markiz okazał się czarnym pająkiem, tkającym wielką sieć dla własnej przyjemności. A Georgiana po prostu bezlitośnie go rozgniecie.

To Finn namówił go do przyjsia. Irlandczyk, który niezmiennie nazywał Georgianę "ziółkiem Bellewetherów", nagle zaczął się o nią martwić. Rano dyskretnie ją śledził, po czym zaniósł na Camden Place nowinę, że dziewczyna jest bardzo przygnębiona, jakby straciła najlepszego przyjaciela.

Ashdowne, będący w bardzo podobnym nastroju, nie potrafił obudzić w sobie współczucia. Georgiana sprzeciwiała mu się na każdym kroku. Całkowicie lekceważyła jego życzenia, pragnienia, decyzje. Może ostatnio był w stosunku do niej trochę zbyt surowy, ale to nie znaczy, że musiała od razu porzucić go dla Savonierre'a!

Zmarszczył czoło. Nigdy nie uważał Georgiany za istotę skłoną do flirtów, która zmienia adoratorów jak rękawiczki. Jednak po wydarzeniach ostatniego wieczora opadły go wątpliwości w tym względzie. A on omal jej nie przeprosił. To zdarzało mu się doprawdy rzadko i należało jakoś docenić ten wielkoduszny gest. Przez chwilę zresztą zdawało mu się, że Georgiana istotnie rozumie powagę chwili, rzuciła mu bowiem jedno z tych zachwycających spojrzeń.

Ale zaraz potem zostawiła go dla Savonierre'a. Drugi raz. Ashdowne nie wiedział, czy śmiać się z jej głupoty, czy udusić ją ze złości. Zdawał sobie sprawę, że Savonierre przywiódłby ją do zguby bez mrugnięcia okiem, toteż potrzeba chronienia Georgiany walczyła w nim z ciężko urażoną dumą. Chociaż nie uważał się za człowieka próżnego, to musiał przyznać, że jeszcze nigdy nie miał takich trudności ze zdobyciem kobiety. Nadal zresztą, gdy myślał o zwodniczej pannie Bellewether, nie wiedział, na jakim gruncie stoi.

Był naprawdę poirytowany. Kusiło go, by wziąć za kark swą nużącą szwagierkę, wrócić razem z nią do rodowej siedziby i nigdy więcej nie oglądać Georgiany na oczy. Tylko kto chroniłby ją wtedy przed Savonierre'em? Przed innymi mężczyznami? Przed nią samą? Ilekroć zaczynał się zastanawiać, czy dla własnego dobra nie zostawić Georgiany na pastwę losu, ogarniała go panika. W ten sposób znalazł się w parku i szukał tu rzekomo przygnębianej kobiety, która odrzuciła jego uczucia i wołała się zająć tak zwanym śledztwem.

Znalazłszy ją, Ashdowne musiał jednak zapomnieć o ostrych słowach. Georgiana siedziała bowiem w bardzo ustronnym miejscu,

jakby chciała sprowokować do napaści jakiegoś przechodzącego łotra. Ashdowne nie powiedział jednak na ten temat ani słowa, tylko stanął przed nią, niepewny, jak zostanie przyjęty. Gdy Georgiana wreszcie podniosła głowę, oczy miała zaczerwienione i zasnuwane mgiełką łez. Markiz poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu cios sztyletem. Jeśli to Savonierre ją skrzywdził, postanowił zabić drania bez względu na konsekwencje.

Ponieważ jednak nie ufał swojemu głosowi, zastygł w milczeniu i patrzył, jak Georgiana wstaje. Minę miała niezwykle wyniosłą. A więc nie należało się spodziewać życzliwego powitania. Markiz przeżył gorzkie rozczarowanie.

- O, Ashdowne. Dobrze się stało, że pan przyszedł. Nie będę pytać, jak mnie pan znalazł, bo wiem, że ma pan swoje sposoby - powiedziała z widoczną urazą. Takiego tonu jeszcze u niej nie słyszał. Co ten Savonierre zrobił? - Jest pan wszechstronnie utalentowanym człowiekiem, prawda?

Zanim zdążył odpowiedzieć na te zbijające z tropu słowa, Georgiana odwróciła się w inną stronę.

- Wiem, kim pan jest - stwierdziła ze śmiertelną powagą. - Nie ma sensu zaprzeczać, że Kot to pan.

Ashdowne na moment znieruchomiał, zaraz jednak odpowiedział całkiem swobodnym tonem:

- Aha, czyli teraz ja zostałem przestępcą, tak?

- Znalazłam grudki ziemi w sypialni lady Culpepper. Ziemi z doniczki, w której rosła ta paproć, którą na pana przewróciłam. - Powiedziała to tak żałośnie, że omal nie pękło mu serce.

- Przypuszczam, że tę samą ziemię zmiotali potem służący. Ich też pani oskarża, czy też z jakiegoś powodu wybrała pani tylko mnie?

Spojrzała na niego. Aż się wzdrygnął, widząc smutek malujący się w jej niebieskich oczach.

- Po tym, co przez pana przesłam, mógłby pan przynajmniej zdobyć się na odrobinę uczciwości.

Ashdowne wiedział, że nie powinien przeciągać struny.

- Zgoda, ale to nie jest miejsce... Przerwała mu gestem zniecierpliwienia.

- Nie mam zamiaru nigdzie z panem iść, więc szkoda zadawać sobie tyle trudu - powiedziała.

Z wolna ogarniała go panika. Wiedział, że ten dzień musi kiedyś nadejść, ale łudził się, że może zdarzy się cud. Od początku zdawał sobie sprawę ze stojących między nimi barier, a jednak po prostu nie przyjmował tego do wiadomości.

Bądź co bądź, Kot już dawno zaprzestał swego procederu. Ashdowne nie przypuszczał, że ktokolwiek powiąże incydent w Bath z tamtymi kradzieżami. A powinien był przewidzieć, że Georgiana pójdzie tym tropem. Zbyt często traktował ją jak naiwną istotę z wybujałą wyobraźnią, chociaż potrafiła interpretować fakty i nieustępliwie dążyć do odkrycia prawdy.

- Czy teraz mnie pan zabije?

Spojrzał na nią zaskoczony. O czym, u diabła, ona mówi? Mruknął coś niezrozumiałego.

- No, skoro poznałam pana tajemnicę, to najprawdopodobniej chciałby pan mieć pewność, że nikomu jej nie zdradzę - powiedziała.

To nim naprawdę wstrząsnęło. Czyżby tak o nim myślała? Że nie ma dla niej żadnych względów i chce ją zamordować? Srodze go tym rozgniewała.

- Czy nie sądzi pani, że jest duża różnica między kradzieżą biżuterii a morderstwem?

- Jaka? - spytała, potrząsając złocistymi lokami. - Gdzie wytyczyłby pan granicę? Za to, co pan zrobił, może pan zawisnąć na szubienicy. Z pewnością prościej byłoby unieszkodliwić osobę, która jest dla pana niewygodna.

- Nie zawisnę, bo nikt pani nie uwierzy - syknął złowieszczo.

Cofnęła się raptownie, jakby ją uderzył. Ashdowne jęknął i wyciągnął dłonie, ale Georgiana usunęła się poza ich zasięg.

- Niech pan trzyma ręce z dala ode mnie! Nie mogę zebrać myśli, kiedy jest pan tak blisko, i na pewno chciał pan to wykorzystać.

Ashdowne milczał bezradnie. Pierwszy raz w życiu zabrakło mu słów. Przecież początkowo rzeczywiście planował z zimną krwią uwieść tę nieco zbyt wścibską dzierlatkę.

- Nigdy nie zamierzałem pani skrzywdzić - wybąkał wreszcie.

Usłyszał jej cichy, zaprawiony goryczą śmiech.

- Nie. Po prostu od samego początku mnie pan okłamywał. Śmiał się pan ze mnie...

- Nigdy się z pani nie śmiałem! - zaprzeczył gwałtownie. Gdy odwróciła się ku niemu i spojrzała na niego oskarżycielsko, stracił

trochę pewności siebie. - No, w każdym razie nie tak, jak pani sądzi. Śmiałem się, bo wydała mi się pani rozkoszna. Nadal tak uważam! Georgiano, niech pani nie pozwoli, żeby ta sprawa...

- Jak pan przenika przez zamknięte drzwi? - spytała na pozór obojętnie.

- Umiem posługiwać się wytrychem.

- Takim jak w domu pana Hawkinsa? Ashdowne wzruszył ramionami.

- Czasem miałem ułatwione zadanie. Niewiele osób lubi się przyznawać do swej niefrasobliwości, ale ludzie często zostawiają otwarte drzwi, uchylone okna, klejnoty rozrzucone na toaletce... - Nie było sensu okłamywać Georgiany.

- A tu, w Bath, wspinał się pan po ścianie i wszedł przez okno?

Ashdowne zmarszczył czoło.

- Nie. Naturalnie miała pani rację, zakładając, że nie próbowałbym takiej wspinaczki. Za duży wysiłek w porównaniu ze zdobyczą - dodał lekceważąco. Wprawdzie wiedział, że wystawia sobie coraz gorsze świadectwo, ale czuł, że powinien wyznać całą prawdę. Być może skłaniał go do tego ten sam instynkt, który doprowadził go do zguby. - Przeszedłem po gzymsie z sąsiedniego pokoju.

Georgiana zbladła.

- Mógł się pan zabić!

- Udaje pani troskę? Jakże to miłe! - Zaśmiał się gorzko. Dumnie uniosła głowę.

- A wszystko dla marnych paru kamyków - powiedziała z pogardą.

- Myli się pani - odparł gładko. - Tak nawet wielka Georgiana Bellewether czasem błądzi - dodał, nie mogąc się powstrzymać przed drwiną.

- Więc dlaczego?

- Aha, jednak chce mnie pani wysłuchać. No, dobrze, chociaż nie jestem pewien, czy będę umiał to wytłumaczyć. - Nigdy nie opowiadał nikomu, nawet Finnowi, dlaczego to wszystko robi. Może dlatego miał teraz wrażenie, że takie tłumaczenie się uwłacza jego godności. Był jednak gotów na wszystko, byle tylko Georgiana zmieniła swą negatywną opinię o jego osobie.

Zapatrzył się na rosnące w oddali drzewa, ale przed oczami widział tylko obrazy z przeszłości.

- Byłem młodszym synem dość staroświeckich rodziców. Na szczęście mój brat spełnił ich oczekiwania, bo ja... zanadto lubiłem mocne wrażenia. Rodzina wcześniej odkryła, że nie pociągają mnie drogi dostępne dla szlachetnie urodzonego, lecz niemal pozbawionego majątku młodzieńca. Nie chciałem wstąpić do wojska, nie chciałem zostać ani duchownym, ani prawnikiem - powiedział z gorzkim uśmiechem. - Przyjechałem do Londynu w poszukiwaniu sławy i fortuny, a przynajmniej jakichś przyjemności. Chodziłem utartymi szlakami po klubach, przyjęciach i domach gry. Polegałem na sile umysłu i moim dość wątpliwym wdzięku, tak czy owak wiodło mi się nie najgorzej. - Skrzywił się, wspominając ten hulaszczy żywot. - Byłem jednak niespokojnym duchem, póki nie odkryłem swojego powołania, zresztą całkiem przypadkiem. Za pierwszym razem to był całkiem nieszkodliwy żart, zwykła próba sił i umiejętności. Ale udało się i wtedy... - Ashdowne wzruszył ramionami - poznałem smak ryzyka, stwierdziłem też, że mam talenty potrzebne do skutecznego pozbawiania kosztowności najbogatszych i najbardziej nieprzyjemnych członków towarzystwa.

Do diabła, to było zabawne. Cieszyło go, że może wodzić za nos dosłownie wszystkich, od przyjaciół i znajomych po przedstawicieli policji, którzy deptali mu po piętach. I ten przyjemny dreszczyk emocji, dzięki któremu życie wreszcie przestało być nudne!

- Wszystko zmieniło się wraz ze śmiercią mojego brata

- podjął. To była doprawdy ironia losu, że jego starszy brat, który rzadko ruszał się z domu, chyba że czasem na polowanie, dostał apopleksji. Wkrótce jednak Johnathon przekonał się, że obowiązki markiza są trudniejsze, niż mu się zdawało. I chociaż przysięgał, że nie pójdzie w ślady brata, Finn nieraz zarzucał mu, że upodabnia się do tego starego nudziarza.

Ashdowne westchnął.

- Kot przestał polować, a ja skupiłem uwagę na rzeczach zgodnych z prawem.

- A cóż zmusiło pana do powrotu na utarte ścieżki? - spytała Georgiana. W jej głosie wciąż brzmiała pogarda.

- Tym razem bynajmniej wcale nie tak trywialny powód jak potrzeba mocnych wrażeń. Wbrew temu, czego mógłbym sobie

życzyć, obowiązki markiza pochłaniają całą moją energię i uwagę - odparł.

- A może przypadkiem ma to coś wspólnego z pańską szwagierką? - podsunęła Georgiami i Ashdowne spojrział na nią w osłupieniu. Po raz kolejny uświadomił sobie, jak bardzo jej nie doceniał.

- Proszę wybaczyć, że kiedykolwiek zwątpiłem w pani talenty - powiedział i zgiął się przed nią w ukłonie, który Georgiana przyjęła ze stoickim spokojem. Zaczynał rozumieć, że niczym jej nie wzruszy, ale ponieważ nie miał wyboru, mówił dalej: - Jak już wspomniałem, Anne ma wprawdzie arystokratyczną naturę, lecz jest dość męcząca. Gdy więc skończył się dla niej okres żałoby, namówiłem ją na wyjazd do krewnych w Londynie. Nawet ja nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak niezaradna jest moja bratowa. Przedtem zawsze podróżowała pod opieką męża. Wkrótce po swoim przyjeździe do Londynu wpadła w szpony lady Culpepper i przegrała do niej znaczną sumę. Nawiasem mówiąc, metody lady Culpepper...

- Są podejrzane - dokończyła Georgiana.

Tym razem Ashdowne'a już nie zdziwiła jej przenikliwość, tylko z uznaniem skłonił głowę.

- Udało mi się spłacić dług, ale dobrze wiedziałem, że lady Culpepper jest znana z naciągania młodych, naiwnych dam. Czułem się odpowiedzialny za niepowodzenie bratowej, bo przecież to ja wysłałem ją do Londynu, skąd wróciła w niesławie i z poczuciem winy.

- Dlaczego nie odegrał pan tych pieniędzy w karty? - spytała Georgiana.

Ashdowne zaśmiał się, rozbawiony jej naiwnością. Wprawdzie okazała się sprytniejsza od detektywów z Bow Street, których tak podziwiała, ale wciąż grzeszyła naiwnością i bez wątpienia potrzebowała opieki. Chętnie podjąłby się tego obowiązku, gdyby tylko mu na to pozwoliła.

- Lady Culpepper jest zbyt sprytna, żeby przyjąć moje wyzwanie - powiedział. - Starannie wybiera ofiary, więc nawet gdyby udało mi się usiąść z nią do stolika, szybko podziękowałaby za grę.

- A co sądzi o pańskiej zemście bratowa? Ashdowne znowu się zaśmiał.

- Anne nie ma o tym pojęcia! Gdybym powiedział jej, że ukradłem te szmaragdy, prawdopodobnie zemdlałaby z wrażenia. - Nie pierwszy raz zwróciło jego uwagę, że Georgiana jest znacznie odporniejsza na tego typu wrażenia, i bardzo się z tego ucieszył. Może jednak zdoła jakoś odzyskać jej przychylność? - Rozumie więc pani, że ukradłem te szmaragdy tylko dlatego, by odpłacić lady Culpepper za kradzież, której się dopuściła wobec mojej bratowej.

- Mimo wszystko nie usprawiedliwia to pańskich poczynań - oświadczyła ostro Georgiana.

- Okradałem tylko bardzo bogatych i bardzo nieprzyjemnych ludzi - tłumaczył Ashdowne.

A jednak ją stracił. Czytał to ze sposobu, w jaki odwzajemniała jego spojrzenie. Zamiast rozmarzenia widział w jej oczach wyrzut. Oskarżenie.

- Hołduje pan, milordzie, zupełnie innym zasadom niż ja - powiedziała.

- Urozmaicenie jest tym, co ubarwia monotonię życia - odparł, ale Georgiana tylko pokręciła głową. Ogarnęło go rozczarowanie. - Czy mam rozumieć, że nadmiernie wyczulone sumienie nakazuje pani wydać mnie w ręce pana Jeffriesa?

Z Georgiany nagle jakby uleciało powietrze. Ashdowne z całego serca pragnął ją pocieszyć. Wiedział jednak, że nie ma do tego prawa.

- Nie wiem - bąknęła, odbierając mu tym resztkę nadziei. Nie obawiał się szubienicy, wiedział bowiem, że nawet

Georgiana nie byłaby w stanie przekonać detektywa o jego winie, zwłaszcza odkąd został markizem. Jednak jej wahanie sprawiło mu niewysłowiony ból. Czyżby pogardzała nim do tego stopnia, by aż pragnąć jego śmierci?

- Dlaczego, Georgiano? - spytał. - Kot należy do przeszłości. Już go nie ma.

- Myli się pan - odszepnęła. Wstała i skrzyżowała ramiona na piersi, jakby chciała się przed nim osłonić, czym znów sprawiła Ashdowne'owi ból. - Stoi przede mną.

Odwróciła się i uciekła. Nie próbował biec za nią, tym razem bowiem nieodgadniona Georgiana postawiła sprawę zupełnie jasno.

Markiz machinalnie powtarzał dobrze znane czynności. Wrócił na Camden Place, przebrał się w elegancki strój i w towarzystwie bratowej udał się na dość pośledni wieczorek taneczny. Wydawało mu

się, że Anne bardzo chce z nim porozmawiać, ale gdy tylko o to zapytał, zmieszała się i wybąkała jakąś nedorzecznosc o pogodzie, a potem przeprosiła go i odeszła.

Przez następne godziny Ashdowne rozmyślał o wyjeździe z Bath. Georgiana zdeptała jego dumę, a te resztki godności, które mu pozostały, nakazywały mu niezwłocznie wrócić do Ashdowne Manor, zająć się własnym życiem i raz na zawsze wyrzucić z myśli pannę Georgianę Bellewether. Rzadko jednak zdarzało mu się nie podjąć wyzwania. Do tej pory na ogół udawało mu się to, co inni uznaliby za cud. Odnosił sukcesy wyłącznie dzięki odpowiedniemu przygotowaniu. Zawsze rozważał problem pod różnymi kątami i angażował w jego rozwiązanie całą swoją bystrość i zręczność.

Czy mimo tego, co zaszło, miał jeszcze szansę, by zdobyć Georgianę? A przede wszystkim, czy jeszcze tego chciał? Niby powinien się cieszyć z faktu, że uniknął małżeństwa z tą szaloną panną. Serce jednak podpowiadało mu coś znacznie ważniejszego: że ją szczerze kocha. Nigdy dotąd nie kusił go ożenek, teraz jednak sercem, duszą i ciałem pragnął Georgiany. Chciał uczynić ją swoją teraz i na zawsze.

Pozostawało jednak pytanie, czy Georgiana go zechce. Okłamywał ją od samego początku, nim zakochał się w niej po uszy. Wykorzystywał ją, udawał, że chce pozyskać jej względy. Żaden z tych haniebnych uczynków nie znaczył dla Georgiany tak wiele jak to, że Ashdowne był złodziejem.

Przez cały wieczorek spędzony na płoszeniu tych, którzy chcieli do niego podejść lub otoczyć względami jego nerwową szwagierkę, Ashdowne miał mnóstwo czasu, by znaleźć usprawiedliwienie dla swojego postępowania w przeszłości. Wiedział jednak, że żadnym z nich nie usatysfakcjonuje Georgiany. Mógł sobie powtarzać, że ta panna jest tylko podlotkiem uzbrojonym w mnóstwo bezużytecznych skrupułów moralnych, którymi w Londynie zasłużyłaby sobie niechybnie na pogardę. A jednak jej niewinność i czystość charakteru wzbudziły jego mimowolny podziw.

Z tej sytuacji nie było dobrego wyjścia. Jeszcze długo po tym, jak w milczeniu dojechał do domu i odprawił Finna, siedział z butelką porto i dumiał o swej przeszłości i przyszłości. Czy to przez wino, czy z powodu przygnębiającego toku myśli, im było później, tym głębsze poczucie beznadziejności ogarniało jego duszę. Pierwszy raz w życiu

chciał czegoś, czego nie mógł mieć. Jego umiejętności, spryt i determinacja okazały się bezużyteczne.

Rozczarowanie było bolesnym doznaniem, zawsze bowiem wszystko przychodziło mu z łatwością. W odróżnieniu od innych młodszych synów, nigdy nie musiał zostać żołnierzem ani duchownym, by zdobyć pieniądze na utrzymanie. Żył dzięki swemu urokowi i bystrości. Nazywał to pracą, ale w gruncie rzeczy był aroganckim nierobem.

Kot narodził się z jego chęci udowodnienia, przynajmniej sobie samemu, że nie jest gorszy od brata, a może nawet lepszy. Przecież osiągnął sukces, nie posiadając ani tytułu, ani bogactwa. Nigdy jednak nie udało mu się zaskarbić sobie szacunku ani ciepłych uczuć ze strony najbliższej rodziny.

A teraz miał tytuł, bogactwo i dysponował rodzinnym majątkiem, ale co z tego? Życie wydawało mu się puste, pozbawione celu i samotne. Owszem, miał przyjaciół i znajomych, ale nikt oprócz Finna nie znał go naprawdę. Przecież jego życie było wielkim kłamstwem. I nagle, stojąc w tym niegustownie urządzonej pokoju, Ashdowne zateęsknił za prawdziwą rodziną. Chciał mieć żonę, która wiedziałaby o nim wszystko i umiała w nim podsyć żądzę przygody i radość życia.

Chciał mieć Georgianę.

Wcale się nie spodziewał, że ta drobna blondynka, którą początkowo uznał za zwykłą, nierozumną istotę, przykuje całą jego uwagę. Ale czy włożył dostatecznie dużo wysiłku w to, żeby ją zdobyć? Aż jęknął, gdy o tym pomyślał. Wszak całym jego życiem rządził egoizm.

Zaskoczyło go to stwierdzenie, nigdy bowiem nie uważał się za egoistę. Po zastanowieniu musiał jednak przyznać, że jego uwagi uchodziło coś oczywistego. Zawsze postępował tak, jak jemu się podobało, nie zważał na innych. Teraz czuł się z tą świadomością bardzo nieswojo.

Tylko ktoś mający o sobie wyjątkowo wysokie mniemanie mógł aspirować do roli sędziego, oceniającego innych. Ashdowne wiedział już, że lekceważenie, jakie okazywał swym ofiarom, jego zdaniem nadmiernie bogatym i wyjątkowo nieprzyjemnym w obejściu, było szczytem pychy i arogancji. Utrzymywał, że jest człowiekiem honoru, lecz nagle zrozumiał, jak wątle podstawy ma to twierdzenie. Owszem,

lady Culpepper zasługiwała na swój los po tym, jak postąpiła z Anne, ale czy do niego należało wymierzenie kary?

Ashdowne odstawił kieliszek i nagle pojął, co powinien zrobić. Był to w zasadzie drobiazg, lecz stanowił krok we właściwym kierunku. Tak na pewno uznałaby Georgiana. Ta myśl dała mu nadzieję. Zerwał się z krzesła i znów opadły go wątpliwości. Musiał poczekać z wprowadzeniem w życie swego pomysłu, gdyż po długich godzinach spędzonych na bolesnych rozmyślaniach i popijaniu porto, był zanadto otępiaty.

Zmarszczył czoło, bardzo tym zniecierpliwiony, po chwili jednak doszedł do wniosku, że jest coś, co może zrobić niezwłocznie.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Mimo pewnych trudności z zachowaniem równowagi, dzięki swym dawnym umiejętnościom Ashdowne łatwo dostał się do sypialni. Pokój był mały, a Georgiana nie dzieliła go z siostrami, co markiz uznał za okoliczność wielce sprzyjającą. Przez długą chwilę stał i przyglądał się śpiącej dziewczynie. Skąpiana w księżycowej poświacie, z jasnymi lokami rozsypanymi na poduszce wyglądała niczym niebiańska istota, która tylko przez pomyłkę zbłądziła między nędznych śmiertelników.

Ponieważ jednak była to Georgiana, nie budziła się długo i z ociąganiem. Uniosła powieki i od razu spojrzała na markiza z wielką bystrością. Przez jej twarz przemknął wyraz popłochu. Szybko naciągnęła koc aż po brodę.

- Jak pan się tu dostał?

- Och, my, zdeprawowani przestępcy, mamy swoje sposoby - odrzekł z mroku. Georgiana poruszyła powiekami i markiz zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem nie jest bardziej senna, niż się wydaje. Nagle jednak zachwyty, z jakim się jej przyglądał, przemienił się w o wiele silniejsze doznanie. Miała tak uroczo potargane włosy, zaróżowione policzki, a zapewne też bardzo rozgrzane ciało. Zbliżył się o krok.

- Niech pan nie podchodzi! - Ostrzegawczo wyciągnęła ramię, a drugą ręką przytrzymała koc. Osłona była jednak marna. Zobaczył koronkowy stanik koszuli nocnej i pożądanie owładnęło nim bez reszty.

- Mogę się zmienić - szepnął, podchodząc do krawędzi łoża.

- Co? - spytała nieprzytomnie.

- Przemyślałem wszystko i wiem, że muszę zacząć żyć inaczej. - Usiadł obok niej i poczuł unoszący się nad łożem delikatny aromat. Pochylił się i oparł dłonie na kształtnych ramionach Georgiany. - Dowiodę tego, zwracając naszyjnik - szepnął.

- Nie! - krzyknęła. - To znaczy: tak, niech go pan zwróci. To wspaniały pomysł. Proszę się do mnie nie zbliżać, bo w pana obecności nie potrafię jasno myśleć.

- Dobrze - mruknął Ashdowne, choć trudno było zdecydować, co owo mruknięcie ma oznaczać. - Chcę, żeby przestała pani myśleć i po prostu pozwoliła dojść do głosu uczuciom. Chcę dziś wieczorem Georgiany nieuleczalnej romantyczki, a nie upartego detektywa.

Proszę, niech mi pani da jeszcze jedną szansę - zakończył ledwie słyszalnym szeptem i nie czekając na odpowiedź, mocno przywarł do ust dziewczyny.

Smakowała snem, słodyczą i niebiańską rozkoszą. Ashdowne chciał wziąć wszystko, co tylko mogła mu dać, więc pogłębiał pocałunek, spragniony i rozgorączkowany. Nie mógł uwierzyć, że do tego stopnia stracił nad sobą panowanie, ale nie miało to znaczenia. Nic nie miało znaczenia, gdy czuł dotyk jej języka, początkowo nieśmiały, potem coraz pewniejszy i bardziej zuchwały.

Georgiana wyciągnęła ramiona i objęła markiza za szyję, więc położył się tuż obok. Żał mu było przerwać pocałunek nawet na chwilę, której potrzebowałby do zdjęcia butów. Wiedział przecież, że Georgiana w każdej chwili może odzyskać rozsądek. Tymczasem jednak cieszył się jej namiętnością, która potężniała z każdą chwilą. Gdy dziewczyna wyprężyła ciało, aby być jeszcze bliżej niego, Ashdowne nie wytrzymał i jednym szarpnięciem odrzucił dzielący ich koc.

Jej nocna koszula miała mnóstwo falban i koronek, świadczących o nie najlepszym guście starszej pani Bellewether. I chociaż Ashdowne wolałby zobaczyć Georgianę w jedwabiu, to podobało mu się, że koronkowy stanik koszuli pieści jej gładkie, kremowe krągłości, a przez cienki materiał widać ciemny zarys sutek. Krew uderzyła mu do głowy i zagrała we wszystkich żyłach. Przypomniał sobie ich wieczór w łaźni i zacisnął usta.

Te słodkie chwile z Georgiana wydawały mu się odległe o wieki, to był czas zachwyty i niespodziewanych odkryć, gdy jeszcze nie owładnęła nim tak głęboka desperacja. Wtedy nie wiedział, że ją kocha. Ta myśl podziałała na jego rozedrgane zmysły jak zimna woda. Poczul, że musi opanować szalejącą żądzę. Kochał Georgianę i przynajmniej tym razem nie chciał być samolubny.

Nie miał pojęcia, skąd wziął tyle siły, aby przez pewien czas tylko jej się przyglądać. Dopiero potem zaczął ją głaskać, powoli, igrając z marszczącym się materiałem, by dać Georgianie jak najwięcej przyjemności. A gdy nie mogła już złapać tchu, zdjął jej koszulę, odkrył piękne ciało i zaczął powoli poznawać dłońmi jego sekrety.

Georgiana niedługo wytrzymała bez ruchu. Pociągnęła za poły jego surduta, domagając się, by Ashdowne pozbył się tego niepotrzebnego przyodziewku. Potem ten sam los spotkał kamizelkę i

koszulę. A gdy markiz usiadł na krawędzi łoża, by w końcu ściągnąć buty, dziewczyna przylgnęła do jego pleców. Poczul dotyk rozgrzanych piersi i jęknął. Ośmielona tym Georgiana zaczęła się o niego ocierać, rozkosznie mrużąc.

W chwili słabości odwrócił się i pchnął ją na łożo. Zawisł nad nią i zaczął się upajać widokiem nagości. Przypomnił sobie jednak swoje postanowienie i po chwili wahania zaczął delikatnie pieścić wargami palce jej stopy.

Gdy wędrował pocałunkami po całej nodze, aż po wrażliwą skórę na wewnętrznej stronie uda, Georgiana cudownie wzdychała. A gdy skosztował jej wilgotnego żaru, uśmiechnęła się z zachwytem i nawet nie próbowała protestować. Przeciwnie, zaprosiła go do dalszych pieaszczot, a gdy skwapliwie z tego skorzystał, w przypiływie namiętności mocno zacisnęła rękę na jego włosach.

Słyszając jej chrapliwe westchnienie, ostrożnie się uniósł i popatrzył na ten żywy obraz spełnionej rozkoszy. Wiedział, że łatwo mógłby dokończyć to, co zaczął, i znaleźć rozkosz również dla siebie.

Gdyby pozbawił ją cnoty, a może nawet spłodził dziecko, związałyby ją z sobą raz na zawsze. Pokusa była wielka. Dobrze jednak rozumiał, że okazałaby przez to brak szacunku dla Georgiany. Nie. To byłoby zbyt łatwe. On chciał więcej. Chciał mieć ją całą, nie tylko cieszyć się namiętnością, którą umiał rozniecić w jej ciele. Chciał mieć jej bystry umysł i czule, romantyczne serce. Chciał, żeby go pokochała. Dlatego głęboko odetchnął i wstał z łoża.

Gdy pochylił się, by z powrotem włożyć buty, ucisk spodni sprawił mu prawdziwy ból. Stanowczo za długo wiódł mniszą egzystencję w rezydencji swego rodu. Przecież zawsze lubił otaczać się pięknymi przedmiotami i równie zachwycającymi kobietami. Ale chociaż w przeszłości wybierał swe kochanki bardzo starannie, nie mógł sobie już przypomnieć żadnej z nich. Teraz widział tylko jedną twarz, pamiętał upajające kształty tylko jednego ciała. Z westchnieniem pochylił się nad Georgianą i czule pocałował ją w czoło na pożegnanie.

Skrupuły były znacznie bardziej bolesnym i przykrym uczuciem, niż mógłby przypuszczać.

Georgianą stała w pijalni, rozmyślając o swym położeniu. Zaraz po wizycie Ashdowne'a w sypialni była gotowa wszystko mu wybaczyć, ale przez następne bezsenne godziny trochę otrzeźwiała i

wątpliwości powróciły z dawną siłą. Czy naprawdę Ashdowne mógł się zmienić, czy tylko próbował odwrócić jej uwagę od swojej winy i zdrady? A może próbował ponownie zaskarbić sobie jej względy z jeszcze bardziej niecnym pobudek?

Wiedziała, że nie byłaby w stanie wydać Ashdowne'a w ręce detektywa z Bow Street, chociaż na myśl o tym, że sprawa, której poświęciła tyle czasu, pozostanie nie rozwiązana, ogarniało ją dojmujące rozczarowanie. Wszystkie jej sny o chwale rozwiały się jak dym, teraz jednak nie miało to dla niej zbyt dużego znaczenia. Nie po tym, co zaszło między nią i Ashdowne'em. Może on ma ragę, pomyślała nieco rozdrażniona. Może rzeczywiście wcale nie jestem pragmatyczką, tylko nieuleczalną romantyczką.

Z głośnym westchnieniem pomyślała, że ktoś, kto poświęcił swe życie śledzeniu zła, nie powinien zakochiwać się w przestępcy, ale czyż nie tęskniła zawsze za godnym siebie przeciwnikiem? Wreszcie znalazła kogoś, kto dorównał jej bystrością umysłu, nie wiedziała tylko, czy będzie umiał zerwać z przeszłością.

Wciąż była nie mniej roztrzęsiona niż zaraz po przebudzeniu z kilkugodzinnego, niespokojnego snu. Najchętniej zostałaby w swoim pokoju, by wszystko przemyśleć, ale rodzina zaplanowała poranne odwiedziny w pijalni. Georgianę kusiło, żeby wymówić się bólem głowy, nie chciała jednak sobie pozwolić nawet na najmniejsze kłamstwo, więc niechętnie poddała się nudnemu rytuałowi.

Nigdy nie przepadała za tego rodzaju przejawami życia towarzyskiego, tego dnia była więc jeszcze bardziej zamknięta w sobie niż zwykle. Dlatego zupełnie nie interesowała się rozmowami toczącymi się dookoła, a co do Ashdowne'a... nie była nawet pewna, czy chce go zobaczyć.

Zatopiona w ponurych myślach, nie zauważyła, jak podchodzi do niej elegancko ubrana dama. Nagle jednak wyrwało ją z zamyślenia ciche chrząknięcie. Odwróciła się i ujrzała przed sobą markizę Ashdowne.

- O, milady!

- Proszę mówić do mnie Anne - odezwała się bratowa Ashdowne'a, wyciągając rękę na powitanie. - Słyszałam o pani tak wiele, że już uważam panią za przyjaciółkę.

Georgiana zamrugała powiekami, niezmiernie zdumiona tym oświadczeniem.

- Pani o mnie słyszała? - spytała po chwili milczenia. Anne uroczo się do niej uśmiechnęła.

- Naturalnie! Według Johnathona jest pani wyjątkowo rozumną, bystrą, piękną i dzielną kobietą!

Georgiana otworzyła szeroko oczy. Mogła sobie wyobrazić Ashdowne'a, mruczącego jakieś obraźliwe słowa pod jej adresem, ale żeby wychwalał jej zalety? I to jeszcze przed tym wcieleniem idealnej kobiecości?

Anne westchnęła i odezwała się ponownie:

- Początkowo, muszę przyznać, byłam trochę zazdrosna, bo ja niestety nie mam żadnej z tych cech. Od samego słuchania o pani zdobyłam się na postanowienie, że spróbuję być trochę odważniejsza.

Georgiana otworzyła usta ze zdumienia. Ta kobieta, która doprowadziła ją do strasznego ataku zazdrości, chciała się do niej upodobnić?

- Och, wiem, że to jest z mojej strony nadmierna śmiałość

- ciągnęła Anne, najwyraźniej mylnie zrozumiawszy reakcję Georgiana - ale pani dodaje mi otuchy. - Pochyliła się do niej.

- Musi pani wiedzieć, że przyjechałam do Bath z pewną misją. Johnathon budzi we mnie taki lęk, że do tej pory nie udało mi się z nim porozmawiać! Wiele razy próbowałam, ale zawsze w ostatniej chwili brakło mi odwagi. - Przycisnęła dłoń do szyi.

Widząc ten gest, Georgiana nagle zrozumiała, jak bratowa musi działać Ashdowne'owi na nerwy. Był zanadto wyniosły i bezceremonialny, by tolerować tak egzaltowane zachowanie. Anne miała jednak tyle wdzięku, że Georgiana zapanowała nad ogarniającym ją zniecierpliwieniem.

- Jestem pewna, że Ashdowne nigdy nie podniósłby na panią głosu - powiedziała.

- Och, nie powiedziałabym, że podnosi głos, ale robi taką minę, jakby ledwie mógł znieść mój widok - wyznała Anne.

- Jestem pewna, że to nieprawda! - zaproponowała Georgiana.

- Och, pani jest zbyt uprzejma. Wiedziałam zresztą, że tak będzie. Czy mogę zdobyć się na śmiałość i wyznać pani mój sekret? - Gdy Georgiana skinęła głową, Anne przysunęła się do niej jeszcze bliżej. - Poznałam pewnego dżentelmena - powiedziała, spuszczać wzrok. Policzki nieznacznie jej się zaróżowiły. - To było jeszcze podczas tego nieszczęsnego pobytu w Londynie. Doprawdy, to było

jedyne miłe zdarzenie, jakiego tam doświadczyłam. W każdym razie ten dżentelmen jest wspaniały. I poprosił mnie, żebym została jego żoną!

Georgiana osłupiała. Zazdrość, jaką odczuwała, wydała jej się nagle podwójnie głupia. Nie dość, że Anne i Ashdowne zupełnie do siebie nie pasowali, to jeszcze Anne skierowała swe uczucia ku zupełnie innemu człowiekowi. Ciepło uśmiechnęła się do rozmówcy i uściśnęła jej dłoń, okrytą rękawiczką.

- To wspaniała wiadomość!

- Tak - przyznała Anne i znów spłonęła rumieńcem. - Ale ponieważ Johnathon jest teraz głową rodziny, muszę zdobyć jego pozwolenie na ślub. Obawiam się jednak, że nie pochwali tego związku, bo rzeczony dżentelmen nie dorównuje mi stanem.

Georgiana niemal wstrzymała oddech. Czyżby Anne również zakochała się w kimś niestosownym? Być może obie popełniły ten sam błąd.

- No, naturalnie jest szlachetnie urodzony i bardzo mi oddany - dodała Anne, widząc jej zaniepokojenie - ale mój drogi William, wieczny odpoczynek racz mu dać Panie, na pewno nie pochwaliby tego wyboru, bo pan Dawson zajmuje się handlem.

Kupiec? - zastanawiała się Georgiana.

- Jako jeden z młodszych synów wicehrabiego Salsbury nie ma prawa do tytułu i dlatego zaczął handlować narzędziami rolniczymi. Zbił na tym prawdziwy majątek. W towarzystwie pogardza się ludźmi jego pokroju, ale on jest wyjątkowo dobry i delikatny, i... i... - Anne kolejny raz spłonęła rumieńcem.

Georgiana podniosła wzrok, a zauważywszy nadchodzącego Ashdowne'a, zarumieniła się nie mniej niż Anne. Nie zamieniła z nim jeszcze ani słowa od czasu, gdy szeptał jej czułe słówka w sypialni, była zaś całkiem pewna, że opuścił jej pokój nie zaspokojony.

Dla dobra Anne powinna jednak odłożyć na później rozmyślanie o własnych uczuciach. Z determinacją zrobiła krok w stronę markiza, żeby przypadkiem jej nie minął, i poprosiła gestem, by podszedł.

- Czy to nie wspaniała nowina? - odezwała się i przesłała mu słodki uśmiech. - Anne wychodzi za mąż!

Ashdowne, który zrobił zdziwioną minę od razu po jej powitalnych słowach, przeniósł swoje chmurne spojrzenie na bratową, która natychmiast wbiła wzrok w ziemię.

- Pan Dawson jest młodszym synem wicehrabiego Salsbury - wyjaśniła Georgiana. - Bogatym jak nabab.

Anne natychmiast podniosła głowę, najwidoczniej urażona bezceremonialnością tej uwagi, ale nie zrażona tym panna Bellewether ciągnęła:

- Naturalnie poprze pan ten związek, prawda? - Mówiąc to uszczypnęła Ashdowne'a przez rękaw surduta.

- Słucham? Ach, tak, naturalnie - odpowiedział markiz. Wydawał się smutny, zmęczony i zrezygnowany, więc Georgiana zaczęła się zastanawiać, czy ten człowiek, którego uważała za absolutnie niewzruszonego, nie nosi w sobie jakiejś urazy. Czyżby z jej powodu?

- Czy to znaczy, że możemy liczyć na pana błogosławieństwo? - spytała Anne z nadzieją.

- Naturalnie - odrzekł Ashdowne. - Nie mam nic przeciwko temu związkowi.

Przez chwilę Anne milczała, potem nerwowo przygryzła wargę.

- On jest kupcem - powiedziała wprost, budząc tym podziw Georgiany.

- Jestem pewna, że Ashdowne nie ma nic przeciwko temu. Sam jest młodszym synem i musiał zdobywać środki na utrzymanie... tak jak umiał - dokończyła i została za to skarcona groźnym spojrzeniem.

- Chyba że to pani się waha z tego powodu. - Spojrzała na Anne.

Bratowa Ashdowne'a odwzajemniła jej spojrzenie. Twarz miała poważną, policzki zalane ciemnym rumieńcem.

- Nie, przeciwnie. Jestem z niego bardzo dumna - powiedziała.

Ta cicha, lecz stanowcza deklaracja zrobiła na Georgianie duże wrażenie. Wydało jej się, że pod pewnymi względami Anne jest dużo odważniejsza od niej. Nie tylko ufała kochanemu człowiekowi, lecz także wspierała go ze wszystkich sił. Zbudowana tą postawą Georgiana poczuła nagle, jak uczucia do Ashdowne'a wybuchają w niej z nową siłą.

Może była tylko zadufaną w sobie skromniwą, kiedy surowo osądziła uczynki markiza, skoro w głębi duszy czuła mimowolny podziw dla jego bystrości, zręczności i śmiałości? Niewielu mężczyzn odważyłoby się na to co on, pomyślała. Nikt inny nie osiągnął sławy w taki sposób i nie zdołał oszukać dosłownie wszystkich... oprócz niej.

- Pan Dawson chce spłacić mój dług. - bąknęła Anne, wyrywając Georgianę z zamyślenia.

- Doprawdy, Anne, nie ma takiej potrzeby... - zaczął Ashdowne.

- Nie. Straciłam te pieniądze przez własną głupotę i pan nie może ponosić za to odpowiedzialności. Drogi pan Dawson uważa, że to należy do jego obowiązków, bo przecież poznaliśmy się właśnie podczas mojej bytności w Londynie.

- Niech tak będzie - zgodził się Ashdowne, zerkając z ukosa na Georgianę, która miała wielką ochotę porozmawiać z nim na osobności. Czy już zwrócił naszyjnik? Jeśli nie, to właśnie teraz była ku temu najstosowniejsza chwila. Wciąż zależało jej na markizie i nie mogła znieść myśli, że mógłby się okryć niesławą.

- Georgie! - Panna Bellewether wzdrygnęła się, słysząc grzmiący głos ojca, bo nie była w odpowiednim nastroju, by znosić jego dobroduszne przytyki. Zwłaszcza że prawdopodobnie dotyczyłyby one również Ashdowne'a. Następne słowa ojca były skierowane, jak należało się tego spodziewać, właśnie do markiza. - O, lord Ashdowne! Nie widzieliśmy milorda od bardzo dawna. Myśleliśmy, że milord nas porzucił - powiedział, puszczając oko do nieco oszołomionego rozmówcy. Georgiana najchętniej uciekłaby, gdzie pieprz rośnie. Było to jednak niewykonalne, gdyż zbliżała się również matka, a za nią chichoczące siostry. Tymczasem Anne stała obok i czekała, aż będzie mogła poznać wszystkich członków rodziny.

Georgiana właśnie zastanawiała się, co jeszcze wydarzy się tego ranka, gdy spostrzegła Jeffriesa, idącego ku nim z bardzo ponurą miną. I co teraz? - pomyślała, zerkając ukradkiem na Ashdowne'a. W jego błękitnych oczach pojawił się na moment ostrzegawczy błysk, zaraz jednak markiz przywdział swą zwykłą maskę chłodu i opanowania. Dla jego dobra Georgiana starała się również zachować spokój. Ashdowne nie miał jednak pojęcia, że kiedyś wspomniała o nim detektywowi jako o jednym z podejrzanych. Teraz zaś nie było już czasu, żeby go o tym ostrzec.

- Witam, milordzie, witam, panno Bellewether, witam szanowne panie - odezwał się Jeffries. Z szacunkiem skłonił przed wszystkimi głowę, ale wydawał się bardziej ponury niż zwykle. Pierwszy raz sprawiał wrażenie człowieka, który ma kwalifikacje do swojej profesji. Georgianę przebiegł niemiły dreszcz. Miała złe przeczucia,

lecz mimo to dumnie się wyprostowała, zdecydowana nic po sobie nie pokazać.

Ashdowne mógł być przestępcą, ale za nic nie zamierzała wysłać go na szubienicę. Nigdy! Wciąż czuła do niego urazę o wszystkie kłamstwa, jednak to, co jej powiedział poprzedniego dnia, nie trafiło w próżnię. A ostatniej nocy... Ciało Georgiana wciąż pamiętało pieszczoty, które na pewno nie były podyktowane wyrachowaniem.

Markiz miał rację. Przeszłość była zamkniętą księgą, należało spojrzeć w przyszłość. W tej chwili Georgiana pojęła, że bez względu na to, co Ashdowne zrobił, ona wciąż go kocha. Musiała jednak opanować wzruszenie, gdyż póki stał przy nich Jeffries, powinna mieć się na baczności.

- Czy możemy zamienić kilka stów na osobności, milordzie? - spytał detektyw Ashdowne'a. Jego głos brzmiał złowieszczo.

- Jak pan widzi, jestem w tej chwili zajęty - odparł markiz z nutą wyższości, która zrobiła duże wrażenie na Georgianie.

- Obawiam się, że nie mogę czekać, wielmożny panie - wymamrotał Jeffries. Wydawał się stropiony i Georgiana nabrała nieco otuchy. Detektyw chyba nie był przekonany o winie Ashdowne'a, bo inaczej nie zachowywałby się tak potulnie. Znów zaczęła się zastanawiać, czy markiz skorzystał już z okazji, by zwrócić naszyjnik. Jeśli tak, to podejrzenia Jeffriesa były bez znaczenia. Ale jeśli nie...

- Trudno, niech pan mówi, o co chodzi - odparł Ashdowne. - W tym towarzystwie nie mam nic do ukrycia, zwłaszcza przed uroczą panną Bellewether. - Tylko Georgiana zrozumiała dwuznaczność tej wypowiedzi. Zupełnie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać z tej brawury.

- Proszę bardzo. - Jeffries nadal wydawał się mocno zakłopotany. - Pojawiły się pewne pytania, milordzie. Wygląda więc na to, że będę musiał zapytać, hm, gdzie pan był w czasie, gdy dokonano kradzieży.

Zaskoczona Georgiana drgnęła. Dlaczego detektyw nagle zainteresował się Ashdowne'em, skoro nie tak dawno całkiem zlekceważył jej podejrzenie? Dookoła rozległy się „ochy" i „achy", a ona przesłała markizowi przestraszone spojrzenie, on jednak nie zdradzał popłochu, przeciwnie, był pewny siebie i dość rozbawiony.

- Doprawdy, Jeffries, czy nie ma pan lepszych zajęć? - spytał przeciągle, unosząc brew.

- Bardzo przepraszam, ale zwrócono mi uwagę, że wielmożny pan jest jednym z nielicznych dżentelmenów, których nie zapytałem o to, jak spędzali czas na przyjęciu. Jeśli więc zechce pan łaskawie odpowiedzieć na moje pytanie, nie będę dłużej zaprzętał uwagi i pójdę swoją drogą.

Chociaż Georgiana wyczuwała, że detektyw liczy właśnie na takie rozwiązanie, to jednak widać było, iż nie zamierza odstąpić od swego zamiaru. Znów ogarnęły ją złe przeczucia.

- Och, skoro musi pan wiedzieć, to byłem w ogrodzie, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza - odparł niedbale Ashdowne.

Jeffries zrobił kwaśną minę, lecz nie rezygnował z dalszych pytań.

- Czy jest ktoś, kto mógłby to potwierdzić? Ashdowne uśmiechnął się nieznacznie.

- Tak, naturalnie.

- A któż taki, jeśli wolno spytać? Ashdowne spojrzał na detektywa urażonym wzrokiem.

- Nie oczekuje pan chyba ode mnie, że odpowiem na to pytanie, Jeffries. Spacerowałem z damą, a uważam się za dżentelmena, mimo że byliśmy w ogrodzie zupełnie sami.

Georgiana usłyszała parsknięcie ojca i nerwowy chichot sióstr, Anne natomiast stała jak skamieniała, blada i zdumiona. Ashdowne wyraźnie liczył na to, że tą metodą odeprze zawołany zarzut detektywa, ale Georgiana widziała, że Jeffries nie zamierza tak łatwo ustąpić.

Zanim pomyślała, czy dobrze robi, wystąpiła naprzód.

- To wypytywanie jest doprawdy niepotrzebne, panie Jeffries - stwierdziła z naciskiem. Detektyw spojrzał na nią i znużonym wzrokiem, który ostrzegał ją, żeby broń Boże nie wykladała mu swoich teorii. Zaczerpnęła zatem tchu, podniosła głowę i powiedziała zdecydowanie: - To ja byłem z jego lordowską mością. Mogę za niego ręczyć, bo w czasie popełnienia kradzieży spacerowaliśmy razem po ogrodzie.

Wszystkie oczy zwróciły się na nią. Georgiana usłyszała przerażony jęk matki, a zaraz potem biedaczka osunęła się w ramiona swego męża. Młodsze panny Bellewether zaczęły chichotać. Anne jeszcze bardziej zbladła, a Jeffries jakby trochę się stropił. Ponieważ jednak kiedyś wspomniała przy nim, że Ashdowne jest podejrzany,

prawdopodobnie zastana - wiał się teraz, o co w tym wszystkim chodzi.

A niech się zastanawia, pomyślała Georgiana, bo nikt oprócz Ashdowne'a nie mógł zaprzeczyć jej oświadczeniu, a on... zerknęła na niego zaniepokojona, czy istotnie nie zaprzeczy, ale gdy pochwyciła jego spojrzenie, natychmiast się uspokoiła. Markiz patrzył na nią z zachwytem i z taką czułością, że nagle poczuła się niewyobrażalnie szczęśliwa.

Ashdowne zwrócił się do Jeffriesa.

- Trudno uznać mi za postępek godny dżentelmena to, że zmusił pan moją narzeczoną do publicznego wyznania, ale ufam, że teraz jest pan usatysfakcjonowany - powiedział.

- Naturalnie, wielmożny panie - odrzekł detektyw. - Serdecznie przepraszam i, hm, gratuluje - dodał z szerokim uśmiechem.

- Dziękuję. Widzę jednak, że mój sekret nie jest już bezpieczny. - Czułe spojrzał na Georgianę. Ujął ją za rękę i zwrócił się do państwa Bellewether. Młodsze siostry wciąż wachlowały oniemiałą matkę, a ojciec podtrzymywał ją ramieniem. Cała rodzina wpatrywała się w Ashdowne'a szeroko otwartymi oczami. - Obawiam się, że sytuacja zmusiła nas do nieco wcześniejszego wyjawienia naszych planów. Bardzo przepraszam, panie Bellewether, że nie zdążyłem z panem o tym w porę porozmawiać, będę jednak bardzo szczęśliwy, jeśli zechce pan udzielić błogosławieństwa naszemu związkowi - powiedział Ashdowne. Uniósł ich splecione dłonie i donośnym głosem, bez trudu pokonując szmer zdziwienia, oznajmił: - Panna Bellewether i ja zamierzamy się pobrać.

Matka, dopiero co przywrócona do życia przez Eustację i Aramintę, zemdląła ponownie, dziewczęta niemądrze otworzyły usta, a Anne uśmiechnęła się życzliwie. Natomiast Georgiana długo stała osłupiała i na pierwsze gratulacje, które rozległy się dosłownie ze wszystkich stron, odpowiadała nieprzytomnym mruganiem.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Podczas składania życzeń Georgiana najpierw trwała w oszołomieniu, by po chwili popaść w niewyobrażalną euforię. Całe szczęście, że Ashdowne ją podtrzymawał, bo kolana się pod nią ugięły.

Gdy jednak trochę wróciła jej jasność myślenia, pojęła, że to niespodziewane ogłoszenie zaręczyn zostało wymuszone przez okoliczności. Ashdowne nie wyraził w ten sposób swych uczuć, lecz jedynie chciał ocalić jej reputację. Dała mu alibi, a on z wdzięczności postarał się, by z tego powodu nie ucierpiała.

Nie oczekiwała od niego takiej odpłaty. Ocaliła mu skórę z miłości, a nie z wyrachowania. Chciała, żeby Ashdowne był szczęśliwy, ale nie zamierzała od niego wymagać, by poświęcił swą wolność dla córki wiejskiego squire'a. Dlatego wołała nie snuć fantazji o ich wspólnej przyszłości, o wspólnych rozmowach, śmiechu i łożu, lecz usiłowała myśleć konkretnie. Najgorsze było to, że zupełnie nie nadawała się do odgrywania roli markizy.

Chociaż więc bardzo pragnęła poślubić Ashdowne'a, przysięgła sobie uroczyście, że zgodzi się na to małżeństwo tylko pod warunkiem, że markiz ją naprawdę kocha. Jeśli nie, trzeba będzie jeszcze tego lata rozpuścić pogłoskę, że się pokłócili. Będzie wtedy mogła spokojnie wrócić z rodziną na wieś i wyrzucić z pamięci niezwykle wydarzenia w Bath. Była to trudna decyzja, lecz Georgiana wiedziała, że w pełni słuszna.

Musiała porozmawiać z Ashdowne'em na osobności.

Teraz jednak otaczał ich taki tłum, że wydawało się to być marzeniem ściętej głowy. Dopiero po całej godzinie udało im się trochę przesunąć w stronę drzwi. Wreszcie Georgiana pociągnęła Ashdowne'a za rękaw, dając mu znak, że mają szansę uciec przed jej rodziną i pozostałymi natrętami.

Chociaż zręczne manewry Ashdowne'a istotnie doprowadziły ich wkrótce do wyjścia, dziewczyna szła w milczeniu, póki nie znaleźli się pod rozłożystym dębem, którego opadające gałęzie tworzyły rodzaj altanki. Tam odwróciła się do Ashdowne'a i powiedziała bez wstępów:

- Nie musi pan się ze mną zenić. - Chciała spojrzeć mu w oczy, ale bała się to zrobić, więc skupiła wzrok na eleganckim halsztuku. Inaczej znowu nie potrafiłaby zebrać myśli.

- Ależ myli się pani, mój bystry detektywie - odparł Ashdowne i Georgiana mimo woli podniosła wzrok, bardzo zdziwiona. - Odkryła pani nieczne plany lorda Whalseya, brudne uczynki pana Hawkinsa i tożsamość włamywacza zwanego Kotem. Muszę przyznać, że to są bardzo poważne osiągnięcia. Mimo to przegapiła pani jedną bardzo ważną kwestię - powiedział i podszedł bliżej.

Georgiana wpatrywała się w niego bez słowa, a na jego ustach pojawił się czuły uśmiech.

- Chcę, żeby została pani moją żoną, Georgiano. Chciałem tego już na długo przed pani bezinteresownym aktem heroizmu. Od pewnego czasu próbowałem porozmawiać z panią na ten temat, ale zawsze coś stawało mi na przeszkodzie.

- Ale wtedy... w moim pokoju nie wspomniał pan o tym ani słowem - szepnęła, rumieniąc się na to wspomnienie.

Ashdowne przestał się uśmiechać i zmierzył ją poważnym spojrzeniem.

- Nie, bo to była niewłaściwa chwila. Proszę sobie przypomnieć, była pani na mnie bardzo zła, a ja sądziłem, że uznała mnie pani za niepoprawnego łajdaka. - Urwał, a w jego błękitnych oczach odbiło się żywe uczucie. - Dopiero dzisiaj rano uświadomiłem sobie, że może jednak zależy pani na mnie, bo inaczej dlaczego skłamałaby pani, żeby chronić złodzieja?

- No, właśnie. Dlaczego? - powtórzyła Georgiana, widząc w jego oczach zmysłowy blask,

- Pragnę pani, Georgiano, umrzeć, jeśli mnie pani odtrąci. - Delikatnie odgarnął jej lok z policzka. - I potrzebuję pani. Odkąd odziedziczyłem tytuł, mam mnóstwo nużących obowiązków, a tylko pani jest w stanie ubarwić moje życie. Poza tym oboje wiemy, że muszę popracować nad zmianą swojego charakteru. Tylko ktoś o tak wysokich zasadach moralnych jak pani może mi w tym pomóc.

Powiódł kciukiem po jej policzku, a Georgiana uśmiechnęła się. Już pozbyła się większości zastrzeżeń, jakie budziła w niej myśl o ślubie z markizem o przestępczej przeszłości. Następne jego słowa rozwiąły pozostałe wątpliwości.

- Najważniejsze zaś jest to, że panią kocham. Cenię pani urodę, bystrość i tę niezachwianą logikę, jakimś cudem współistniejącą z porywami romantyzmu i upodobaniem do przygód, które nie opuszcza pani ani na chwilę. Pragnę mieć panią u swego boku, bym do końca

życia miał się kim cieszyć i zachwycać. W zamian obiecuję, że będę się starał unikać schodzenia na drogę przestępstwa, będę chronił panią podczas wszelkich szalonych przygód i... - ściszył głos - postaram się, żeby pani dobrze się bawiła.

Georgiana spłonęła rumieńcem, gdy wyobraziła sobie, jakie zabawy planuje ten wszechstronnie utalentowany mężczyzna. Nagle zapragnęła znaleźć się z markizem sam na sam w jakimś ustronnym miejscu...

- Co pani na to, Georgiano? Czy chce pani spróbować?

- Och! - Nie zważając na nic, zarzuciła mu ramiona na szyję i wtuliła twarz w jego muskularny tors. - Kocham pana.

- Czy to oznacza „tak”?

- Tak - odszepnęła i odchyliła głowę, żeby na mego spojrzeć. Uśmiechnął się do niej, a jego spojrzenie przesunęło się z jej oczu na usta i niżej, ku krągłym wzgórkom piersi. Odkasznął.

- Przede wszystkim obiecuję pani nowe stroje.

- To naprawdę nie jest konieczne - bąknęła i zrobiło jej się gorąco, bo gdy Ashdowne na nią patrzył, nie w głowie jej były modne kreacje.

Markiz spojrzał na nią rozbawiony i delikatnie od siebie odsunął.

- Czy nie chciałaby pani trochę odpocząć od tych ciężkich falban?

- Och, tak, naturalnie! - odparła Georgiana, nagle przytomniejąc.

- Dużo rozmyślałem o tym, jak panią ubrać - powiedział i położywszy jej rękę na ramieniu, wyprowadził ją spod baldachimu liści. Georgianie drżały palce. Próbowwała nie myśleć o nocy poślubnej, której obietnicę otrzymała dzięki uporowi pewnego detektywa z Bow Street. Przypomniawszy sobie Jeffriesa, nagle mocno ucisnęła przedramię markiza.

- Pomyślałam sobie właśnie... - zaczęła, nie zważając na jego jęk.

- Czy nie wydaje się panu dziwne, że Jeffries zaczepił pana akurat dziś rano?

- Owszem - odparł, natychmiast poważniejąc.

- Chcę powiedzieć, że kiedy pierwszy raz wspomniałam mu o tym, że pan jest podejrzany... - Urwała, bo Ashdowne nagle przystanął. Spojrzał na nią wstrząśnięty, ale Georgiana zbyła jego niepokój lekceważącym machnięciem ręki. - Och, to było dawno, zanim jeszcze został pan moim pomocnikiem - wyjaśniła.

Ponieważ jednak markiz nie przestał na nią groźnie spoglądać, Georgiana zrobiła kwaśną minę.

- Rzecz w tym, że Jeffries natychmiast odrzucił moją hipotezę. A ponieważ od tamtej pory nie mówiłam przy nim o panu inaczej jak o moim pomocniku, to skąd jego nagłe zainteresowanie pańską osobą? - Uśmiechnęła się przepraszająco. - Kto podsunął pańskie nazwisko Jeffriesowi? Kto mógłby się domagać, by pana przesłuchano?

Spojrzeni na siebie i niemal równocześnie wypowiedzieli głośno to samo nazwisko:

- Savonierre.

- On jeden ma dość wpływów, by zmusić Jeffriesa do działania - mruknął Ashdowne.

- I skłonić go do otwartej konfrontacji - dodała Georgiana. - Czy naprawdę nie ma pan pojęcia, dlaczego Savonierre tak pana nienawidzi? Chyba musiał mieć jakieś ukryte motywy, bo nie sądzę, by próbował wysłać na szubienicę człowieka ze swojej sfery tylko z powodu paru kamieni.

Gdy Ashdowne nie odpowiedział, Georgiana zmarszczyła czoło.

- To musi być coś poważnego. Zupełnie jakby Savonierre chciał złapać pana w pułapkę... Tylko jak... Chyba że... - Zdumiona spojrzała na Ashdowne'a. - Chyba że wie, kim pan jest.

- Niemożliwe! Tego nikt nie wie - odburknął Ashdowne wyniośle.

- Ale jeśli pana o to podejrzewa i szuka zemsty za jakieś dawne sprawy? - zastanawiała się. Nagle zwróciła się do niego z oskarżycielską miną. - Czy pan mu coś ukradł?

Ashdowne skrzywił się pogardliwie.

- Chociaż zdarzało mi się decydować na dość śmiałe poczynania, to nigdy nie byłem aż tak beztroski - odparł i natychmiast się zamyślił. - Naturalnie zdobyłem diamentowy naszyjnik lady Godbey...

- Co to ma wspólnego z Savonierre'em? - spytała Georgiana.

Ashdowne przesłał jej znużone spojrzenie.

- Mówi się, że Savonierre podarował jej ten naszyjnik na dowód swego... uczucia.

- Rozumiem. - Georgiana postanowiła nie zwracać uwagi na moralny aspekt sprawy i skupić się na jej ewentualnych konsekwencjach. - Dlaczego miałby się za to mścić, skoro klejnoty już do niego nie należały?

Ashdowne nieznacznie wzruszył ramionami.

- Savonierre jest bardzo wpływowym człowiekiem i nie lubi wychodzić na głupca. Ironia losu polega na tym, że naszyjnik okazał się falsyfikatem.

- Falsyfikatem?

- Tak. Podejrzewam, że lady Godbey nie była tak przywiązana do tej błyskotki, jak życzyłby sobie Savonierre. Albo sprzedała oryginał, by zamienić go na gotówkę, albo podarowała naszyjnik pewnemu młodemu i ubogiemu artyście, którego nazwisko również łączono z jej osobą.

Georgiana zadrżała wstrząśnięta myślą, że ktoś ośmielił się tak igrać z uczuciami Savonierre'a. Łatwo umiała sobie wyobrazić gniew tego człowieka. Doprawdy trudno było uwierzyć, że ktokolwiek mógłby go celowo oszukać, nawet kochanka.

- Może sam Savonierre dał jej falsyfikat i nie chciał, żeby to wyszło na jaw? - mruknęła.

Ashdowne uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Możliwe, ale przypuszczam, że lady Godbey zna się na klejnotach lepiej niż przeciętny jubiler - stwierdził oschle.

- No, tak. - Georgiana zrezygnowała ze swej teorii. - Czyli Savonierre daje jej diamentowy naszyjnik w dobrej wierze, nieświadom tego, że lady Godbey wkrótce zamieni go na bezwartościową kopię. A kiedy Kot dokonuje kradzieży, Savonierre jest wściekły. Traktuje to jak osobisty afront i dlatego przysięga sobie, że odkryje złodzieja i dopilnuje, by go ukarano.

Georgiana zamilkła. Serce biło jej jak szalone, bo fakty układały się w logiczną całość.

- Ale pan się wycofał i to zniweczyło jego plany. Tyle że Savonierre nie jest człowiekiem, który pogodziłby się z porażką. Musiał więc znaleźć sposób, żeby sprowokować pana do jeszcze jednej, ostatniej kradzieży - ciągnęła coraz bardziej podniecona. - Savonierre wie, że pan nie potrzebuje pieniędzy, więc uknuł misterną intrygę, by z powrotem wciągnąć pana do gry. Jak mógłby to zrobić lepiej niż za pośrednictwem Anne? Jest krewnym lady Culpepper, więc łatwo mu było skłonić ją do współpracy.

Ashdowne zerknął na nią ze sceptyczną miną.

- Nie jestem przekonany, Georgiano. To wydaje się dość skomplikowane jak na zwykłą zemstę. Mógł mnie po prostu wyzwać na pojedynek.

- Tak, ale Savonierre jest skomplikowanym człowiekiem - broniła się Georgiana. - Mam wrażenie, że niczego nie potrafi zrobić wprost, zawsze musi knuć intrygi, choćby po to, by mieć rozrywkę.

Markiz wciąż wydawał się nieprzekonany, ale ustąpił. Georgiana omal go za to nie pocałowała. Myśl o tym, że będzie mogła całować tego człowieka przez całe życie, znów zamąciła jej w głowie, więc musiała mocno się skupić, żeby powrócić do sprawy naszyjnika.

- Niech będzie. Powiedzmy, że pani ma rację. Co dalej? - spytał Ashdowne.

Georgiana zatrzymała spojrzenie na jego klatce piersiowej i przełknęła ślinę, zaniepokojona wnioskami płynącymi ze swojej teorii.

- Nie wiem, co dalej, ale jedno mogę panu powiedzieć na pewno.

- Co takiego?

- On tak łatwo się nie podda. - Aż zadrżała, gdy to mówiła. - Nigdy.

Po powrocie do domu Georgianę opadła rodzina, zasypując dziewczynę licznymi pytaniami i gratulacjami. Chociaż panna Bellewether kochała swoich bliskich, to szczerze żałowała, że po prostu nie uciekła z Ashdowne'em. Matka już szczegółowo planowała uroczystość ślubną, co dla Georgiany było wyjątkowo mało zajmujące.

Gdy więc przyniesiono zaproszenie, potraktowała to jako miłe urozmaicenie. Dopiero po chwili zwróciła uwagę na nadawcę. Patrząc na równe, staranne pismo, nie mogła wyzwolić się od złych przeczuc, bo z jakiego powodu lady Culpepper miałyby wydawać wieczorek dla uczczenia zaręczyn lorda Ashdowne'a z panną Bellewether?

Georgiana przeczuwała w tym intrygę Savonierre'a, nie wiedziała jednak, co ten człowiek uknuł. Czy będzie próbował udowodnić, że skłamała w sprawie alibi Ashdowne'a? Tłumaczyła sobie, że to niemożliwe. A gdyby oskarżył ją o to, że pomogła Ashdowne'owi ukraść naszyjnik? Aż zatrzęsała się ze złości, mimo to wręczyła posłańcowi odpowiedź, w której przyjmowała zaproszenie. Trudno było jej wymówić się od udziału w wieczorku na własną cześć. Ashdowne'owi zresztą też nie wypadało tego zrobić.

Savonierre zwabił ich w pułapkę. Ashdowne nie mógł zwrócić naszyjnika przed zapadnięciem zmroku, a tymczasem w domu pełnym gości, pod okiem zacieklego wroga to zadanie stawało się niewykonalne. A gdyby ktoś przyłapał go na gorącym uczynku? Georgiana rozpaczliwie chciała porozmawiać z Ashdowne'em, ale nie było na to czasu, bo rodzice już ją popędzali, żeby zaczęła się stroić na wieczorek.

Różne myśli kłębiły jej się w głowie przez cały czas pośpiesznego dobierania toalety i potem, podczas jazdy powozem w gwarze siostrzanego szczebiotu. Mimo tych rozmyślań nie znalazła prostych rozwiązań, toteż do domu lady Culpepper weszła pełna niepokoju.

Ciepłe powitanie pani domu zaskoczyło ją, podobnie jak serdeczność pozostałych gości. Było to zupełnie inne doświadczenie niż ostatnie, gdy po cichu przekraczała ten próg w towarzystwie Savonierre'a, z chmurnym Bertrendem u boku. Mimo że z mało ważnej prowincjuszki stała się nagle przyszlą markizą, bardzo irytowały ją oznaki szacunku i zainteresowania, których jej teraz nie skąpiono.

Chciała jak najszybciej zobaczyć się z Ashdowne'em, który jednak się spóźnił, przez co musiała wysłuchać kilku dość niewybrednych żartów na temat jego prawdopodobnej rejterady. Matka, która zawsze patrzyła na markiza bardzo podejrzliwym okiem, miała bardzo zatroskaną minę, póki Georgiana nie poklepała jej po ręce dla dodania otuchy.

- Przyjdzie - powiedziała i krzepiąco uśmiechnęła się do swej rodzicielki. Nawet nie przeszło jej przez myśl, że Ashdowne mógłby wystawić ją na pośmiewisko. Nagle zrozumiała, że markiz nigdy jej nie porzuci, była tego absolutnie pewna.

Chociaż w przeszłości Ashdowne łamał prawo, to miał poczucie honoru i charakter, których każdy z szacownych gości mógłby mu pozazdrościć. Georgiana podniosła głowę. Czuła się trochę tak jak Anne broniąca swojego kupca. Bez względu na dawne dzieje, wierzyła w Ashdowne'a bez zastrzeżeń i była z niego dumna.

Savonierre zaproponował oschle, by posłać po jej przyszłego męża, i właśnie wtedy Ashdowne wkroczył do salonu, elegancki i beztroski jak zawsze. Wyjaśnił, że pękło mu koło w powozie i musiał część drogi odbyć pieszo. Georgiana była zresztą pewna, że pojazd

stoi niedaleko, a Finn krząta się przy nim i coś naprawia, choćby dla zachowania pozorów.

Gdzie naprawdę był i co robił markiz? - zastanawiała się, ale nie miała okazji go o to spytać, gdyż otoczyli ich ludzie z gratulacjami. Potem nastąpiły niezliczone toasty, aż wreszcie lady Culpepper władczyim głosem poprosiła wszystkich do stołu i Georgiana została zmuszona do prowadzenia konwersacji z gadatliwym emerytowanym kapitanem, podczas gdy Ashdowne siedział naprzeciwko.

Dopiero gdy wszyscy rozeszli się po salonach, Savonierre wykonał swój ruch. Leniwie kręcąc w dłoni kieliszek szampana, podszedł do nich z nieprzeniknioną miną. Georgiana czuła, że ten człowiek ma jak najgorsze zamiary. Jej niepokój wzrósł, gdy zobaczyła w pobliżu bardzo zakłopotanego pana Jeffriesa. Czyżby detektyw przyszedł aresztować sprawcę kradzieży?

- Rozumiem, panno Bellewether, że zaręczyny oznaczają koniec pani śledztwa - odezwał się Savonierre. Georgiana, mniej przyzwyczajona do ukrywania uczuć niż Ashdowne, ledwie zdobyła się na odpowiedź.

- Och, nie - pisnęła w końcu, choć była to żalosna imitacja jej zwykle swobodnego tonu.

- Czyżby? - wyraził powątpiewanie Savonierre, ironicznie się uśmiechając. - Jakoś trudno mi w to uwierzyć. A panu, Jeffries?

- Nie potrafię powiedzieć, sir - odrzekł detektyw.

- Mimo wszystko zgadzam się z wami, panowie, co do jednego - odezwał się Ashdowne, całkiem zaskakując tym Georgianę. - Bądź co bądź, obecna tu dama wychodzi za mąż, należy więc przypuszczać, że nie będzie miała czasu na niedorzeczności.

Georgiana cała się najeżyła, chociaż podejrzewała, że Ashdowne mówi to nie bez powodu. Kilku starszych dżentelmenów usłyszało tę przemowę i z całego serca poparło Ashdowne'a w sprawie miejsca kobiety w domu. Georgiana słuchała tego, kipiąc ze złości. Już, już miała wybuchnąć, lecz nagle Ashdowne przybrał swoją drwiącą minę.

- Och, nie chodzi mi o rozwiązywanie zagadek, temu wcale nie jestem przeciwny - powiedział. - Proszę jednak pomyśleć: taka kradzież w Bath? Bandyty wspinający się po ścianie budynku? - Parsknął lekceważąco, jakby mówił o czymś zupełnie niedorzecznym.

- A co pana zdaniem stało się ze szmaragdami lady Culpepper, Ashdowne? - spytał Savonierre.

Ashdowne wzruszył ramionami, jakby był mało zainteresowany tematem.

- Wie pan, jakie są kobiety. Podejrzewam, że powstało wiele hałasu o nic, a pani domu po prostu odłożyła naszyjnik nie tam, gdzie zwykle.

Savonierre cicho się zaśmiał.

- Obawiam się, że musi pan wymyślić coś lepszego, bo mój człowiek przeszukiwał ten pokój kilka razy. Prawda, Jeffries? - spytał przez ramię, a detektyw ponuro skinął głową.

Ashdowne wcale się tym nie przejął.

- Może wypatrywał wyłącznie śladów przestępstwa, ale czy szukał samego naszyjnika? - Zmarszczył czoło. - Może naszyjnik zaplątał się w pościel albo wpadł pod mebel - podsunął.

Jeffries, który podszedł bliżej, smutno pokręcił głową.

- Zauważyłbym go, milordzie.

- No, to może lady Culpepper schowała go nie tam, gdzie trzeba, na przykład odłożyła prosto do szuflady, bo akurat musiała nagle wyjść z pokoju. Albo włożyła go do innej szkatułki? Nie chcę przez to powiedzieć, że zrobiła to celowo, raczej przez nieuwagę. Damy w naszych czasach mają bardzo dużo biżuterii. Nie wiem, jak mogą się w tym wszystkim połapać. Jeffries nagle zaczął przypominać psa, któremu podsunięto pod nos smakowitą kość. Natychmiast zwrócił się do lady Culpepper.

- Czy ma pani więcej skrytek na biżuterię, wielmożna pani? - spytał.

- Naturalnie, ale...

Jeffries nie pozwolił jej dokończyć.

- Proszę mi pokazać.

- Nie pokażę. To jest ohydna zuchwałość! - sprzeciwiła się, piorunując detektywa spojrzeniem pełnym wyższości.

- Czy jest jakiś powód, dla którego odmawia pani spełnienia całkiem rozsądnej prośby? - spytała Georgiana, ściągając na siebie gniewny wzrok starszej damy.

- Znowu pani! - parsknęła lady, jakby zamierzała wygłosić potępiającą tyradę. Urwała jednak zaczerwieniona, zorientowała się bowiem, że nie może atakować Georgiany, najważniejszego gościa na dzisiejszym przyjęciu. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem skinęła

głową i zwróciła się do Jeffriesa: - Chodźmy więc, tylko szybko, bo nie zamierzam tracić całego wieczoru.

Kilka osób stojących najbliżej pochlebnie wyraziło się o wielkoduszności lady Culpepper, inni mruzcili pod nosem, że detektyw stanowczo przekracza swoje uprawnienia. Tylko Savonierre bez słowa patrzył na Ashdowne'a w takim skupieniu, że Georgiana nie mogła przyglądać się temu bez drżenia. Zrobiło jej się zimno, więc przysunęła się bliżej do markiza.

Nie musieli długo czekać. Georgianie wydało się, że słyszy stłumiony okrzyk, a potem na schodach ukazał się Jeffries z naszyjnikiem w ręce. Lady Culpepper szła za nim. Wcale nie wyglądała na zadowoloną z tego, że jej ulubiony naszyjnik się znalazł. Twarz miała ponurą i z raz po raz zerknęła z niepokojem na Savonierre'a. Ten jednak nie zwracał na nią uwagi, lecz podszedł obejrzeć klejnoty.

Gdy burkliwie oznajmił, że są prawdziwe, wszyscy rzucili się, by choć zerknąć na sławne szmaragdy. Tylko Georgiana i Ashdowne zostali na swych miejscach.

Georgianie nogi odmówiły posłuszeństwa, wsparła się więc na ramieniu narzeczonego. Zrozumiała nagle, że markiz zwrócił klejnoty w czasie, gdy wszyscy oczekiwali na jego przyjazd. Zapewne włożył je po prostu do innej szkatułki. Teraz trudno już byłoby oskarżyć go o kradzież. Pozostałe zdarzyły się dawno temu i doprawdy nie warto było się nimi przejmować.

Ashdowne był bezpieczny. Georgiana czuła pod palcami jego muskularne ramię i to dodawało jej otuchy. Gdy zerknęła na Savonierre'a, zaczęła się zastanawiać, czy jej radość nie jest przedwczesna. Istotnie, ledwie to pomyślała, podszedł do nich i naturalnie musiała zmobilizować całą siłę woli, żeby się nie cofnąć.

- Czy możemy zamienić kilka słów? - spytał, wskazując ruchem głowy sąsiedni salonik, w którym kiedyś wypytywał Georgianę.

- Naturalnie - odparł Ashdowne swobodnie. Georgiana nie miała tyle pewności siebie, ale wsparta na jego ramieniu również przeszła za Savonierre'em do skąpo oświetlonego pokoju. Gdy usiedli, Savonierre zamknął drzwi i stanąwszy pośrodku pokoju, skłonił przed nimi głowę.

- Wyrazy uznania dla was obojga. Tym razem muszę przyznać się do porażki - powiedział. Ashdowne natychmiast zrobił bardzo

zdziwioną minę, ale Savonierre zbył ten pokaz machnięciem ręki. - Nie. Pozwólcie, że wszystko wam wytłumaczę. - Przerwał na chwilę. - W swoim czasie miałem romans z pewną wytworną damą, której na znak uznania podarowałem brylantowy naszyjnik dość dużej wartości. Chociaż szybko przestałem interesować się tą damą, możecie sobie wyobrazić moją irytację, gdy klejnoty, które jej podarowałem, zostały skradzione przez znanego włamywacza, zwanego przez gazety Kotem.

Savonierre urwał, krzywiąc usta w brzydkim grymasie, jakby chciał podkreślić pogardę dla tego przezwiska, ale Ashdowne nie zareagował. Okazywał jedynie uprzejme zainteresowanie, czym zbudził nieklamany podziw Georgiany. Musiała starać się ze wszystkich sił, by nie zdradzić się z trwogą, jaka ją ogarnęła przy pierwszym słowie Savonierre'a.

- Postanowiłem, że położę kres tym zuchwałym kradzieżom. Wyobraźcie sobie, że jego wyczyny dość mnie nawet bawiły, naturalnie do czasu, nim sam padłem ich ofiarą.

Georgiana splotła dłonie, żeby nie było widać, jak bardzo drżą jej ręce.

- Potrzebowałem kilku miesięcy, by ustalić tożsamość złodzieja, ale ku mojemu rozczarowaniu ten gagatek odziedziczył duży majątek i zerwał ze swoją przestępczą działalnością. Byłem jednak święcie przekonany, że uda mi się go sprowokować do jeszcze jednej kradzieży. - W skupieniu spojrzął Ashdowne'owi w oczy. - Po prostu dobrze rozumiem jego potrzebę podejmowania ryzyka, radość z oszukiwania tych arystokratycznych nierobów. Naprawdę podziwiałbym szczerze zręczność tego człowieka, gdyby nie to, że połasczył się kiedyś na moją własność.

- Doprawdy, panie Savonierre... - odezwała się Georgiana, spłoszona kierunkiem jego przemowy, ale Savonierre przerwał jej chłodnym uśmiechem.

- Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości i wyrozumiałości - powiedział i znów zwrócił się do Ashdowne'a: - Nie zamierzałem rezygnować z zemsty, więc zacząłem zastawiać pułapki, ale, ku mojemu rozczarowaniu, Kot był jednak zbyt zajęty innymi sprawami albo może zmienił dotychczasowe zainteresowania. W końcu zebrawszy stosowne informacje, doszedłem do wniosku, że wkroczy do akcji tylko wtedy, jeśli podrażnię jego dumę, tak jak on podrażnił moją. I tak też uczyniłem. - Uśmiechnął się złowieszczo. - Ale nie

doceniłem go - przyznał. Chociaż na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia, w głosie pobrzmiwała jawna gorycz. - Przygotowałem wszystko do ostatniego szczegółu, ale Kot postarał się o to, by ktoś odciągnął na chwilę moją uwagę. Nie udało mi się więc złapać go na gorącym uczynku, tak jak zamierzałem. Jednakże byłem pewien, że uda mi się go zdemaskować.

Savonierre urwał i bardzo się zasepił.

- Niestety, detektyw, którego wynająłem, okazał się niekompetentny, a chociaż wiązałem duże nadzieje z pani talentami, panno Bellewether - powiedział, zwracając się do niej, - to nie przewidziałem, że złodziej może swym uwodzicielskim czarem skłonić panią do zaniechania wysiłków.

- Dość tego, Savonierre - powiedział Ashdowne i z gniewną miną wstał z krzesła. - Nie mam pojęcia, co pan sugeruje, ale nie pozwolę znieważać panny Georgiany.

Czyżby w oczach Savonierre'a pojawił się błysk zaskoczenia? Georgiana nie była tego pewna, ale w każdym razie ten zwykle wyniosły mężczyzna teraz potulnie skłonił głowę.

- Bardzo panią przepraszam.

Ashdowne spiorunował go wzrokiem, jakby nie zamierzał przyjąć nieszczerze brzmiących przeprosin, ale czy Savonierre kiedykolwiek byłby szczery? Georgiana mocno w to wątpiła.

- Naturalnie jesteście oboje wolni, ale niech pan wie, Ashdowne, że nie spocznę, póki nie...

Przerwał mu jednak gniewny okrzyk markiza.

- Nie, Savonierre! Niech pan się dowie, że naszyjnik był fałszywy! Na pańskim miejscu nie traciłbym czasu na ściganie człowieka, który ukradł jego byłej kochance fałszywe kamienie. Lepiej spytać tę kobietę, co zrobiła z oryginałem.

Chociaż Savonierre zachował kamienną twarz, Georgiana poczuła, jak przeszywa ją dreszcz. Wydawało się, że cały pokój wypełniła energia, tyle wysiłku musiał włożyć Savonierre w zachowanie spokoju. Wrażenie minęło jednak tak samo błyskawicznie, jak powstało. Georgiana zastanawiała się, jaki będzie następny krok ich prześladowcy.

Czy potraktuje słowa Ashdowne'a jak przyznanie się do winy? Czy wtrąci ich oboje do więzienia, a może zażąda satysfakcji? Ku jej

zaskoczeniu po prostu skłonił głowę, przyjmując do wiadomości słowa Ashdowne'a.

- Jeśli mówi pan prawdę, to muszę złożyć serdeczne przeprosiny. Naturalnie zastosuję się do pańskiej rady. - Mimo lekceważącego uśmiešku przyznawał, że jego gra jest skończona, toteż przez chwilę Georgiana i Ashdowne patrzyli za nim oniemiała ze zdziwienia.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ashdowne odniósł wrażenie, że na ceremonię ślubną stawilo się prawie całe Bath, czy to z ciekawości, czy też z potrzeby zakończenia sezonu w malowniczym uzdrowisku jakimś znaczącym wydarzeniem. Chociaż słyszano, jak matka Georgiany nazwała pośpieszne przygotowania do uroczystości „skandalicznymi”, to ojciec uważał, że Ashdowne postępuje właściwie.

Markiz przez ostatnie tygodnie często rozważał pomysł, by wziąć z Georgianą potajemny ślub, bo jego niezaspokojona żądza nie dawała mu ani chwili spokoju. Nie chciał jednak, by ich związkowi towarzyszyły coraz głośniejsze szept, w pośpiechu zaplanowano więc ceremonię i tego ranka w starym opactwie doszła ona do skutku, potem zaś wydano eleganckie śniadanie w domu na Camden Place.

Wreszcie tego wieczoru Georgianą miała być jego. Ashdowne nabrał tchu, choć coraz trudniej było mu cierpliwie na to czekać. Zerknął ukradkiem na oblubienicę w zwodniczo prostej sukni z niebieskiego jedwabiu i pomyślał, jak bardzo pragnie uwolnić żonę od tej kreacji i nacieszyć się jej ciałem. Najchętniej zarzuciłby ją sobie na ramię i od razu zaniósł na górę, niech diabli wezmą wszystkich gości.

Tylko postanowienie, że nie przysporzy żonie więcej strapiień, powstrzymało go przed wprowadzeniem w życie tego szalonego pomysłu. Uśmiechał się więc do ludzi składających im życzenia i mamrotał banały, chociaż liczba gości wydawała mu się nieskończenie wielka. Naturalnie nie wszyscy kuracjusze z Bath byli obecni. Lord Whalsey, częsty bohater plotek, podobno uciekł z jakąś starą panną podziwiającą jego łysinę, natomiast pana Hawkinsa zachęcił do opuszczenia miasta zazdrosny małżonek pewnej damy, zresztą nie bez udziału Ashdowne'a.

Markiz rozejrzał się po ciżbie gości i dostrzegł zbliżającego się Jeffriesa. Pierwszy raz nie czuł zakłopotania na widok detektywa. Detektyw, który na ślub przyjechał specjalnie z Londynu, kierował się prosto ku nieświadomej tego Georgianie.

- Proszę pani... och, chciałem powiedzieć: wielmożna pani... - usiłował zwrócić na siebie jej uwagę. Georgiana, niestety, stała do niego tyłem, więc gdy się odwracała, jej torebka zatoczyła łuk i z całej siły uderzyła w tors Ashdowne'a. Ten, przyzwyczajony już do takich sytuacji, pewnie złapał oreż żony jedną ręką, a drugą objął Georgianę w pół, żeby nie straciła równowagi. Nagrodą był mu wdzięczny

uśmiech, niewątpliwie czuły i zmysłowy zarazem. Markiz omal nie westchnął z zachwytu.

- Gratuluję refleksu, wielmożny panie - powiedział Jeffries.

- Dziękuję - oschle odparł Ashdowne.

- Widzę, że wielmożna pani ma opiekuna, i to bardzo sumiennego - ciągnął detektyw.

- Owszem, przyjąłem tę posadę na stałe. - Ashdowne zerknął na Georgianę z ukosa. - Zadanie jest trudne, ale rekompensata jedyna w swoim rodzaju - rzekł i z zadowoleniem stwierdził, że żona się zarumieniła. Widocznie jednak miała dość jego docinków, bo przybrała bardzo surowy wyraz twarzy i skinęła głową detektywowi.

- Dziękuję, że pan przyjechał, Jeffries - powiedziała. - Opuścił pan Bath tak szybko, że nawet nie zdążyłam się z panem pożegnać i podziękować za współpracę.

- Och, skoro naszyjnik się znalazł, nie było powodu, żebym dłużej tutaj przesiadywał, ale naturalnie bardzo miło wspominać nasze rozmowy, proszę pani... to znaczy: wielmożna pani. Jest pani najbardziej niezwykłą kobietą, jaką poznałem, jeśli wolno mi tak powiedzieć.

- Jestem tego samego zdania - stwierdził Ashdowne, ale gdy Jeffries się z nimi pożegnał, ogarnęły go wyrzuty sumienia. Ta myśl wciąż do niego wracała, chociaż unikał jej od wielu tygodni. Detektyw nie miał pojęcia o tym, że Georgiana bez niczyjej pomocy rozwiązała zagadkę kradzieży naszyjnika. Zwrot szmaragdów zakończył całą sprawę, lecz jednocześnie rozwiął marzenia Georgiany o błyskotliwej karierze detektywistycznej. I o tym właśnie Ashdowne nie potrafił zapomnieć. Tego nie mógł sobie wybaczyć.

Musiał otrząsnąć się z tych niewesołych rozważań, by powitać wuja Georgiany, drobnego człowieczka o wyglądzie naukowca, który uważnie mu się przyjrzał przez grube szkła.

- A więc to pan jest lordem Ashdowne'em - stwierdził tak, jakby miał przed sobą eksponat naukowy.

Markiz pogratulował sobie w duchu, że nie namówił Georgiany do skorzystania z gościnności wuja podczas londyńskiego sezonu.

Silas wolno skinął głową, najwyraźniej usatysfakcjonowany wynikiem oględzin.

- Jeśli Georgiana cię wybrała, chłopcze, to pewnie nie bez powodu, ale pamiętaj, że geniusze są zazwyczaj trochę ekscentryczni.

Trzeba dać im szansę rozwijania własnych talentów, a nieraz okazywać wielką wyrozumiałość.

Ashdowne bezskutecznie próbował sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ktoś miał odwagę nazwać go „chłopcem”, ale postanowił powściągnąć oburzenie.

- Wiem o tym, sir. Mam szczerzy zamiar pracować nad rozwijaniem jej talentów. - Spojrzał na Georgianę z nie ukrywaną dumą.

Silasa wyraźnie zadowolona ta odpowiedź, bo oddalił się, chichocząc, ale Ashdowne'a znowu zaczęły dręczyć niepewność i poczucie winy. W końcu poczuł, że dłużej tego nie zniesie. Ujął Georgianę za rękę i zaprowadził do niewielkiej niszy, gdzie mogli przez chwilę cieszyć się samotnością. Gdy spojrzała na niego wyczekująco, coś ścisnęło go za gardło.

- Należą się pani przeprosiny... Przepraszam, że przeze mnie nie zyskała pani zasłużonego uznania - szepnął. - O Londynie mówiłem szczerze. Pojedziemy tam, kiedy tylko wyrazi pani takie życzenie. Przedstawię panią najtęższym umysłom, żeby mogła pani zabłysnąć w najlepszych salonach.

Georgiana spojrzała na niego zaskoczona.

- Jestem żoną człowieka o najtęższym znanym mi umyśle, więc po co mi inni? - spytała, a wzrokiem przesłała mu pytanie: „dlaczego jest pan taki niemądry?” - Wiem, że kiedyś pragnęłam sławy, ale teraz całkiem mnie zadowala podziw jednoosobowej widowni. Może właśnie tego przez cały czas pragnęłam...

Ashdowne ujął ją za rękę.

- Skoro taka jest pani wola... Naturalnie w moim majątku są setki ludzi: służba, dzierżawcy i wieśniacy. Każdy z nich może potrzebować pani talentów. - W razie potrzeby Ashdowne był gotów nawet wymyślić jakąś intrygę, byle tylko wzbudzić zainteresowanie Georgiany. Nade wszystko pragnął tego, by była szczęśliwa.

- To brzmi wspaniale, bo uwielbiam trudne zagadki - przyznała Georgiana. - Ale wie pan? Myślę, że największą zagadką jest miłość, i nie miałabym nic przeciwko temu, by trochę nad nią popracować. Czekam na nową przygodę... dziś w nocy.

Słyszając jej zmysłowy szept, Ashdowne z najwyższym trudem zapanował nad sobą.

- Kiedy wychodzą goście? - spytał. Długo jeszcze musieli na to czekać.

Dopiero późnym popołudniem krewni Georgiany wreszcie pożegnali zniecierpliwionych nowożeńców. Sądziło, że państwo młodzi wnet wyjadą w podróż do rodowej siedziby Ashdowne'a, markiz jednakże szybko zmienił ten plan. Dom na Camden Place wydał mu się nagle znacznie bardziej atrakcyjny. Dlatego postanowił, że zostaną w nim na noc.

Tak więc w złotym świetle popołudnia Ashdowne zaprowadził swą markizę do sypialni, której wyjątkowo niegustowne urządzenie nagle przestało go razić. Powoli zdejmował z żony ślubną suknię. Czekał na to przez cały dzień. I nagle wydało mu się, że czas stanął w miejscu, tak samo jak tamtego wieczoru w łaźni i wtedy, gdy odwiedził Georgianę w sypialni.

Od dawna już sobie nie ufał i nawet nie próbował jej dotykać. Teraz jednak ucieszył się, że poczekał, bo każda pieszczota wydawała mu się bardziej ekscytująca.

- Kocham cię, Georgiano - szepnął i pochylił głowę nad jej ramieniem, gotowy do pocałunku.

Jej skóra była delikatniejsza od jedwabiu sukni, która z szelestem osunęła się na podłogę. Ashdowne powoli poznawał każdy skrawek ramienia i szyi Georgiany, a potem skupił uwagę na krągłościach widocznych pod białą koszulką.

- Chcę cię mieć całą, Georgiano, twój umysł, serce i ciało - szepnął, obejmując jej piersi.

Westchnęła, zachwycona pieszczotą jego dłoni. Choć ta gra pasjonowała ich oboje, Ashdowne zapragnął więcej. Ujął więc za rąbek koszulki i powoli zaczął go podnosić, głaszcząc Georgianę po nogach, pośladkach, po plecach i ramionach. I oto stanęła przed nim prawie naga, jedynie w pończochach i pantoflach. Promienie popołudniowego słońca, wpadające przez wysokie okna, nadawały jej skórze złocisty połysk.

- Jesteś piękna - wyszeptał Ashdowne. Zrobiła kwaśną minę, więc roześmiał się i wskazał na jej serce. - Tutaj też.

- A potem dotknął czoła. - I tu.

- Dziękuję. Ty też jesteś piękny - szepnęła i przyjrzała mu się z takim wyrazem twarzy, że zapragnął jednym ruchem zedrzeć z siebie

całe odzienie. Nie było jednak takiej potrzeby. Georgiana zaczęła ściągać z niego frak z taką śmiałością, do jakiej tylko ona była zdolna.

Potem rozpięła mu kamizelkę i zdjawszy koszulę, poddała jego tors szczegółowym badaniom. Dotyk jej drobnych dłoni sprawiał mu niewysłowioną rozkosz. Nawet się nie zdziwił, gdy jego niewinna oblubienica przesunęła je niżej i jeszcze niżej, choć obawiał się, że skończy się to podobnie, jak pamiętnego wieczoru w łaźni.

- Nie, kochana Georgiano. Jeszcze nie teraz - szepnął chrapliwie i odsunął jej dłoń. Ale Georgiana miała upartą naturę, jej palce wróciły po chwili w to samo miejsce i zaczęły pastwić się nad guzikami. Jeszcze moment i zsunęła mężowi spodnie. Teraz skupiła uwagę na jego nogach. Ashdowne poczuł, jak jej zręczne palce wędrują w górę, i jęknął.

Nagle przerwała tę pieśczętę, a gdy spojrział w dół, stwierdził, że Georgiana klęczy tuż przed nim. Spojrział na nią ostrzegawczo, ale jak zwykle nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia. Pochyliła się i bezwstydnie go pocałowała.

Gdzie ta niewinna istota nauczyła się takich rzeczy? - zastanawiał się Ashdowne, a potem zachwiał się z wrażenia i usiadł na krawędzi łoża.

Widocznie odgadła, co oznacza wyraz zdumienia na jego twarzy, bo szepnęła:

- Tak jak w książce.

Przelotnie wspomniął erotyczne rysunki z książki, którą oglądali w łaźni, ale zaraz potem Georgiana wspięła mu się na kolana, więc tylko gorączkowo pozbył się reszty odzienia.

Wiedział, że to toczy się zbyt szybko, i próbował narzucić sobie trochę dyscypliny, ale jego namiętność zbyt długo nie miała ujścia, a Georgiana już nad nim klęczała. Pieszcząc jej włosy, twarz i ramiona, przyciągnął ją do siebie. Jęknął, bo dotknął wilgotnego, najbardziej intymnego miejsca.

- Georgiano... - zamierzał ją ostrzec, ale ponieważ zaczęła się o niego ocierać, zapomniał o wszystkim. Ostrożnie ujął ją za biodra, naprowadził na siebie i jednym ruchem znalazł się w jej wnętrzu. Usłyszał cichy okrzyk i znieruchomiał. Wtuliwszy twarz w jej włosy, czule głaskał ją po plecach, póki położeniem dłoni na policzku nie dała mu znaku, żeby na nią spojrział.

- Już dobrze. Chcę ci sprawić rozkosz - szepnęła. Gdy zaprosiła go do pocałunku, pierzchnęły myśli o ostrożności. Zaczął się w niej poruszać, początkowo wolno, potem coraz gwałtowniej. Jego ciało pokryło się kropelkami potu, a nieopisane pragnienie pchało go naprzód, aż w końcu z ochryplym krzykiem wybuchnął. Jeszcze chwila i bezwładnie opadł na łożo, pociągając ją za sobą. Dopiero wtedy zrozumiał, co się stało.

- To wcale nie tak miało być - powiedział. Chciał ją wprowadzić w tajniki życia małżeńskiego pomalutką i czule, ale naturalnie Georgiana całkiem pomieszała mu szyki, jak zwykle. Otworzył oczy i ujrzał żonę nad sobą. Przyglądała mu się, wspierając głowę ramieniem. Dmuchinięciem odgarnęła kosmyk włosów z oka.

- Dlaczego nie? - spytała. - Była twoja kolej.

- Moja kolej? - zdziwił się.

- Wiem, że ostatnim razem wyszedłeś z mojej sypialni bez... - Oblała się ciemnym rumieńcem, a Ashdowne'a zalała fala tkliwości.

- Och, Georgiano, moja kochana, to nie znaczy, że twoje pierwsze doświadczenie miało tak wyglądać. Nie powinienem był tak się śpieszyć - powiedział niepewnie i pogłaskał ją po policzku.

Wzruszyła ramionami, a ponieważ przy okazji otarła się o niego piersiami, Ashdowne głośno westchnął.

- Na szczęście mamy mnóstwo czasu dla siebie i możemy robić, co nam się podoba, nawet wszystko, co było w tamtej książce - szepnęła z uśmiechem, który wydał mu się zarazem wstydlivy i prowokujący.

W książce! Ashdowne poczuł entuzjastyczną reakcję swego ciała. Przewrócił Georgianę na plecy i uśmiechnął się na widok jej zmysłowych kształtów, którymi wreszcie mógł się cieszyć do woli. Potem pochylił się nad nią, zdecydowany poznać wszystkie jej sekrety. Wkrótce nadrobił zaniedbania, znalazł bowiem na ciele Georgiany miejsca najbardziej wrażliwe na pieszczoty i odkrył pewien ruch, który wyrwał z niej krzyk ekstazy.

Gdy w końcu leżeli spleceni i nie mieli już siły, by wykonać najmniejszy ruch, księżycowa poświata zalała zgniecioną pościel na łożu, a Georgiana przesłała mężowi wyjątkowo czule spojrzenie i szepnęła mu na ucho:

- Jest tak, jak mówiłam. Masz naprawdę wiele talentów.

Następne kilka dni spędzili w sypialni. Wreszcie jednak Georgiana wyciągnęła męża na spacer, żeby służba mogła posprzątać w pokoju. Powiewał orzeźwiający wietrzyk, zwiastun jesieni, a Ashdowne rozglądał się po ulicach Bath i zastanawiał, czy nie powinni tu wrócić następnego lata. Może do wygodniejszego domu, pomyślał, ale w tym momencie Georgiana pociągnęła go za rękaw.

- Popatrz - szepnęła takim tonem, jakiego już dawno nie słyszał.

- Co takiego? - Rozejrzał się dookoła, ale nie zauważył niczego niezwykłego, choć naturalnie nie miał tak wyczulonych zmysłów jak Georgiana. Dlatego przesłał jej zaintrygowane spojrzenie.

- O, tam. Czy ten mężczyzna w niebieskim surducie nie wydaje ci się podejrzany? - Nie czekając na odpowiedź, dodała rozemocjonowanym tonem: - Wydaje mi się, że on śledzi tamtą kobietę!

- Naprawdę? - spytał Ashdowne i radośnie się uśmiechnął,

- Popatrz! Idzie krok w krok za nią. Czy sądzisz, że powinniśmy się nim zainteresować?

Zerknąwszy na żonę, Ashdowne postanowił dać szansę nowej przygodzie, z pewnością nie ostatniej. Wzruszył ramionami i powiedział beztrąsko:

- Czemu nie?